

SPRAWY INSPEKTORA BRAUNA

Piotr Schmandt



FOTOGRAFIA

Oficynka

SPRAWY INSPEKTORA BRAUNA

Piotr Schmandt

FOTOGRAFIA



Copyright © Oficynka & Piotr Schmandt, Gdańsk 2013

Wszystkie prawa zastrzeżone.

Książka w całości lub jej części mogą być przedrukowywane
i w każdy inny sposób reprodukowane lub odczytywane
w środkach masowego przekazu bez pisemnej zgody Oficynki :-))

Poważnie!

Wydanie drugie w języku polskim, Gdańsk 2015

Opracowanie edytorskie książki: kaziki.pl

Projekt okładki: Anna M. Damasiewicz

Zdjęcia na okładce © Igor Golovniiov | Depositphotos.com

© Narodowe Archiwum Cyfrowe

© Thinkstockphotos.com

ISBN 978-83-66613-38-6



www.oficynka.pl

email: oficynka@oficynka.pl

woblink

woblink.com

Więcej darmowych ebooków i audiobooków na chomiku [JamaNiamy](#)

Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

1. Przebudzenie

2. Fotograf

3. Dwie kobiety

4. Stryj i bratanek

5. Paniński salonik Elzy Neiss

6. Sentymentalny spacer

7. Posepny duch Północy

8. Dołki w policzkach

9. Narada w szczególnych okolicznościach

10. U pastora

11. „Czy ja mogłabym się mu podobać?”

12. Gabinet doktora

13. Męska rozmowa w towarzystwie świadka

14. W pociągu kolei żelaznej

15. Czym jest prowincjonalizm, czym jest smak

16. Dwaj młodzi mężczyźni

17. Niespodzianki

18. Szatan

19. Skomplikowane ludzkie charaktery

20. Zbiorowa fotografia i coś, co ukradziono

21. Kto zabił Theodora Pratza?

22. Epilog



Przebudzenie

Przez lekko uchyloną na środku okna kotarę do pokoju wpadał nikły blask łagodnego świtu. Na zewnątrz panowała cisza. Nie wdzierał się z dołu turkot wozu, nie było słychać rozmawiających za głośno kobiet, nie docierały też wielorakie dźwięki, których nie można określić, ale które sprawiają, że ulica tętni życiem.

Inspektor Ignaz Braun wpatrywał się w szparę oddzielającą go od niezmaconego gwarem świata. Przez chwilę zdawało mu się, że o niczym nie myśli, ale nie była to prawda. „Nigdy nie jest tak, że nie myślę” — pomyślał. „Mamy dzisiaj niedzielę” — jego umysł zaraz odpowiedział na pytanie, dlaczego ulica śpi.

Właściwie nie lubił niedziel. Jako pruski urzędnik państwowy, w dodatku coś znaczący w stołecznym Wydziale Zabójstw, zdawał sobie sprawę, że niedziela jest potrzebna. Że bez niej porządek rzeczy, niezmacony żadną odmianą, stałby się nie do zniesienia. Że choćby i policjant ma święte prawo do odpoczynku. Ma prawo, aby pójść z żoną i dziećmi do Tiergarten albo przyjrzeć się bez pośpiechu wystawom na Ku'damm. Wszystko to wiedział, zdawał sobie sprawę ze wszystkich

społecznych (a nawet państwowotwórczych) konsekwencji świętowania niedzieli. A jednak zawsze niepokoił go stan zawieszenia, jaki nieodmiennie panował w święty dzień.

Nie potrafił spać do południa, jak inspektor Boehmer z pokoju 82 na drugim piętrze wydziału. Tak, tamten spał do 10.18 nawet tamtego dnia, kiedy razem, późnym popołudniem, przeprowadzali zasadzkę na pękatego domokrażcę, który okazał się mordercą trzech burmistrzów z Nadrenii. Braun był inny. Nastrój poranka wprawiał go zawsze, bez względu na porę roku i aurę, w dobry nastrój. Mógł wstać jak najprędzej, pił wtedy gorącą kawę, czarną jak smoła, wyglądał przez okno na miasto tętniące życiem, jak pies myśliwski węszył ofiarę. Patrząc na przechodniów, kojarzył fakty dotyczące zupełnie innych ludzi. Skojarzenia wirowały wtedy jak szalone, a świadomość bliskiego wyjścia do pracy sprawiała, że serce biło jak przy pierwszym w życiu pocałunku.

Z okien starej, pocziwej garsoniery przy Dürenergasse widział znacznie więcej. Odkąd jednak rozpoczął nowe życie i zamieszkał w spokojniejszej dzielnicy, nie mógł już tak bardzo chłonąć atmosfery budzącego się miasta. Trudno, coś za coś...

Niedziela. Ledwie dostrzegalny grymas utrzymywał się na jego twarzy. Bezruch, martwota, dookoła żadnego przestępstwa. W dodatku koszula nocna nie jest dostatecznie sztywna. Koszule krochmalone w domu są znacznie sztywniejsze.

Kiedy budził się w niedzielne poranki, wiedział od razu, że będzie miał melancholijny nastrój, wzbogacony nutą zniecierpliwienia. Że czegoś będzie mu brakowało. Wiedział, czego.

Ten ranek różnił się jednak od wielu innych, jakich przedtem doświadczał. Ignaz miał odczucie niespełnienia. Nie było to zwyczajne niedzielne niespełnienie. Z wolna ogarniały go bezsilność i irytacja.

Chciałby, aby jasność umysłu, tak oczywista na co dzień, wróciła do niego radosna i świeża. Czuł, że będzie mu potrzebna, ale nie wiedział, dlaczego.

„Policyjna intuicja... Profesor Liedtke uczył nas, że należy dziękować Bogu, ilekroć ta muza się pojawia. Więc dlaczego pojawiła się teraz?”

Rozległo się delikatne, lecz miarowe pukanie do drzwi. Braun szybkim spojrzeniem ogarnął zegar Adlera wiszący nad sekretarzykiem.

— Proszę!

— Dzień dobry szanownemu panu. Ładny poranek mamy dzisiaj. Szanowny pan życzył sobie mocną kawę o godzinie 7.00...

— Dziękuję, Wilhelmie.

Za chłopcem hotelowym odzianym w granatowy uniform zamknęły się drzwi. Inspektora bawiło, że ktoś o tak skromnym statusie społecznym nosi cesarskie imię.

„Co się ze mną dzieje? Nie mam jasności myśli, nie czuję też zniechęcenia”.

Ostrożnie wyszedł z łóżka i podszedł do stolika, na którym dymił porcelanowy dzbanek. Przyłożył otwartą dłoń do delikatnej ścianki miśnieńskiego dzbanka. Szybko cofnął dłoń i cichutko syknął.

— Dobrze, ból jest prawidłowym objawem — powiedział na głos.

Kawa nie podziałała na Ignaza orzeźwiająco. Jej gorzki smak zostawił w ustach posmak właśnie goryczy. Nie, nie kawa była potrzebna inspektorowi. Przypomniawszy sobie, że zwykle w takich okolicznościach należało po prostu odczekać chwilę lub dwie, aż wszystko jakoś samo poukłada się w mózgu. Nie lubił jednak czekać, choć czekać potrafił, gdy zaszła konieczność.

Poranna gimnastyka, oto czego było mu trzeba! Na wszelki wypadek, gdyby wstawanie i przybieranie postawy zasadniczej miało okazać się

trudne, zastosował metodę wypróbowaną we wszystkich pruskich koszarach.

— Raz, dwa, trzy! — i wstał.

Kręgosłup naprężył się jak struna harfy. Rytmiczne ruchy rąk i nóg, przyspieszone bicie serca, kark przekręcający się w różne strony, puszysty dywan poruszony przez człowieka, w którego na nowo wpływało życie.

Krew napływała do mózgu. Jeszcze parę skłonów, kilkadziesiąt przysiadów, pięści bijące z rytmiczną wściekłością w powietrze. Czuł, jak pierzcha gdzieś paraliż ciała i ducha, który tak obezwładniał go po przebudzeniu.

Ignaz wiedział, że wysiłek przywraca zdrowie nie tylko ciału. Coraz dokładniej przypominał sobie to, co wydarzyło się poprzedniego dnia.

Nie, poczucie bezsilności i zły nastrój nie były efektem niedzieli ani wypitego alkoholu. Niedziela działa oczywiście obezwładniająco, ale nie aż do tego stopnia. A alkohol? Nigdy nie miał z nim problemów. Zbyt lubił smak rozmaitych win, piw i sznapsów, aby pozwolić sobie na ich profanację. Nienawidziłby też szczerze poczucia utraty kontroli nad samym sobą. Owszem, wypił dwa kieliszki bardzo gęstego portu, ale nic poza tym. Cygara? Było ich ze trzy, może cztery. Tyle co zazwyczaj.

Analiza poprzedniego wieczoru wcale nie dotyczyła używek. Ogniskowała się wokół kilku postaci. Charakterystycznych postaci, nieznanych Braunowi do tej pory. Ćwiczenia gimnastyczne stawały się coraz bardziej rytmiczne i uporczywe. Każdy ruch wtłaczał do umysłu słowa usłyszane kilka godzin wcześniej, odtwarzał gesty, spojrzenia, uśmiechy.

Wreszcie poczuł się tak, jakby wchodził do gmachu na Alexanderplatz, gdzie mieściła się siedziba stołecznej policji kryminalnej. Nie, nie było przed nim Arnolda von Marburga ani też legendarnego już von Hüllessema,

szefa służby śledczej, przed którym ugiwały się kolana wszystkich policjantów cesarstwa. Nie było przed Ignazem Braunem nikogo, kto mógłby zmarszczyć brwi lub nawet przekrzywić monokl. Przed nim stał ktoś znacznie bardziej wymagający — on sam.

Co takiego wydarzyło się poprzedniego wieczoru, że po kilku godzinach Ignaz znalazł się na moment (lub nawet kilka) w stanie rozbicia osobliwie pomieszanego z rozdrażnieniem? „Gimnastyka czyni cuda” — pomyślał. Poukładane już wspomnienia, tworzące precyzyjną mozaikę, napełniały oczy wyobraźni policjanta widokami jak z sennego marzenia.

Co takiego się wydarzyło? To samo pytanie zadał sobie kolejny raz. Przecież nic ważnego. Zniknęła wywołana właśnie fotografia. Nic ważnego... Dla funkcjonariusza Wydziału Śledczego nie takie sprawy stanowią temat do rozmyślań. Dla Ignaza tematem odpowiednim byłby przypadek Elwiry Motter z Augsburga, która zamordowała swoją ciotkę z uwagi na nieodpowiedni kształt noszonych uparczywie przez późniejszą denatkę bluzek. Tak, albo na przykład „Świstak z Oberheim”...

Ignaz Braun przebywał w Wejherowie na jakże zasłużonym, choć przymusowym urlopie, i naprawdę nie powinien zawracać sobie głowy przeczuciami.

Po drugiej stronie drzwi znów stał Wilhelm. Braun wiedział, że to chłopiec hotelowy, ponieważ zapukał identycznie jak poprzednio.

Ośmielony zaproszeniem Wilhelm stanął w odległości półtora metra od policjanta i przypatrywał mu się troskliwie.

— Czy coś się stało, mój chłopcze? — zapytał zdziwiony Ignaz.

— Nie, nie, przepraszam szanownego pana, ale...

— O co chodzi? — głos policjanta był o nutę cieplejszy.

— Bo widzi szanowny pan...

— Nic nie widzę. Przysłał cię pan Alsleben?

— Nie. Właśnie o to się rozchodzi, że nie. Bo szanowny pan... Ja przepraszam, ale od najmłodszych lat — powiedział takim tonem, jakby znajdował się u schyłku długiego żywota — interesuję się medycyną. Moja rodzina nie jest za bogata, dopiero zbieram na gimnazjum. Ale ja tak się tą medycyną interesuję, że zmartwiłem się... Pan inspektor coś nie za bardzo wyglądał, jak wcześniej wszedłem. Pomyślałem, że może to być skutkiem jakiejś nerwicy albo załamania. Ta myśl nie dawała mi spokoju. Dlatego przyszedłem zapytać, czy z panem inspektorem wszystko w porządku...?

Braun uśmiechnął się. Kiwnął przyjacielsko ręką na Wilhelma. Sięgnął do pugilaresu leżącego na stoliku i dał chłopcu napiwek w postaci marki.

— Jestem w dobrej dyspozycji. Ale jeśli wszyscy członkowie personelu hotelowego są tacy jak ty, pan Alsleben jest w jeszcze lepszej dyspozycji niż ja.

— Dziękuję szanownemu panu. Pan inspektor nie mówi o tym mojemu pryncypałowi, dobrze?

— Skoro tak sobie życzysz...

— Pan Alsleben zawsze powtarza, że nie należy zbyt męczyć gości swoją natarczywością. — Wilhelm skłonił się przepaszająco i bezszelestnie zamknął za sobą drzwi.

Braun zaraz porzucił maskę uśmiechu. Jednym krokiem znalazł się przy owalnym dębowym lustrze. Nie dopatrywał się w swojej twarzy niczego szczególnie niepokojącego, ale wiedział też, że przed godziną znajdował się w stanie, który przerastał jego wiedzę dotyczącą stanów ducha.

— Ten młodzieniec może być kiedyś psychoanalitykiem, tak jak ten wiedeński dziwak, pan Freud. Zauważył we mnie coś, czego sobie nie uświadamiałem. Moje wewnętrzne „ja” widziało coś, przeczuwało coś, odnalazło fałszywy ton — powiedział na głos do lustra.

Nie chciał się zajmować przez te parę dni żadną sprawą, która wymagałaby myślenia kanonami policyjnymi. Przyjechał do Wejherowa na mniej niż tydzień. Chciał pozłatwić sprawy spadkowe dotyczące Bernadety cioci. Tym przykrym obowiązkiem miał oddać się wspólnie z Brunonem Sychowskim, swoim teściem, który, jako człowiek zdecydowany i energiczny, powinien być dla Ignaza wielką pomocą przy sprzedaży domku nieboszczki, paru prętów pruskich gruntu nieopodal centrum miasta i ruchomości w postaci mebli. Tym należało się zająć, a nie fałszywą intuicją.

— Młody człowieku — powiedział do niego Sychowski na peronie kolei żelaznej — straciliśmy cudowną kobietę, ale przynajmniej miałeś sposobność spotkać się ze starym kolejarzem.

Słowom tym towarzyszył żelazny uścisk dłoni, którego Ignaz zawsze się lękał. Nie lubił bólu.

I miał to być czas święty, czas rodzinny. Ze „starym kolejarzem” spędził jedynie kilka godzin, później naczelnik stacji w Lęborku musiał na cały dzień oddać się swoim obowiązkom pruskiego urzędnika państwowego, Ignaz natomiast wpadł w sidła towarzyskie, jakie zastawił na niego siostrzeniec profesora Puppego, przebywający czasowo w Wejherowie Sigmund von Mach.

Ignaz poznał Sigmunda jeszcze w Berlinie. Tamten, dowiedziawszy się, że inspektor gości w tym samym, co on, miasteczku, postanowił, że przedstawi go swoim znajomym. Dla Brauna nie była to zbyt przyjemna perspektywa. Był mało towarzyski i w godzinach wolnych od pracy cenił sobie święty spokój. Zwłaszcza że był tak często przerywany... Sigmund natomiast pragnął zaimponować przed towarzystwem stołecznymi znajomościami.

W przestronnym salonie domu przy alei Wilhelma, wynajmowanym wraz z kilkoma innymi pomieszczeniami przez panią Wilfridę Neiss, w sobotni wieczór odbyło się miłe spotkanie. Zebrało się na nim towarzystwo stosunkowo eleganckie.

Przed oczyma Ignaza stanęli wszyscy, którzy byli gośćmi pani Wilfridy.

Jej bratanica, Elza. Wesoła, może zanadto wesoła szatynka, lubiąca być w centrum zainteresowania. Schlebiało jej, kiedy młodzi ludzie adorowali ją, choć Ignaz miał nieodparte wrażenie, że traktuje ich zainteresowanie jako znakomitą zabawę. Kiedy miał sposobność rozmowy z Elzą sam na sam, w ciągu paru minut przekonał się jednak, że młoda osoba jest wcale inteligentna, w dodatku sprytna, a jej powierzchowna beztroska jest jedynie pozą ułatwiającą i uprzyjemniającą codzienność.

Pani Wilfrida, pomijając wiek, zdawała się przeciwieństwem Elzy. Wysoka, zanadto szczupła, koścista, nie miała w sobie nic z matrony, za jaką chciała uchodzić w oczach towarzystwa. Przypominała raczej klucznicę ze średniowiecznego zamku, która pilnuje powierzonego jej dobytku. Dobytkiem była bratanica. Pozorna swoboda, jaką pani Wilfrida zostawiała Elzie, była złudna. Czujne oko ciotki nieustannie śledziło pannę i zwłaszcza jej adoratorów.

Otto Meinhard niewątpliwie należał do adoratorów Elzy. Mógł się nawet podobać. Młody, przystojny brunet, ubrany starannie i bez wyzywającej, zbyt modnej elegancji. Może zanadto dawał odczuć otoczeniu swoje dobre wykształcenie. Ale też nie każdy kończył prawo na uniwersytecie w Heidelbergu, w dodatku w tak imponującym stylu, czego Otto nie omieszkał parę razy zaznaczyć. Nie narzucał się jednak swoją osobą ponad miarę, a kiedy upatrzył sobie rozmówcę, zaraz po zaznaczeniu swojej pozycji starał się też słuchać, co tamten ma do powiedzenia.

Stryj Ottona, Gottlieb Meinhard, był przeciwieństwem swojego młodszego krewnego. Jego tusza osobliwie kontrastowała z zażywnością. Kiedy wstawał z krzesła, kiedy obracał się do rozmówcy, tracił nagle całą zwalistość, a fałdy tłuszczu nabierały lekkości. Czerwona, nieco plebejska twarz była ruchliwa, bystre oczy łypały na wszystkie strony. Gottlieb starał się dostrzec wszystko, co mogło stać się godnym uwagi. Miał wielką łatwość w nawiązywaniu znajomości. Jego interlokutor od pierwszej chwili miał wrażenie, że zna Meinharda od lat.

Ambicją pani Wilfridy było, aby w spotkaniu uczestniczył miejscowy pastor. Franz Class, jowialny duchowny, był do pewnego stopnia podobny zewnątrznie do Gottlieba Meinharda. Tak samo obdarzony godną masą ciała, wykorzystywał ją do godnego siadania w fotelu. Z powolną starannością sięgał widelcem po kolejny kawałek jabłecznika i jeszcze staranniej podnosił w górę mały palec prawej ręki, gdy do dużych mięsistych ust przysuwał filiżankę z parującą kawą. Podczas rozmowy patrzył łagodnymi, błękitnymi oczami na wierną duszyczkę, gotowy z wyrozumiałością traktować każdego, kogo Najwyższy postawił na jego drodze. Siwe włosy, w niewielkiej ilości pokrywające łysiejącą głowę, kontrastowały z czerwoną twarzą.

Cóż to tam jednak za kontrast... Prawdziwym kontrastem dla całej postaci wielebnego Franza był jego syn. On również był pastorem, ale tylko to, oprócz najbliższego pokrewieństwa, łączyło obu mężczyzn. Skupiony, małomówny Georg Class więcej czasu, niżby nakazywała przyzwoitość, poświęcał Elzie. Panna jednak niewiele robiła sobie z tego zainteresowania. Próby nawiązania z jego strony kontaktu zbywała pobłażliwym uśmiechem, niekiedy tylko odpowiadając na pytania Georga, jeśli już nie miała innego wyjścia. A on, wysoki, chudy, w drucianych okularach i nie najnowszym

ubraniu, za każdym razem odsuwał się zraniony, by już po chwili powracać w jej okolice.

Jedynym małżeństwem w towarzystwie byli Ernest i Antoinette Schrederowie. On był wziętym adwokatem, który prowadził praktykę w Kolonii, a do Wejherowa przybył przy okazji sprawy majątkowej, wcale dla niego intratnej. Przez cały wieczór rozprawiał z kim popadło o polityce i sprawach społecznych, wyrażając się przy tym z wielką pewnością i, Braun przyznawał to w duchu, znanstwem. Najdłużej dyskutował ze starszym z pastorów. Zaprzysięgły liberał, z niejakim lekceważeniem wypowiadał się o cesarzu, co w zebranych wywołało z początku wielką konsternację. Z chwili na chwilę zaczęli się wprowadzić przyzwyczajając do poglądów Schredera, nie na tyle jednak, by uznać je za coś zwyczajnego. Elegancki, obyty adwokat wzbudzał ich zaciekawienie, a aura lekkiego zgorszenia dodawała mu szyku, choć nie sympatii. Jego żona, Antoinette, zdawała się nieobecna. Francuzka z Alzacji, o oliwkowej cerze i kruczoczarnych włosach, wzbudzała zainteresowanie mężczyzn, a zawiść u kobiet, chociaż nie zdawała się przejmować ani jednym, ani drugim. Była zapatrzona gdzieś ponad całe towarzystwo, a jej odpowiedzi, krótkie i uprzejme, świadczyły o tym, że wprawdzie nie zamierza uchodzić za niegrzeczną, natomiast niewiele ponad to gotowa jest z siebie wykrzesać.

Sigmund von Mach był duszą towarzystwa. Właściwie to on był inicjatorem całego spotkania. Wesoły, choć w granicach zachowania wszystkich koniecznych konwenansów, rozmawiał z wszystkimi po kolei gośćmi pani Wilfridy, najlepiej jednak porozumiewał się z Meinhardami, których już wcześniej znał i z którymi zamieszkał po sąsiedzku w hotelu. Jego kremowy garnitur i wzorzysty krawat przemieszczały się od jednej osoby do następnej, a podrzucanie jasnej czupryny z opadającą niesfornie grzywą co chwila odsłaniało wypukłe, cokolwiek za wysokie czoło.

Sigmund bawił się doskonale, mimo że próbował co raz przybierać pozę zblazowanego dandysa. Widział w swym krótkim życiu wiele, bywał we wszystkich praktycznie stolicach europejskich, odbył podróż do niemieckich kolonii w Afryce; mówił często, że wszystko, co w życiu interesujące, ma już za sobą. Równocześnie jednak spoglądał z ukrycia na Eleonorę Gephard, a spojrzenia te zdawały się świadczyć, że jego filozofia życiowa jest w jawnej sprzeczności z praktyką.

Właśnie, Eleonora Gephard. Najlepsza przyjaciółka Elzy. Wszędzie było jej pełno, zagadywała każdego, kto stanął na jej drodze. Dołki w policzkach były pysznym elementem wyróżniającym młodą pannę; sprawiały one, wraz z żywym i wesołym usposobieniem, że była atrakcyjną osobą. Nie miała w sobie tej skłonności do kokieterii, jaką epatowała otoczenie Elza. Może to sprawiało, że Sigmund von Mach się nią zainteresował. Zbyt często miał do czynienia z panienkami, które ze wszystkich sił pragnęły zająć sobą przystojnego i zamożnego berlińczyka.

Jeszcze jedna osoba nie zwracała uwagi na stołecznego dandysa. Była to Gertruda Dangel. Zdawała sobie aż zanadto sprawę, jak należy zachować się w towarzystwie, i właściwie tylko tyle Ignaz mógłby powiedzieć o niej nadinspektorowi von Marburgowi, gdyby stanął przed jego biurkiem i został przez przełożonego zasypany gradem pytań. Co do wyglądu bowiem, zdawała się panna Dangel przezroczysta. Braun zdziwił się tym odkryciem — nie pamiętał, jak wyglądała osoba obecna na spotkaniu. Pamiętał tylko, że tam była, a nazwisko zapamiętał, ponieważ zawsze zapamiętywał nazwiska.

W ciągu ponad pięciu lat, jakie dzieliły inspektora od pierwszego pobytu w Wejherowie, nie zapomniał także nazwiska Maximiliana Paschinski'ego. Doktor, małomówny jak wtedy, stał się jeszcze bardziej melancholijny i cichy, jeszcze bardziej dyskretny i starający się nie rzucać

w oczy nikomu. Zdawał się zainteresowany głównie jabłecznikiem, którego zjadł o wiele więcej niż pastor Class, obdarzony wyśmienitym apetytem. Pastor mówił ciągle i pielęgnował każdy gest, Paschinski obu tych cech był pozbawiony. Nie można było ocenić, czy w towarzystwie czuje się dobrze, czy też nie, jego pochylona głowa ozdobiona kruczoczarną brodą wyposażona była w twarz niemal kamienną.

Ostatni z gości pani Wilfridy był nie lada oryginałem. Już sam fakt, że pochodził z dalekiej Norwegii, wzbudził wielkie zainteresowanie zebranych. Nazywał się Lars Hamaren. Do Wejherowa przybył z oboma Meinhardami, choć zaprzyjaźniony był z Ottonem, nie tylko z racji wieku. Ukończył w Heidelbergu te same studia, co Meinhard. Hamaren żył jako rentier, bardzo bowiem nie lubił ani swojego wykształcenia, ani zawodów, jakie dzięki niemu można było uprawiać. Całymi godzinami mógł rozmawiać o malarstwie i literaturze, co osobliwie łączył z chwilowymi stanami apatii i nieobecności duchowej.

Poprzedniego wieczoru Ignaz do pewnego momentu obserwował gości, starał się zamienić z każdym parę grzecznościowych słów i nawet pomyślał, że kilka osób należy do gatunku interesujących. W końcu poczuł się nieco znużony.

Trzeci raz w ciągu poranka rozległo się pukanie do drzwi.

— Proszę... — głos inspektora był cichy i nieobecny.

W drzwiach stanął Alsleben.

— Panie inspektorze... Przepraszam najmocniej.

— Proszę bardzo. Czym mogę panu służyć?

Hotelarz delikatnie odchylił się na bok. Zza jego pleców wyrosła zwalista postać komisarza Rüdigera Renscha, szefa wejherowskiej policji.

— Pan komisarz! — zawołał Ignaz. — Najmocniej przepraszam, zamierzałem pana odwiedzić, od niedawna jestem w mieście. Wczorajszy

dzień spędziłem niezupełnie tak, jak zamierzałem z początku.

— Tak. Wczorajszy dzień. Witam pana, witam, drogi inspektorze. Cieszę się, że w dobrym zdrowiu. Tak. To widać na pierwszy rzut oka. Mam w końcu wieloletnią praktykę. Niech uścisknę pańską dłoń!

Komisarz Rensch potrząsał prawicę Ignaza z wielkim zaangażowaniem, potem otarł pot z czoła i, po wyjściu Alslebena, rozejrzał się za fotelem lub przynajmniej krzesłem. Kiedy Braun wskazał mu wygodny mebel, Rensch machnął ręką i wyrzucił z siebie jednym tchem:

— Tak. Znowu kryminalna sprawa jak się patrzy.

W spojrzeniu Brauna malowało się niedowierzanie. Czyżby komisarz wypił o jeden koniaczek za dużo? Może żartuje sobie w dość niekonwencjonalny sposób?

Szef wejherowskiej policji zauważył wahanie rozmówcy. Popatrzył mu w oczy spokojnie, bez zbytniego nacisku, bardzo trzeźwo.

— Powiem panu jak przyjaciel, ale nasza rozmowa toczyć się będzie jak między dwoma oficerami cesarskiej policji. Tak. Niestety. Czy wyobraża pan sobie, że wczorajszej nocy został zamordowany Theodor Pratz, fotograf zamieszkały w Wejherowie i tu posiadający swoje atelier?

— Niesłychane... Ależ ja byłem wczoraj na przyjęciu u pani Wilfridy Neiss, gdzie zawitał ten fotograf!

Rensch znowu otarł pot z czoła.

— Czyli pan, kochany inspektorze, tym bardziej będzie musiał mi pomóc! Tak, nie mamy czasu do stracenia.



Fotograf

Theodor Pratz należał do gatunku ludzi, których wszyscy szanują. Jego atelier przy ulicy Lęborskiej, całkiem blisko hotelu „Königlicher Hoff”, należało do starszych w mieście. Zupełnie tak, jak pan Pratz, człowiek starszy od wielu wejherowian. Nie było w okolicy nikogo, kto nie znałby sędziwego fotografa. Przygarbiony, zawsze jednak elegancko ubrany, dźwigający statyw i aparat fotograficzny, stał się z biegiem lat nieodłącznym elementem rodzimego krajobrazu. Żyli jeszcze tacy, którzy pamiętali, gdy był młodym człowiekiem, ale dla znakomitej większości Theodor Pratz, przytłoczony ciężarem narzędzi pracy, chodził ulicami miasta od zawsze.

— Przykra sprawa. Tak. Wszystkiego bym się spodziewał, ale nie tego, że ktoś zabije starego Theodora — komisarz Rensch zdawał się szczerze niepokieszony. — Czy pan wie, że moja Katarzyna i ja robiliśmy sobie u niego zdjęcia jeszcze za czasów narzeczeńskich? Kawał czasu.

Stali we czterech na zapleczu dość ładnego domu przy ulicy Pętkowickiej, gdzie w dwóch pokojach mieszkał fotograf. Dookoła zieleniły się drzewa, wyrastały bujne krzewy, pachniały kwiaty. Jedno tylko zakłócało

sielankowy pejzaż. Na trawie leżały zwłoki fotografa. Nad nimi pochylali się inspektor Braun i komisarz Rensch. Posterunkowi Bochentin i Kandzorra skończyli właśnie przeszukiwać kieszenie i torbę nieboszczyka. Czekano jeszcze na doktora Paschinskiego, który miał stwierdzić oficjalnie przyczynę zgonu. Oficjalnie, bo na pierwszy rzut oka widać było, jak zginął Pratz. Leżał na plecach, a spod serca wystawał sprężynowy nóż.

— Pan Paschinski nie powie nic, czego my byśmy nie zauważyli, panie komisarzu — pokiwał głową Bochentin. — Fachowa robota. Takie zwłoki widywałem w Gdańsku w czasie praktyk. Robotnicy portowi załatwiali porachunki między sobą cicho i sprawnie, bez dwóch zdań. Jeden taki, rudawy, z wystającą szczęką i złymi oczami, miał na koncie kilkanaście identycznych zabójstw.

Nieboszczyk zdawał się zaskoczony tym, co go spotkało. Na jego twarzy nie malowało się cierpienie. Nie zdążyło.

— Tak. Tyle i ja zauważyłem. Jeden cios, nóż tkwi po samą rękojęść — odparł Rensch. — O, idzie już doktor!

Paschinski uklonił się zebrany w milczeniu i od razu przystąpił do oględzin. Nie zajęły mu wiele czasu. Uważnie pomacał nóż, dotknął otwartą dłońią czoła zmarłego, zajrzał w otwarte oczy, przyłożył lusterko do ust.

— Zgon — powiedział cichym głosem. — Nastąpił około 22.00. Jedno pchnięcie. Zadane fachowo.

— I to wszystko? — włączył się Braun.

— Tak.

— Niczego więcej nam pan nie powie? — Rensch nie dawał za wygraną.

Doktor Paschinski, wbrew swoim obyczajom, zdziwił się. Równocześnie bezradnie rozłożył ręce i zaczął zdejmować czarne, obcisłe

rękawiczki.

— Przykro mi. Jako lekarz zrobiłem wszystko, co do mnie należało. Sekcja zwłok jest zbyteczna. Przecież nie umarł na zawał serca, to widać.

— No tak, rzeczywiście — odpowiedział komisarz. — Cóż, po oficjalny akt zgonu zgłosimy się do pana jutro, dobrze? — Paschinski skinął głową. — W takim razie dziękujemy już panu — kontynuował Rensch. — Reszta należy do cesarskiej policji — wyprężył się. — Tak. Bez wątpienia.

Kiedy Paschinski oddalił się bezszelestnie, Rensch machnął ręką i wyraził żal, że doktor Gessler wyjechał ponownie do Kamerunu. Z pewnością znalazłby coś, co mogłoby powiedzieć policjantom parę rzeczy o sprawcy.

— Pamięta pan doktora Gesslera, inspektorze? — zakończył ze smutkiem.

— Takiego człowieka się nie zapomina — lekko uśmiechnął się Braun. — Ale, drogi komisarzu, wczoraj widziałem już pana Paschinskiego. I był jedną z kilku osób, które jako ostatnie widziały przy życiu Theodora Pratzka.

Rensch zrobił wielkie oczy; nie wiedział, że doktor był na wieczorze. Braun w paru słowach opowiedział o spotkaniu z lekarzem, jakie miało miejsce w domu pani Wilfridy. — Niech pan opowiada dalej! Ale nie — rozmyślił się nagle. — Za chwilę, przepraszam. Posterunkowi! Proszę o dokładne zewidencjonowanie w brulionie wszystkich przedmiotów, jakie miał przy sobie stary Theodor, to znaczy nieboszczyk. Na głos. Na głos zapisujcie.

Kandzorra wyjął z policyjnej torby szary brulion, a Bochentin zaczął przekładać z kupki na kupkę drobne przedmioty, wyliczając je uroczystym tonem, zupełnie tak, jakby był doświadczonym pracownikiem przedsiębiorstwa pogrzebowego z samego Berlina.

— Chusteczka do nosa, używana. Scyzoryk firmy „Dessau”, zniszczony, bardzo stary. Zegarek „Longines”; drogi, raczej nowy, srebrny lub posrebrzany. Trzy marki i osiem fenigów, luzem, nie w pugilaresie. W pugilaresie jakieś notatki z samymi cyframi, mogą to być kalkulacje drobnych sprawunków, nic poważnego. Kartka z napisem „Sobota 20.30 p. Neiss”. To wszystko.

Obaj oficerowie spojrzeli na siebie równocześnie.

— Żadnej torby, żadnego sprzętu fotograficznego? — Ignaz zadał pytanie, które brzmiało jak stwierdzenie.

— Przecież on zawsze miał z sobą dużą torbę — potwierdził Rensch.

— Miał i wczoraj — dodał Braun.

Posterunkowy Bochentin czuł, że tego dnia jego umysł pracuje na najwyższych obrotach. Często miewał takie dni.

— Nie mógł przecież zostawić swojego aparatu, statywu i innych takich rzeczy w domu, i potem jeszcze wyjść, bo wcześniej musiałby zobaczyć go stróż. Nieboszczyk notorycznie gubił klucze, wreszcie zmądrzał i dawał swój komplet stróżowi. Przychodził po nie zawsze, kiedy wracał do domu. Zresztą zeznanie stróża wyjaśnia wszystko.

— O czym mówicie, posterunkowy? — zdziwił się Braun.

Dłonie komisarza Renscha klasnęły jedna o drugą.

— Stróż zeznał, że o świcie wyszedł za potrzebą i zobaczył nieboszczyka leżącego tak jak teraz, z nożem w piersiach. Biedaczysko nie wygląda za dobrze, a stróż to więcej wrażliwy człowiek. Powiedział, że musi się dzisiaj solidnie napić...

Twarz Brauna nabrała charakterystycznej barwy zgniłej zieleni.

— Cóż, trzeba będzie zacząć od zwyczajowego przeszukania mieszkania oraz atelier denata.

— Mieszkanko już przeszukane — wyprężył się Rensch — ale tam jest tylko jedno łóżko, trzy krzesła, dwa oleodruki, krzyż na ścianie. Widać, że życie Pratza ogniskowało się wokół atelier. Portier ma też klucze od zakładu...

— W takim razie chodźmy tam!

— Tak! Posterunkowy Kandzorra, zostaniecie tu z nieboszczykiem do czasu przybycia tych ludzi z kostnicy. Inspektorze — komisarz wskazał Ignazowi furtkę, za którą kończyło się podwórko.

— Dziękuję — powiedział Ignaz metalicznym głosem.

Atelier Theodora Pratza mieściło się dosłownie naprzeciwko okien pokoju hotelowego, w którym zamieszkał Braun. Po upływie kwadransa od opuszczenia miejsca zbrodni, oczom policjantów ukazało się królestwo człowieka, który fotografowanie darzył wielką i wierną miłością.

W środku panował zaduch. Krótki, lecz szeroki korytarz ozdobiony ciężką haftowaną kotarą prowadził do pomieszczenia, w którym Theodor Pratz przyjmował klientów. Niewiele było tam mebli: trzy krzesła, biurko, szafka. Gdyby nie wystrój ścian, można by powiedzieć, że pokój jest pustawy. Przez szerokie okno wystawowe sączyły się południowe, wesołe promienie słoneczne. Ale ściany... Ściany wypełnione były całkowicie fotografiami.

Ambrotypów było stosunkowo niewiele. Jeden z nich przedstawiał kobietę w czarnej sukni z białym kołnierzem. Trzymała w ręku bukiet kwiatów. Liczne dagerotypy obrazowały przeróżne egzotyczne widoki, arabskie, dalekowschodnie, trochę europejskich, chociaż najsympatyczniejszy przedstawiał dwie dziewczynki siedzące nad wielką księgą. Osobne miejsce zajmowały medaliony — małe, ale dzięki ilości zajmujące w pomieszczeniu poczesne miejsce. Na przybyszów patrzyły

twarze żyjących niegdyś, całkiem niedawno i dzisiaj. Ignaz bacznie przyglądał się twarzom sfotografowanych, choć czynił tak z ciekawości, a nie dla potrzeb śledztwa.

Komisarz Rensch zainteresował się portretami sylwetkowymi, ponieważ kiedyś znalazł u rodziców na strychu kilka takich dziełek. Tutaj czarne profile wydawały się obojętne na wszystko, co działo się wokół nich i nie zwracały najmniejszej uwagi na trzech policjantów.

Uwagę Brauna, który obejrzał już medaliony, wzbudziła półka z kalotypami zakłętymi w porcelanowe spodki. Widoki przyrody, scenki rodzajowe i portrety bawiły oko policjanta tak samo, jak porcelana. „Po powrocie do Berlina koniecznie powinienem zaprowadzić Bernadetę do jakiegoś dobrego atelier i zamówić parę cacuszek z jej podobizną” — rozmarzył się. Inne kalotypy pyszniły się na muszlach z mórz południowych, szklanych przyciskach do papieru, wachlarzach i Bóg wie, na czym jeszcze.

Modne ostatnimi laty fotografie przedstawiały sceny z udziałem osób w sklepie. Krawcowe nad belą płótna, aptekarz przy słojach, rzeźnik na tle wiszących pęt kielbasy.

W pomieszczeniu nie brakowało światłodruków, zdjęć stereoskopowych, albuminów.

— Nigdy dokładniej nie przyglądałem się królestwu nieboszczyka Pratzka. Tak. To prawdziwe muzeum — dziwił się Rensch, pogwizdując co raz którąś z arietek pana Lehara.

Tymczasem inspektor zauważył na biurku dwie koperty. Jedna zawierała list od pana Höfferta z Hamburga, w którym oprócz paru branżowych informacji nie było niczego. W drugiej kopercie znajdowało się zdjęcie wizytowe Zakładu Fotograficznego Walerego Rzewuskiego z Krakowa, ul. Podwale 27 B.

— Posterunkowy Bochentin — zwrócił się Rensch do policjanta, który szybko dołączył do oficerów — zabierzcie obie koperty ze sobą. Widać, że to ostatnia korespondencja nieboszczyka, trzeba będzie napisać do obu fotografów, choć nie podejrzewam, żeby coś mądrego miało z tego wyniknąć.

— Tak jest, panie komisarzu!

— Niech pan spojrzy na to zaproszenie ślubne ze zdjęciem w kształcie wachlarza! — ucieszył się tymczasem Braun — muszę powiedzieć o tym podinspektorowi Katschmarkowi, niedługo żeni się z pewną tajemniczą brunetką. Pracowałem z nim przy sprawie „Grety z Getyngi”.

— Ale proszę nigdy nie mówić w towarzystwie mojej żony, jeśli kiedykolwiek Bóg dopuści, że pan ją pozna, o tych cacuszkach! Nie masz pan pojęcia, kochany inspektorze, ile ta kobieta potrafi gromadzić kosztownych przedmiotów — Rensch wskazał na półkę, gdzie klientów wabiły urodą etui wykładane masą perłową, jak również te z papierową okleiną imitującą skórę.

Posterunkowy Bochentin uznał, że wobec chwilowego rozluźnienia i on może dołożyć swoje trzy fenigi.

— A ta ramka z metalu? O, ta, z metalu i płótna, w kształcie parawanu? O niej też musimy zamilknąć w obecności żony pana komisarza? Kosztuje siedem marek.

— Posterunkowy! Nie do was skierowana była uwaga. Na sprawy dotyczące Katarzyny Rensch macie być głusi! Zrozumieliście?

— Słusznie, lepiej trzymać się od niej z daleka — mruknął Bochentin, a na głos powiedział regulaminowe „tak jest”.

Wytrawnego policjanta, jakim był Ignaz Braun, cechowała dyskrecja i powściągliwość, o której tyle mówiono na letnim obozie szkoły policyjnej w Recklinghausen, udał więc, że nie słyszy wymiany zdań między dwoma

funkcjonariuszami. Zainteresował się za to metalową ramką podtrzymywaną, niby kolumnami, dwoma łuskami karabinowymi. Z kolorowanej fotografii patrzył na Ignaza młody porucznik z podkreślonym wąsem, w czarnym mundurze ozdobionym czerwonymi epoletami. „Niezwyciężona pruska armia...” — pomyślał i oczami wyobraźni zobaczył plac, na którym rekruci pod komendą takich poruczników wykuwali w swoich sercach poczucie obowiązku i dyscyplinę.

Kiedy trzech policjanci stanęli przed gablotą, w której na gości Theodora Pratza czekały albumy, jeszcze raz pozwolili sobie na chwilę radości dla oka. Większość albumów oprawiona była w miękką skórę lub aksamit, na niektórych artysta przygotował miejsce na zdjęcie, wystarczyło tylko wsunąć je w ramkę w postaci gwiazdy lub kwiatu.

Naraz Bochentin poczuł, że przycisnął butem coś ostrego i kanciastego. Przedmiot wydał suchy dźwięk.

— Posterunkowy! — wykrzyknął komisarz.

W dłoniach Bochentina znalazła się pęknięta klamra do paska z połączonym medalionem, w jej wnętrzu znajdowało się zdjęcie wyzywająco ubranej damy.

— Oto kobieta w pełni upadła — zauważył Ignaz.

— A to się panu powiedziało! Tak! Pora do laboratorium — zatarł ręce komisarz i śmiało ruszył na zaplecze, do którego znał drogę.

Najważniejsza część atelier podzielona była na dwie części oddzielone od siebie dużym gładkim parawanem. Kontrast między nimi był uderzający.

Pierwsza była miejscem, gdzie Pratz fotografował swoich klientów. Aparat na statywie, przykryty czarną płachtą, wydawał się, w kontekście śmierci właściciela, samotny. Już nigdy troskliwe ręce fotografa nie miały dotykać zakamarków cudownej maszyny, dzięki której wielu ludzi zyskiwało pamiątkę na całe życie. Pod jedną ze ścian stało kilka plansz

kartonowych, stanowiących dla fotografowanych klientów tło. Górski widok z wodospadem i lasem świerkowym, to znowu łagodne pagórki z wiejskim kościółkiem, dla wielbicieli terenów zurbanizowanych — wielkowiejska ulica.

Za parawanem było znacznie ciekawiej. Policjanci stanęli przed tajemniczym laboratorium, w którym zdjęcia nabierały realnego, namacalnego kształtu.

Na prostym stoliku leżały rzędkie płyt szklanych i kolorowanych odbitek solnych. Obok nich czekała, gotowa do użycia, skrzynka do uczulania płyt dagerotypowych.

— Starość, ale jakże romantyczna — szepnął Ignaz.

— Starość, tak — zgodził się komisarz — nieboszczyk Pratz na życzenie klientów wykonywał też dagerotypy. Nie wszyscy mieszkańcy Wejherowa byli przekonani do nowoczesnych technik. Tak. A on lubił takie zabawy w pionierów fotografii sprzed kilkadziesiąt lat. Sam mam w domu kilkanaście dagerotypów. Są na nich moi dziadkowie. Bardzo lubię te starocie.

Braun zdziwił się.

— Jest pan sentymentalny?

— A ja wolę nowe, ładne zdjęcia. Wszystko na nich widać i są dokładniejsze — stwierdził Bochentin, ważąc w dłoniach jedną z płytek.

Komisarz posłał w jego stronę spojrzenie pełne dezaprobaty, wyjął z rąk posterunkowego szklany negatyw i obejrzał go pod światło. Tymczasem Braun przekładał już papiery solne, albuminowe, kolodionowe i żelatynowe, przypominając sobie zajęcia ze współczesnych technik fotograficznych na berlińskim uniwersytecie, kiedy to młodzi funkcjonariusze Wydziału IV wtajemniczani byli przez profesora Marquardta w arkana szlachetnej sztuki utrwalania rzeczywistości.

Bacnym okiem taksował opakowania papierów fotograficznych „Aristo-Papier” z Drezna i „Sidi”, te ostatnie niezmiennie od lat zdobione wizerunkiem słonia z podniesioną trąbą.

Obaj oficerowie usłyszeli głos posterunkowego:

— „Planotypią nazywamy zdolność redukowania soli platyny do platyny metalicznej przez sole żelazowe powstające pod wpływem światła”. Pratz musiał mieć tęgi łeb, żeby zrozumieć takie rzeczy... Albo tutaj, o! Zestaw chemikaliów do pinotypii. Wyprodukowany przez firmę Meister Lucius & Brüning w Lipsku. Nigdy nie byłem w Lipsku...

— To jeszcze powinienes poczytać o konserwacji bromkiem potasu, siarczanem miedzi, wodą destylowaną, jak również o odbielaniu zdjęć w kąpeli — Rensch z mściwą satysfakcją pokazał Bochentinowi zeszyt z odręcznymi notatkami zamordowanego fotografa. — Albo o ferrotypii...

— A pan komisarz o kliszach bromożelatynowych — odciął się posterunkowy, uważnie wczytując się w równe, kaligrafowane pismo właściciela zeszytu.

— A kiedy ostatni raz oglądaliście panowie przeźrocza za pomocą urządzenia pod nazwą laterna magica? — ucieszył się Ignaz, wskazując na drewnianą lakierowaną skrzynię, z której wyrastał obiektyw. — Latarnia magiczna, urządzenie stare jak świat, o pozornie skomplikowanym mechanizmie...

Wejherowianie popatrzyli na siebie niepewnie. Ignaz chciał wytłumaczyć im zasadę działania urządzenia, ale w tym momencie dostrzegł półkę, na którą Theodor Pratz odkładał crystolea, ręcznie kolorowane fotografie. Musiał mieć niemałe zdolności plastyczne, zdjęcia wyglądały bowiem tak, jakby powstawały barwne, co jak wiadomo, jest niemożliwe.

Dłużej przypatrywał się barwnej fotografii generała von Voigtsa na zegarku kieszonkowym, ponieważ kilka lat wcześniej spotkał generała przy okazji badania sprawy „Kapitana XYZ” z Frankfurtu.

— Panowie, zachowujemy się jak dzieci, które zamknięto na zapleczu cukierni. Czego właściwie tutaj szukamy? — zauważył wreszcie.

— A... Tego właściwie nie wiem — zmieszał się posterunkowy, tracąc dotychczasowy rezon.

— Tak! Widzicie, Bochentin? Prawdę mówiąc, ja też od trzech kwadransów stoję wobec tego pytania. Jako doświadczony policjant, zauważyłem tu wiele interesujących rzeczy. I nie powiedziały nam one nic. Absolutnie nic.

— Właśnie — zgodził się Braun. — Szukamy igły w stogu siana. Musieliśmy to zrobić, przy okazji nasze doświadczenie życiowe wzrosło, ale musimy chyba wrócić do słów umierającego.

Komisarz pokiwał głową, posterunkowy na wszelki wypadek zrobił to samo. Obaj z napięciem spojrzeli na Ignaza. Skoro zaczął podsumowanie, powinien mieć jakieś spostrzeżenia.

— Spodziewaliśmy się irracjonalnie podpowiedzi — odparł Braun. — Spodziewaliśmy się, że Theodor Pratz zza grobu udzieli nam jakiejś informacji.

— Ale w końcu przekonaliśmy się, że tej informacji nie znajdziemy — pokiwał głową komisarz, uspokojony nieco, że nie tylko on nie zauważył niczego nadzwyczajnego.

Braun kontynuował.

— Zajęcie mieliśmy doprawdy ciekawe. Przypomnieliśmy sobie zdarzenia i przedmioty, które darzymy sentymentem, mogliśmy się nawet nieco poprzekomarzać... Niemniej trzech policjantów, z górą trzy godziny przeszukujących atelier, nie znalazło niczego. Dziewięć godzin, sumując,

wypatrywania czegokolwiek zostało zaprzepaszczonych. I nie ma w tym naszej winy, żeby nie było nieporozumienia.

— Jak to? — Bochentin, przyzwyczajony, że komisarz Rensch wszelkie niepowodzenia zwykł zrzucać na podwładnych, był szczerze zdumiony.

— Pan komisarz stwierdził, że Pratz nie miał żadnych krewnych, swoje zbiory dawno temu zapisał miastu, przy czym były one, wyłączając bieżące sprawy warsztatowe, dokładnie skatalogowane. Motyw rabunkowy nie wydaje mi się prawdopodobny. Wczoraj gdy widziałem go po raz pierwszy, a zarazem ostatni, był spokojny i pogodny. Widać było, że żadna troska nie zaprzętała jego siwej głowy. Panowie, czyżby jednak ktoś z gości przyjęcia?

Na moment zawiesił głos, nie bez odrobiny aktorstwa. Wiedział, że aby uformować oddanych współpracowników, należy zainteresować ich sekretem, informacją, zupełnie tak, jak robią dzieci w stosunku do innych dzieci. Braun szukał po omacku, ale ranek i wspomnienia kazały mu przypuszczać, że mgła, w której stawia ostrożne kroki, musi się w końcu rozstać.

Wejherowscy policjanci słuchali go w skupieniu, aż wreszcie obaj zatarli ręce.

— Tak, ja teraz zapraszam do siebie na koniaczek, może dwa, a potem zjemy jakiś obiad, panie inspektorze. Natomiast wy, posterunkowy Bochentin, możecie udać się do domu. Tak, przekąsicie coś i zaraz o siedemnastej oczekuję was w domu pani Neiss. Nie macie wprawdzie zbyt wielu szans na zauważenie czegokolwiek, ale przesłuchiwanie sądzą, że im więcej policjantów, tym gorzej dla nich.

— Tak jest!

— Pana natomiast, drogi inspektorze, zapraszam na obiad w moje skromne progi. Prawdę mówiąc, moja Katarzyna nie jest zła, a nie

wybaczyłaby mi, gdybym nie zaprosił takiego gościa. Już wtedy, przy sprawie młodego Wendersa, okropnie suszyła mi głowę. Tak, pan nie wie, jak ona potrafi... No dobrze, przyjmie pan zaproszenie, mam nadzieję? Bardzo proszę!

W tym momencie, wychodząc, policjanci przy samych drzwiach zauważyli oparty o ścianę statyw i leżący obok aparat fotograficzny. Te same, które Theodor Pratz miał przy sobie poprzedniego dnia.

— A więc odniósł swój sprzęt tutaj — zbyt mocno zdziwił się komisarz, chcąc w ten sposób ukryć zakłopotanie wynikające z faktu, że żaden ze śledczych nie zauważył przedmiotów tuż po wejściu do atelier.

Nie było innego wyjścia. Ignaz powędrował z komisarzem do siedziby wejherowskiej policji, gdzie zapoznał się z aktem zgonu i oględzinami zwłok, przyniesionymi przez słownego i dokładnego doktora Paschinskiego, a potem stanął razem z gospodarzem przed drzwiami domku przy alei Wilhelma, gdzie wraz z żoną mieszkał komisarz Rüdiger Rensch.



Dwie kobiety

Pani Katarzyna nie wyglądała na zaskoczoną przybyciem gościa. Gość zaś mógłby przysiąc, że nigdy nie bywała zaskoczona, była w końcu żoną policjanta i niejedno w życiu widziała. Wydała służącej, bezbarwnej, ale prawdopodobnie kompetentnej, kilka ostatnich krótkich poleceń dotyczących obiadu, sama zakrzętnęła się przy stole w jadalni, a po dwudziestu minutach zasiadła w towarzystwie gościa i męża przy olbrzymim okrągłym stole.

Kiedy służąca postawiła przed gospodarzami i Braunem dymiącą wazę z rosółem i napełniła talerze, po czym wyszła, pani Katarzyna przemówiła.

— Panu, inspektorze, sądzone jest widać ściganie sprawców w Wejherowie. Pierwszy przypadek był niejako wymuszony przez stołeczną policję, ale teraz? Przecież przyjechał pan tutaj najzupełniej prywatnie. Przeznaczenie jest wielką siłą!

— W istocie, łaskawa pani — Ignaz skłonił się z wystudiowaną bezradnością. — Taki już los policjanta, że przyciąga zbrodnię.

— Tak, tak, mi też zdarzało się niejednokrotnie... — zaczął komisarz, ale żona nie pozwoliła mu dokończyć.

— Stary Theodor był ostatnią osobą, którą ktoś powinien zamordować. To był spokojny, szanowany człowiek, bardzo sympatyczny. Sama znam parę osób, będących wymarzonym celem dla jakiegoś wariata. Igrających z losem, chciwych, nieuprzejmych i aroganckich.

— Katarzyno, nie można tak myśleć — w komisarzu odezwał się etyk.

Pani Rensch zaniemówiła. Ale tylko na chwilę. Spojrzała prosto w oczy męża i odpowiedziała powoli, bardzo wyraźnie.

— Pozwól, że w moim domu będę mówiła, co chcę. Na komisariacie, albo w obecności pastora Classa, możesz sobie wygłaszać rozmaite kazania, ale tutaj obowiązuje myślenie. Nie powiedziałam zresztą nic niewłaściwego.

— Doprawdy? — nieśmiało szepnął skarcony mąż.

— Oczywiście — pani Katarzyna naląła sobie drugą porcję rosołu gęstego od apetycznych kluseczek. — Panie inspektorze — teraz z kolei napełniła pusty już talerz gościa — czy prawdą jest, że co roku popełnianych jest mniej więcej tyle samo przestępstw, w tym morderstw?

Na twarzy inspektora pojawił się ledwie dostrzegalny uśmiech, zaraz jednak znikł. Braun czuł, że komisarz czeka na jego opinię jak na wybawienie.

— No cóż, łaskawa pani, istnieje teoria stałości przestępczej, ale...

— Ale? — gospodyni nie dawała za wygraną.

— Ale traktuje ona statystyki w sposób dość dowolny i służy zazwyczaj politykom opozycyjnym, aby uwypuklać domniemaną nieudolność prewencyjną organów policyjnych. Przy czym dzisiejsi opozycjoniści nie są przesadnie przywiązani do swej teorii, gdy już zasiądą w ławach rządowych.

— Natomiast świeżo upieczeni opozycjoniści nagle zaczynają te statystyki dostrzegać, inspektorze — zauważyła pani Rensch. — Użył pan

obosiecznego argumentu...

Obu policjantów uratowała służąca, która wniosła półmisek z pachnącymi kurczętami. Wydawało się, że rozmowa pod wpływem nowych atrakcji kulinarnych zejdzie na nowe tory.

— Tym razem ten cały Richter postarał się, żeby drób sprzedawany w jego sklepie rzeczywiście przypominał drób — zauważyła pani domu. — Jednak nie zawsze tak bywało. Czasami jego wyroby są takie, jakby był początkującym rzeźnikiem.

— Mnie zawsze wszystko smakuje — pojednawczo zauważył komisarz.

— Bo nie masz smaku, Alsleben zupełnie zniszczył twoje podniebienie. Za często u niego jadasz. Kto to w ogóle widział, jadać w hotelu! Rozumiem, że masz nienormowany czas pracy, ale godzina na domowy posiłek to nie jest zbyt wiele. A wracając do rzeźników, szkoda, że ktoś, kto już musiał zamordować człowieka, nie zrobił tego z Lessingiem. Arnold Lessing — zwróciła się do Ignaza — jest hochsztaplerem, podającym się za rzeźnika i stosującym zaniżone ceny, aby wyeliminować konkurencję. Słyszałam, że myje w szarym mydle kurczęta, które nie są zbyt świeże. Czy to nie okropne? Jego ja sama mogłabym potraktować nożem.

— Katarzyno — komisarz wstał i patrzył na żonę zdesperowanym wzrokiem, a Braun udawał niezwykle zajętego swoim talerzem, służąca bowiem nakładała właśnie ziemniaki i podawała miseczki z mizerią.

Katarzynę zaś cała sytuacja wydawała się bawić.

— Nie złość się, oficerowi policji nie przystoi złość. Albo przynajmniej zachowaj ją dla prawdziwych przestępców, a nie takich amatorów jak ja. Zaraz to wyjaśnię panu inspektorowi, który nie miał jeszcze okazji poznać wszystkich moich poglądów. Otóż ktoś, kto w taki sposób podchodzi do sprzedawanego towaru, naraża kupujących na zatrucia, choroby, a nawet śmierć. Czyż nie?

— Z pewnością — Braun wyszeptał te słowa możliwie jak najciszej.

— Właśnie. Oni zaś zaufali mu, oddając w jego ręce swoje żołądki.
Mam rację?

— Tak...

— Jest więc trucidielem i zabójcą. O ile wiem, w naszym kraju prawo surowo traktuje takich ludzi, a procesy, jeśli nie są poszlakowe, przebiegają sprawnie i wyrok jest zazwyczaj surowy

— Niemniej... — spuścił głowę komisarz.

— Nie ma „niemniej”. Zamordowano człowieka, któremu tak samo ludzie zaufali!

Obaj policjanci, zauważywszy, że pani Katarzyna zawiesiła głos, poprosili niemal równocześnie o doprecyzowanie analogii. Nie zrobili tego szczerze.

— Wydawało mi się, że oficerom policji, osobom inteligentnym, nie muszę tłumaczyć sprawy tak prostej — zdziwiła się gospodyni. — Rzeźnikowi ludzie powierzają swoje ciało, swoje zdrowie. Fotografowi powierzają swoje dusze i wspomnienia. A nawet więcej — powierzają mu to, kim będą dla swoich dzieci i wnuków. Wnuki to jeszcze nic, dla potomności! Ktoś po dziesiątkach lat będzie mnie oglądał i nie mogę tej sprawy złożyć w ręce fuszera.

— Z pewnością — sarkastycznie wtrącił Rensch.

— Powierzam więc siebie. I nie można rozdzielić duszy od ciała, rzeźnika od fotografa, dokonać podziału na ważniejszego i mniej ważnego. Bo to, czy będę zdrowa, i ile czasu będę żyła, może wpłynąć na zbawienie mojej duszy. I skoro statystyka jest taka... A zbawienie jest ważniejsze od wspomnień.

Ignaz ze zrozumieniem pokiwał głową.

— I dlatego uważa pani, że skoro ktoś musiał umrzeć, i skoro miał umrzeć ktoś, kto, że się tak wyrażę, spełniał pokrewną rolę w społeczeństwie jak Theodor Pratz, powinno paść na przykład na rzeźnika, tyle że przestępcę...

— Jest pan jednak człowiekiem myślącym — ucieszyła się pani domu.
— Potwierdziło się choć raz, co mówił mój mąż.

Zrezygnowane milczenie męża towarzyszyło ostatnim słowom żony. Rüdiger Rensch nie był jednak bezbronny. Jego orężem był czas, cenny czas policjanta. Jednego pani Katarzyna nauczyła się przez lata małżeństwa — czas policjanta należało bezwzględnie szanować, nawet wbrew sobie. Nie ustępowała wprawdzie w imię miłości do komisarza, raczej z przywiązania do praworządności.

Codzienny rytuał dla postronnego obserwatora nie zawsze był z początku czytelny, ale Ignaz znał go, bywając w wielu domach, gdzie mieszkali policjanci.

Komisarz chrząknął znacząco, wstał, poprawił krawat i otworzył kopertę zegarka. To samo zrobił Ignaz, patrząc z przyjemnością w tarczę swojego tissota. Odkąd dostał ten właśnie chronometr od burmistrza Le Locle w dowód wdzięczności za wykrycie sprawcy trzech morderstw kryjącego się pod pseudonimem „Wesołego Zegarmistrza”, przywiązywał dużą wagę do hermetycznego, jakże fascynującego świata czasomierzy.

Dla pani Katarzyny był to nieubłagany sygnał. Nie mogła mieć już nic do powiedzenia.

Kiedy policjanci, skąpani w późnopołudniowym słońcu, wyszli na aleję Wilhelma, w Ignazu odżyły wspomnienia. Po raz pierwszy szedł tędy z Anną Richter, kruchą, wrażliwą na wszelkie choroby, a jednak władczą i nad podziw silną. Potem spacerował pod drzewami alei z Bernadetą,

a spacery te wywoływały szybsze bicie jego serca. Teraz znowu był tutaj, i znowu w tle majaczył cień zbrodni.

Aleja Wilhelma nic sobie nie robiła z ponurych okoliczności. Bezwstydnie wdzięczyła się do obu mężczyzn wyszukaną elegancją domów z bogatymi elewacjami, kokietowała, niczym rozdokazywana pannica, wieżyczkami o pomarańczowych dachówkach i błękitnymi szybami okien. Domom przyglądał się również posterunkowy Bochentin, który już czekał na oficerów.

Pokojówka zatrudniona u pani Wilfridy wyglądała na zatroskaną wizytą przedstawicieli policji. Jej ciekawe wszystkiego, nieco wyłupiaste oczy badawczo strzelały w stronę komisarza i inspektora, dominowało w nich jednak pełne lęku oczekiwanie.

— Pani jest uprzedzona o panów wizycie i czeka w salonie — powiedziała.

Z prostego, ale eleganckiego krzesła podniosła się Wilfrida Neiss. Jej wyniosła postać górowała nad policjantami, nie tylko wzrostem, ale i dystansem. Włosy, koloru nieokreślonego, upięte były skromnie, bez nowomodnych ekstrawagancji, a prostej sukni nie ozdobiła żadna biżuteria. Skłoniła się lekko, bez unizoności.

— Jest mi miło, panowie. Nie wiem tylko, czemu zawdzięczam tę wizytę.

— Tak, nam też jest miło, chociaż wolelibyśmy ujrzeć panią w nieco przyjemniejszych okolicznościach — zaczął komisarz.

— Nie rozumiem, o czym pan mówi — odparła kobieta.

— Czy Heinz z posterunku nie uprzedził pani? Poleciałem mu przecież — zdziwił się Rensch.

— Chodzi o Theodora Pracza? Przykre wydarzenie, ale, daruje pan, nie widzę związku między sobą a morderstwem.

Nastała chwila krępującej ciszy, wreszcie jednak pani Wilfrida zaprosiła gości do zajęcia miejsc na krzesłach, takich samych jak to, z którego wstała na ich widok.

— Otóż... — zaczął komisarz, ale pod wpływem badawczego wzroku kobiety zawahał się.

— Otóż pan komisarz chciałby powiedzieć, że organa policyjne powzięły pewne podejrzenia, zgodne zresztą z rutynowymi działaniami przewidzianymi na okoliczność morderstwa — wyrzucił z siebie Ignaz, czym wzbudził w rozmówczyni cień zainteresowania. Wiedział, że musi emanować pewnością siebie, inaczej cała rozmowa przebiegać będzie tak, jak dotychczas.

Inspektorowi miło było, nawet bardziej niż miło, że zaszczycony był możliwością wczorajszej obecności w jakże uroczym domu. Goście byli nadzwyczaj interesujący, rozmowy fascynujące, a bogactwo doznań towarzyskich przeogromne. Gospodyni słuchała tego wszystkiego z pozornie kamienną twarzą, ale liczba powtarzanych komplementów (wiedziała, że przesadnych) robiła na niej coraz większe wrażenie. Nikt nie chciałby, aby spotkanie, którego jest gospodarzem, oceniono jako nieudane, gość natomiast, przybyły z samego Berlina, mimo pewnej dozy zwyczajowych pochlebstw, nie mógł być aż tak obłudny i nieszczerzy.

— Tym bardziej boleję, że ostatnimi osobami, które widział świętej pamięci Theodor Pratz, byli goście pani przyjęcia — zakończył Ignaz niedbale.

— Co... Co pan ma na myśli? — obojętność zupełnie znikła z twarzy pani Wilfridy.

— Pan inspektor... — Rensch odzyskiwał rezon i pragnął zatrzeć sam przed sobą przykre uczucie niepewności, jakiego doznał przed chwilą. Pani Wilfrida nie dała mu jednak dokończyć.

— Panowie wyobrażają sobie, że na skutek pobytu w moim domu ten nieszczęśnik został zamordowany? Na jakiej podstawie? Panie inspektorze, czy pan wie, że posiadam pewne stosunki w siedzibie rejencji? Obiecuję panu, że nie zawaham się ich wykorzystać, jeżeli będzie stawał pan moich gości i mnie w dwuznacznej sytuacji.

Nastąpiło, nie pierwsze podczas wizyty, kłopotliwe milczenie. Braun postanowił ratować sytuację. Nie bał się interwencji gospodyni, ale nie chciał utracić jej jako cennego współpracownika.

— Droga pani — zaczął tonem, z którego zaniepokojona pani Wilfrida nie potrafiła niczego odczytać — nie przyszliśmy tu, aby nękać pani bezpodstawnymi podejrzeniami. Gdybyśmy mieli bezpośrednie dowody, rozmawialibyśmy najpierw nie z panią, ale z podejrzanym. Jest pani osobą mądrą i przenikliwą, dlatego też pragniemy, aby udzieliła nam pani pomocy. Czy chciałaby pani, aby plotkowano w mieście na temat gości wczorajszego przyjęcia?

— To groźba? Oczywiście, że nie chciałabym.

— Otóż to — ucieszył się inspektor. — A ja zapewniam panią, że zaczną plotkować, gdy tylko minie pierwsza fala oburzenia morderstwem. Lepiej, żeby plotkowali krócej... Tak wiele od pani zależy, proszę nam pomóc.

Kobieta wyprostowała się na krześle, o ile w ogóle było to jeszcze możliwe, ponieważ cały czas siedziała tak, jakby połknęła kij.

— Jestem do panów dyspozycji — odparła cicho.

Ostatnim słowom towarzyszył triumfalny uśmiech komisarza, źle skrywany, ale całkowicie zrozumiały. Braun natomiast zapragnął wykorzystać zwycięstwo, wstał i zaczął spokojnie, metodycznie chodzić po pokoju w tę i w tę, jakby to on był gospodarzem. Wiedział, że owe

spacery łamią świadka bardziej niż najperfidniejsze metody przesłuchań stosowane na Alexanderplatz.

— Widzi pani, Theodor Pratz, choć musimy to jeszcze dokładniej potwierdzić, nie miał żadnych wrogów. Do wczoraj, a byłem tego nieszczęsnym świadkiem, zdawał się uosobieniem spokoju i pogody ducha. Jego ruchy, gesty, czynności, które wykonywał, wskazywały na jedno: nic mu nie groziło. Takiego kogoś nie nękają pogroźkami szantażyści. Nie był zadłużony, nie nosił przy sobie żadnej gotówki. Dlatego, żeby jej nie zgubić. I dlatego, żeby nikt go nie napadł. Był z tego znany. Wczorajszego wieczoru przyniósł ze sobą aparat fotograficzny, statyw i szklane negatywy. Aparatu nie odnaleziono przy zwłokach, ale tylko dlatego, że cały sprzęt był już w atelier. Kradzież nie wchodzi więc w grę.

— Wykluczają panowie motyw rabunkowy... — szepnęła poruszona pani Wilfrida.

— Tak. To znaczy nie. Nie do końca. Na tym etapie śledztwa, sama pani rozumie... Może miał przy sobie coś jeszcze? Niemniej są motywy prawdopodobne i mniej prawdopodobne. Tak. Motyw rabunkowy ucieka gdzieś... — Rensch wykonał nieokreślony gest szeroką dłonią.

Nagle przez twarz gospodyni przeszedł cień. Badawczo spojrzała na jednego policjanta, potem na drugiego.

— Skąd taka szczerłość? Przecież to są tajemnice śledztwa, panowie zaś mówią mi o nich tak, jakby tłumaczyli się przełożonemu.

— Ponieważ dobrze mieć zaufanie osoby, która może okazać się pomocna tak, jak nikt inny — anielski wyraz twarzy Ignaza rozbroił panią Wilfridę w jednym momencie. — Byłoby dobrze, gdyby łaskawa pani pokrótce opowiedziała nam o każdym z gości. Wszystko może się przydać, zwłaszcza że nie znamy motywu, który mógł kierować potencjalnym sprawcą. Przepraszam jeszcze raz, że mówię tak o pani gościach, ale...

— W porządku, pojęłam już panów i swoją rolę — gospodyni pokiwała głową z rezygnacją. — Tylko że ja... Niewiele o nich wiem. Nie wiem, czy ktoś z nich znał wcześniej fotografa, ale raczej ktoś musiał, skoro tamten tak bardzo mu się czymś naraził.

— Nie zna pani gości, których sama pani zaprosiła? — Rensch próbował myśleć aż nazbyt logicznie.

Teraz z kolei pani Wilfrida była zdziwiona.

— Ależ to byli goście Elzy! Pan inspektor nie zauważa różnicy? Nie jestem osobą wiekową, ale chyba rzucało się w oczy, że to Elza czuła się jak ryba w wodzie, a ja spełniałam raczej rolę opiekunki.

— I nie widziała pani tych osób wcześniej? — z kolei Rensch był zdziwiony.

— Moja bratanica układała listę gości razem z tym roztrzepanym młodym człowiekiem, Sigmundem.

Małe miasto, wszyscy się znają... Niemniej sprawa nie przedstawiała się tak prosto, jakby życzyli tego sobie dwaj policjanci, i nawet posterunkowy Bochentin, który do tej pory milczał, parę razy westchnął głęboko, gdy pani Wilfrida przecząco odpowiadała na kolejne pytania dotyczące jej gości. Do Wejherowa przyjeżdżało wielu rentierów, niemało też było osób, które bawiły w mieście przejazdem. Od czasu gdy szczęśliwie przebiegała tutaj ważna dla kraju linia kolei żelaznej, tymczasowość pobytu wielu osób w Wejherowie stała się tak oczywista, jak to, że codziennie rano wschodzi słońce.

Pani Neiss, owszem, znała kilka osób z widzenia, kilka nawet bywało u niej w domu raz czy drugi, w szczególności Sigmund von Mach i dwaj panowie Meinhardowie z tym dziwnym Norwegiem, który pisze jakąś partyturę (nie może jej z czystym sumieniem ukończyć i jest z tego powodu bardzo nieszczęśliwy, dlatego wziął się ostatnio za rysowanie i poezję), ale

poza tym? Nie, nie wie o pozostałych niczego konkretnego. Wyłączając oczywiście obu pastorów Classów, ojca i syna, i w szczególności Eleonorę. Tak, ale tamci są duchownymi, więc może za nich ręczyć, a Eleonora, przesiadująca w domu pań Neiss całymi dniami, jest jak członek rodziny, więc za nią ręczy tym bardziej.

— Nie zauważyła pani żadnej okoliczności... — próbował zapytać Ignaz, ale gospodyni weszła mu w słowo.

— Nie, oczywiście, że nie, inaczej powiedziałabym od razu, skoro zostałam elementem maszyny śledczej. — Policjanci nie do końca pojęli, czy ostatnie słowa wypowiedziane były z dumą, czy ironią.

— Sigmund von Mach? — zapytał Braun, choć było mu smutno, że młodzieniec otarł się o tak przykrą sprawę.

Zgorszony wzrok pani Wilfridy był nie do zniesienia.

— Przecież on jest siostrzeńcem doktora Puppego. Panie inspektorze, pan przyjaźni się z doktorem...? Sigmund jest młodzieńcem cokolwiek płochym, ale chyba nie podejrzewa pan...

— Droga pani, nie podejrzewając nikogo, muszę podejrzewać wszystkich — ze smutkiem pokiwał głową Ignaz, który cieszył się przyjaźnią profesora Puppego, tak zasłużonego dla niemieckiej kryminalistyki.

Pamiętał, jak sekundował staraniom starszego przyjaciela, gdy ten zakładał Niemieckie Towarzystwo Medycyny Sądowej, i jak zachłannie czytał artykuły Puppego w „Deutsche Medizinische Wochenschrift”. Tak, kawał czasu...

W gruncie rzeczy niewiele wiedział o Sigmundzie. Był to sympatyczny młody człowiek, którego wszędzie było pełno. Nieco zbyt bezpośredni, niekiedy prowokujący podczas dyskusji politycznych, ale lubiany przez wszystkich. Ignaz wyobraził sobie teraz, jak Sigmund von Mach podchodzi

do starego fotografa z nożem sprężynowym i pewnym ruchem wsadza ostrze pod serce nieszczęśnika.

Obrzydzenie do własnych myśli ogarnęło Brauna.

Z walki sentymentu z przyzwyczajeniami wyrwały Ignaza odgłosy, jakie posłyszał za swoimi plecami.

— Droga pani, jakże nam przykro! — tubalny głos zagrział tuż po mocnym stukocie klamki.

— Panowie Meinhard, proszę pani... — zaczęła cicho służąca, ale formuła przez nią wypowiedziana rozplynęła się w powietrzu.

— Pani Wilfrido, doprawdy to niesłychane — chciał kontynuować Gottlieb Meinhard, ale na widok policjantów zamilkł.

— Panowie pozwolą — ozwała się gospodyni — komisarz Rensch i inspektor Braun właśnie mówią ze mną o Theodorze Pratzu.

— Tak miło rozmawiało się wczoraj z panem inspektorem — niskim głosem ozwał się Otto. — A teraz w takich okolicznościach...

Braun bezradnie rozłożył ręce.

— Koledzy z Berlina ciągle mi powtarzają, że mam dar przyciągania zbrodni.

— Panie inspektorze... — z teatralnym niedowierzaniem, jakby nie pojął osobliwego żartu, zaczął starszy Meinhard — niech pan nie bierze sobie takich opinii do serca! Dobrze, że pan tu jest. Policja na pewno szybko poradzi sobie z wykryciem sprawcy. Co za nieszczęście, że ten człowiek nie żyje! Byliśmy świadkami jego ostatnich chwil! Pani Wilfrido, jesteśmy do pani usług. Niewymownie nam przykro, że była pani tak blisko tragedii, ale przecież to nie powinno zaciążyć na pani bezcennym samopoczuciu!

— Przyszliśmy, aby złożyć pani uszanowanie — dopowiedział Otto po ojcowsku i synowsku zarazem.

Obaj jak na komendę usiedli na wolnych krzesłach, a posterunkowy Bochentin zauważył, że nie zostali do tego zachęcani przez gospodynię. „Gdybym ja tak usiadł, zwykły posterunkowy, byłaby niezła afera”.

— Panowie — ozwał się Braun, który nieznacznie wyprzedził komisarza — skoro już teraz mogę skorzystać z waszej obecności, zrobię to z największą przyjemnością.

Meinhardowie spojrzeli na Ignaza, potem na siebie.

— Tak, pan inspektor i ja skorzystamy — odpowiedział Rensch, zacierając ręce.

W oczach gospodyni zaiskrzyła się ciekawość, ale szybko zgasła po następnych słowach inspektora:

— Łaskawa pani, czy moglibyśmy, z przyczyn proceduralnych, ale i praktycznych, przenieść się z panami Meinhard do osobnego pomieszczenia? Rozumie pani chyba...

— Oczywiście — z udawaną obojętnością powiedziała pani Neiss i zadzwoniła na pokojówkę.

Po kilku chwilach przy ciężkim stole w jadalni siedzieli naprzeciwko siebie trzech policjanci oraz stryj i bratanek.



Stryj i bratanek

Odkąd Ignaz został policjantem, a może i wcześniej, osobliwie interesowały go kontrasty. Wysnuwał z nich ogólne bądź szczegółowe wnioski, czasami też nie wysnuwał żadnych wniosków, bawiąc tylko wzrok i umysł przypatrywaniem się, jak zróżnicowane twory lub sytuacje świat przynosi tym, którzy posiadli dar obserwacji.

Pokrewieństwo między Meinhardami było bliskie, ojciec Ottona był bratem bliźniakiem Gottlieba, o czym poprzedniego wieczoru wspomniał von Mach, przedstawiając Braunowi obu mężczyzn. Nikt jednak, kto o tym nie wiedział, nie potrafiłby dopatrzeć się, że Meinhardowie są choćby dalekimi krewnymi.

Ignaz, który już rankiem przypomniał sobie ów kontrast, teraz ponownie oceniał wzrokiem gesty i sposób zachowania obu mężczyzn. Mocny głos Gottlieba i niski, uważny Ottona. Szerokie, lecz kanciaste ruchy tego pierwszego i dokładne, mierzone drugiego. Zbyt wiele słów stryja i precyzja w wypowiedaniu myśli przez bratanka.

„Doktor Rilke z sąsiedztwa z pewnością kazałby zmierzyć im puls” — pomyślał Ignaz, patrząc wpierw na czerwoną twarz Gottlieba i przekrwione

białka jego oczu, potem zaś na niemal ospałe gesty Ottona.

— Bardzo lubię atmosferę jadalni — zaczął Ignaz.

Odpowiedziało mu milczenie Meinhardów, którzy byli tak zdziwieni usłyszanym stwierdzeniem, że nawet na siebie nie spojrzeli.

— Tak. Pan inspektor bardzo lubi atmosferę jadalni — dodał Rensch, choć on także nie wiedział, co Braun ma na myśli.

Nastała cisza. Stryj i bratanek, aby uniknąć wzroku inspektora i komisarza, a nawet posterunkowego Bochentina, z wielką uwagą przypatrywali się wystrojowi pomieszczenia.

Jadalnia umeblowana była skromnie, lecz ze smakiem, co bardzo pasowało do charakteru gospodyni. Kremowa tapeta bez wzoru dodawała ciepła meblom i nie przytłaczała całości, co zdarza się często, kiedy właściciel jadalni pragnie urządzić ją bogato. Duży orzechowy kredens stał naprzeciwko serwantki z lustrem, mieszczącej kilka serwisów do kawy i kryształ. Krzesła, lekko zaokrąglone, odrobinę niemodne, posiadały tę upragnioną cechę swojskości, dzięki której każdy, kto przekroczy progi Królestwa Posiłków, pragnie rozsiąść się i oczekiwać na napełnienie talerza. Trzy sielskie obrazy średniej wielkości i wartości, przedstawiające łagodne nizinne krajobrazy, dopełniały wrażenia, że przy stole w tym domu nie można liczyć na jakieś nowomodne ekstrawagancje, za to zjeść można smacznie i obficie.

— Tak więc, drodzy panowie, spotkaliśmy się wczoraj po raz pierwszy, a los chciał, że i nie ostatni — zaczął Braun.

— W istocie — potwierdził Gottlieb. — Cóż stąd jednak dla nas wynika? Nie bardzo wiem, jak moglibyśmy panu inspektorowi dopomóc.

— Tego biedaka znaleźliśmy tylko ze słyszenia — zamyślił się Otto.

Braun spojrział na niego z uwagą.

— Ale słyszeli o nim panowie coś niecoś?

— Oczywiście! — odparł Gottlieb. — Oczywiście. Ja sam z oddali widywałem go kilka razy w mieście, jak chodził tym swoim szybkim truchtem. Dźwigał zawsze całą maszynę i wydawał się taki szczęśliwy! Mój Boże...

— Przebywając jakiś czas w Wejherowie, nie sposób nie słyszeć o Theodorze Pratzu — dodał Otto. — Moje kontakty z fotografem były tego rodzaju, jak w przypadku stryja.

„Ale tak naprawdę, po śmierci staruszek jest jeszcze bardziej znany niż za życia. To jest sztuka!” — pomyślał posterunkowy Bochentin i ucieszył się w duchu, że ludzie nie potrafią czytać w myślach. Chociaż, ten dziwak z Berlina...

Dziwak z Berlina milczał jeszcze chwilę, sądząc, że Meinhardowie dopowiedzą coś jeszcze. Daremnie.

— Widzą panowie, mamy tutaj z komisarzem Renschem niemały problem.

— Nie wątpię — Otto niekiedy bywał sarkastyczny, o czym Ignaz przekonał się już poprzedniego wieczoru.

— Niemniej — kontynuował inspektor — jak już zaznaczyłem w rozmowie z czcigodną panią Neiss, jest to właściwie problem nie nasz, a gości obecnych na przyjęciu.

— A to dlaczego? — Gottlieb zerwał się z krzesła. — Co my wszyscy możemy mieć z tym wspólnego? Pan raczy żartować. Pan nas wcale nie zna! Co my...

Inspektor wstał również i schował się za plecy starszego z przesłuchiwanym.

— Jesteśmy tu, aby odpowiedzieć na pańskie pytanie — głos śledczego stał się metaliczny, a komisarz wiedział, że od tego momentu Braun przestaje bawić się z przesłuchiwanym w kotka i myszkę.

— Od kiedy panowie przebywają w Wejherowie?

— Muszę sobie przypomnieć — Otto podniósł oczy w górę.

— Nie mamy zbyt wiele czasu, zabójca wykryty szybciej to mniejsze zagrożenie dla społeczeństwa i mniejsza szkoda dla państwa jako takiego. Proszę, aby od teraz odpowiedzi były udzielane szybko i konkretnie. Panom także się to opłaci, ponieważ rozmowa będzie trwała krócej, a domyślam się, że nie jest przyjemna ze względu na okoliczności i pewien brak ogłady towarzyskiej zazwyczaj cechujący funkcjonariuszy Wydziału Zabójstw podczas tego typu spotkań. Kiedy panowie przyjechali do Wejherowa?

— Dwa tygodnie temu — odpowiedział Otto cicho, lecz zdecydowanie.

Komisarz skinął na posterunkowego Bochentina, tamten zaś wyjął z torby kajet i ołówek, po czym szybko zapisał pierwszą odpowiedź.

— W jakim celu?

— Jak to w jakim? — zdziwił się Gottlieb, ale bratanek dotknął jego ramienia i przejął inicjatywę.

— Pan von Mach był tak uprzejmy, że wspomniał nam, jeszcze w Berlinie, o pewnym miasteczku w Prusach Zachodnich, do którego się wybiera.

— A panowie cierpią na nadmiar czasu — komisarz zapragnął dostosować się do stylu przesłuchania właściwego swojemu koledze.

— Nie rozumiem — Otto był zdezorientowany.

— Z czego się panowie utrzymują? Tak, panowie mają wiele czasu wolnego, jak tutaj widzimy. Pozazdrościć!

Gottlieb zaczerpnął olbrzymi haust powietrza, ale bratanek po raz drugi był szybszy.

— Panie komisarzu, mój stryj jest rzeczoznawcą majątkowym. To wolny zawód, jak doskonale panowie wiedzą. Nienormowany czas pracy, możliwość doboru klientów według własnego widzimisię. Ten sposób życia

daje wiele możliwości. Jeśli trafi się dobry, poważny i bogaty klient, potem następny i tak dalej, przez dobrych parę dni można potem nie robić dosłownie nic. Ma się rozumieć: nic w znaczeniu zawodowym. Stryju? — młodszy z Meinhardów skinął na starszego.

— W rzeczy samej — potwierdził Gottlieb, ochłonąwszy już nieco po pierwszej dawce nieuprzejmości, jaką zaaplikowali im policjanci. — Jako dziecko bardzo interesowałem się geografią. Do licha, jak ja chłonałem atlasy i mapy! Marzyłem, że będę wkrótce jeździł po całym świecie i zwiedzał wszystko, co warte i niewarte odwiedzenia. Ale, rozumieją panowie, proza życia. Pieniądze, rachunki, czynsze, nauka, dorabianie gdzie się da, żeby się kształcić. Na to, co najprzyjemniejsze, nigdy nie starczało wtedy czasu.

Ignaz skinął głową. On także miał podobne marzenia i podobne kłopoty związane ze wspomnianą prozą życia. Podobnie też, jak Meinhard, mógł teraz wreszcie w pewnym zakresie realizować swoją pasję. Nie na darmo uchodził przy Alexanderplatz za specjalistę od wykrywania zbrodni w niewielkich miastach. Zwiedził przy tym całe Cesarstwo. Nie mógłby przesiadywać całymi dniami w kostnicy, jak berliński król anatomopatologów Virchow. Braunowi potrzebna była zmiana otoczenia i świeże powietrze. Ostatnio gdy przebywał w Geretsried, tropiąc „Alpejskiego Owczarza”, właśnie świeżego powietrza mógł się nawdychać ile dusza zapagnie.

— Ale minęło parę lat...

— Teraz rzeczywiście, panie inspektorze, mam ten luksus. Czy pan da wiarę, że nigdy jeszcze nie byłem w Prusach Zachodnich? Nawet Memmel zwiedziłem w zeszłym roku, chociaż tam niemiecki diabeł mówi „dobranoc”. Byłem w Tanganice, mój kolega ma tam praktykę adwokacką, planuję jeszcze w tym roku zwiedzić nasze wyspy na Pacyfiku, jeśli tylko

zdrowie dopisze. Ale Prusy? To także patriotyczny obowiązek! Nie mogłem przepuścić okazji!

— Pana bratanek, zdaje się, idzie za pana przykładem.

— Jestem z tego bardzo zadowolony. Ani słowa! Bardzo zadowolony!

— Panie Meinhard?

— Stryj zaraził mnie, odkąd miałem jaką taką świadomość, bakcylem poznawania krajów i ludzi.

— Jest pan niespokojnym duchem? — zdziwił się Braun.

Otto podniósł oczy w górę, aby przemyśleć pytanie, ale zaraz przypomniał sobie, że należy odpowiadać szybko i konkretnie.

— Nie nazwałbym tak tego. Właściwie wszystko, co stryj powiedział o sobie, znajduje potwierdzenie i w moim przypadku. Tak jak i on, zostałem rzeczoznawcą majątkowym. Moi rodzice opuścili mnie szybko, oczywiście w znaczeniu ostatecznym; stryj wziął na swoje barki ciężar wychowania mnie i kształcenia, przy tym, siłą rzeczy, wyrosłem w atmosferze, jaka panowała w jego domu. Zaraził mnie pasją geograficzną. Bardzo lubię poznawać ludzi, ale nade wszystko ludzi wychowanych w nieco innej niż moja, tradycji. Góry, lasy, miasta, wszystko to znakomicie uzupełnia tę pierwszą pasję, humanocentryczną. Tak... Godziny spędzone ze stryjem nad mapami ukształtowały moje zainteresowania. Mam jednak stryjowi do zawdzięczenia praktycznie wszystko, ponieważ on łożył na moje wykształcenie, i to niemało.

— Daj spokój, Otto. — Gottlieb zdawał się zażenowany. — Było mnie stać.

— A jakie to ma znaczenie? Im kto bogatszy, tym bardziej liczy pieniądze — uśmiechnął się młodszy z Meinhardów.

— Do licha, ma pan rację! — wtrącił komisarz Rensch, zacierając ręce.

— Właśnie — ucieszył się Otto.

— Na jakim uniwersytecie pan studiował? Zdaje się, Heidelberg? — zainteresował się Ignaz.

— Heidelberg. — Były student dumnie podniósł głowę. — Miałem zaszczyt znaleźć się na seminarium profesora Wittego.

— Tego Wittego?

— Owszem — szybko potwierdził starszy Meinhard. — Studia ukończone z wyróżnieniem. Zatrudniłem bratanka w mojej kancelarii. Szybko się wdrożył, klienci są z niego bardzo zadowoleni. Możemy, jak już powiedziałem, wybierać w nich wedle uznania.

Ignaz przez moment zazdrościł rzeczoznawcom o niespokojnych duszach ich trybu życia, ale zaraz przywołał się do porządku.

— A jak znajdują panowie Wejherowo?

— Tak, właśnie! No jak? — dorzucił Rensch, co posterunkowy Bochentin skwitował ledwie dostrzegalnym uśmiechem.

— Nie powala z nóg, z pewnością — beznamiętnie powiedział Otto.

— Ale ładne i czyste. Dobrze tu karmią! — stryj nie zgodził się z bratankiem.

— Stryju, pan inspektor chyba nie pytał o restauracje czy jadalnie w dobrych domach, chociaż głodni rzeczywiście nie byliśmy, a w hotelu niejakiego Alslebena, gdzie się zatrzymaliśmy, można przez chwilę pomyśleć, że jest się w Kolonii. Ten człowiek, zdaje się, pochodzi z Nadrenii.

— Do rzeczy — szepnął Braun.

— A tak, Wejherowo jako takie... No cóż, mimo wielu starań ze strony rozmaitych władz, widać tu koloryt małomiasteczkowy. Mnie się to nawet niekiedy podoba, lubię przebywać w takich miejscach, ale nie potrafię powiedzieć, dlaczego. Pochwalić mogę Rynek, kamieniczki, kościoły, nawet tę katolicką kalwarię, ale ludzi... Są mało egzotyczni. To nie

Buszmeni, Malgasze lub ktoś w tym guście. Oni są za zwyczajni jak na mnie. Normalni obywatele, którym dosłownie niczego nie można zarzucić. Czy to nie irytujące? Żadnych cech osobliwych, w dodatku nie dostrzegam niezwykłych wad...

Dla komisarza nie było do końca oczywiste, czy ma się, jako gospodarz miejsca, obrazić, czy też nie.

— Chyba nie ma pan zbyt wielu okazji do rozmów z miejscowymi woźnicami ani kowalami? A może jednak?

— Rzeczywiście — uśmiechnął się Otto. — Dokonawszy po przyjeździe pospiesznej charakterystyki tutejszych typów ludzkich, rzuciłem się w towarzyskie objęcia osób spoza Wejherowa.

— Czy znał pan przedtem kogoś z gości pani Wilfridy? Poza Sigmundem, który jest naszym wspólnym znajomym? I rzecz jasna, panem Hamarenem?

Meinhard spojrzał rozbawiony na stryja, który, chwilowo pozbawiony możliwości autoekspresji, zaczynał się coraz bardziej niecierpliwić.

— Panie inspektorze, proszę wskazać mi osobę, która nie zna naszego Sigmunda? To swój chłop, jak mawia o nim stryj Gottlieb. Ale... Wiedzą panowie, Sigmund jest typem człowieka, którego wszyscy znają, a w rzeczywistości każdy może powiedzieć o nim same ogólności. Że ubiera się świetnie, z pozorną nonszalancją, że szaleją za nim wszystkie kobiety stanu dowolnego od Renu do Niemna, że ma liberalne poglądy tylko na pokaz, że potrafi dobrze tańczyć i lubi drogie koniaki. A poza tą fasadą jest ktoś, kto nie daje zbliżyć się do siebie nikomu.

— Sigmund zaproponował panom ten przyjazd, to już wiemy, w porządku — powiedział Ignaz, jakby do siebie. — A inni?

— Ten norweski dziwak, Ottonie! — wykrzyknął Gottlieb.

— Lars Hamaren jest moim przyjacielem z czasów studiów.

— Ten człowiek ukończył prawo... Nie podejrzewałbym, gdybym nie wiedział — pokiwał głową Ignaz.

— Właśnie. Nienawidzi serdecznie paragrafów, przepisów, aktów ustawowych ani sądów. Kończy już parę lat swoją drugą symfonię, maluje, pisze wiersze, ale nie cierpi środowiska Christianii; mówi, że kradną mu pomysły i filozofię życiową. Nie jest do końca spełniony w żadnym miejscu ani okolicznościach. Lubię go, taki oryginał. Nie sądzę, żeby zabił nieszczęsnego fotografa. Chyba że..

— Chyba że? — wyrwało się posterunkowemu Bochentinowi.

— Chyba że bardzo nie spodobałby się sobie na fotografii pana Pratza — całkiem poważnie odparł Otto.

Braun nie okazał zdziwienia. Niejedno widział w swoim życiu.

— Potrafiłby?

— Gdyby miał napad szału, co mu się zdarza, to owszem. Ale przecież tam nie było żadnego zdjęcia. To znaczy pan Pratz fotografował, ale szklane klisze zabrał ze sobą i Lars musiałby być jasnowidzem. Kiedyś wytargał za połę surduta malarza, który oddał jego postać tak, jakby chciał przedstawić wiejskiego pastora, ale wtedy Lars obraz widział. Skoro miałem opowiedzieć o osobach, które znam, wspomniałem o tym epizodzie.

— A pozostali?

— Takie tam rozmowy, o wszystkim i o niczym! — machnął ręką Gottlieb.

— I nie zauważyli panowie niczego podejrzanego? — Rensch zadał najbanalniejsze pytanie pod słońcem.

Meinhardowie, nie po raz pierwszy, równocześnie spojrzeli na siebie.

— Niestety — odparł Gottlieb. — Wszyscy zachowywali się obrzydliwie zwyczajnie, to znaczy odgrywali dokładnie takie role, jakie

odgrywa się na przyjęciu. Rozmowy o polityce, trochę narzekania na Kościół, ale w granicach przyzwoitości, żeby obu pastorom nie zrobić przykrości.

— W końcu oni również byli gośćmi pani Neiss — dodał Otto.

— Oczywiście. Czy panowie są świadomi, jakie relacje panują między uczestnikami spotkania? Chodzi mi o sympatie, antypatie.

Otto spojrział na Ignaza nieco zdziwiony.

— Przecież pan inspektor też tam był.

— Owszem, i mogę nawet panu zaręczyć, że zauważyłbym, jako policjant, więcej niż pan, ale niestety, nie mam oczu jak sowa i nie uczestniczyłem we wszystkich rozmowach równocześnie. Szkoda, ale tego nie uczą w żadnej akademii policyjnej, nawet w Recklinghausen. To taki policyjny Heidelberg...

— Rzeczywiście, ma pan rację — Otto przeprasząco skinął głową. — Wydaje mi się, że pani Schreder nie była zainteresowana żadnym z gości. Co do Sigmunda... To niepodobne do tego starego dandysa, ale chyba podoba mu się Eleonora, panna Gephard. Jest zupełnie nie w jego typie, opalona, z zaokrągloną talią, wszędzie jej pełno. On wolał zawsze zwiewne istoty. No cóż. Ale ona nie jest nim zainteresowana, bez dwóch zdań. No i ten śmieszny pastor...

— Franz?

— Nie, oczywiście że nie, mówię o Georgu. Młody Class wpatrzony jest w pannę Elzę jak w obraz. Nie ma zupełnie doświadczenia z kobietami i na kilometr widać, co czuje. A ją chyba drażni takie nachalne zainteresowanie. Całkiem słusznie. Bardzo zabawna postać, ale chyba dobry człowiek. Czy stryj ma coś do dodania?

Starszy z Meinhardów wyjątkowo nie miał nic do dodania.

— Pyta pan inspektor o antypatie, jakieś animozje. Wie pan, rozmawiałem o tym z bratankiem, gdy wyszliśmy już z przyjęcia. Rzadko spotyka się człowiek z sytuacją, że mimo dyskusji później wszyscy odnoszą się do siebie z szacunkiem. Właśnie tak było u pani Wilfridy. Starszy pastor szedł na noże z Sigmundem i zwłaszcza z panem Schrederem, który ma wyjątkowo ostry język. Ale pastorowi gniew szybko przechodzi, a ten adwokat ma za dużą klasę, żeby potem okazywać jakieś wstręty rozmówcy. Otto?

— Mam podobne odczucia. Możliwe, że o czymś nie wiemy, praktycznie nie znamy większości osób, część z nich pochodzi z Wejherowa i znają się dobrze. My wtargnęliśmy, że tak powiem, na ich teren gościnnie i dziwne byłoby, aby odczuwali potrzebę wtajemniczenia nas w swoje stosunki.

Kajet posterunkowego Bochentina przez cały czas zapełniał się notatkami. Drobne, staranne pismo (Bochentin już w szkole powszechnej lubił zajęcia z kaligrafii) wyróżniało się zawsze na tle innych w obrębie wejherowskiego komisariatu i Rensch, choć z ciężkim sercem, stawiał w tej kwestii Bochentina za przykład innym posterunkowym.

— A Theodor Pratz? Czy zauważyli panowie, w jakich był stosunkach z pozostałymi?

— Musiał znać panią Wilfridę i pannę Elżę, obu pastorów, pannę Eleonorę oraz pannę Gertrudę, ale nie powiedziałbym, że ich relacje wykraczały poza zdawkowe słowa, dotyczące prawie wyłącznie spraw technicznych — odparł Otto. — Myślę o ustawieniu do zdjęcia. Głównie pytali go o zdrowie, ale nie w takim znaczeniu, jakby coś mu dolegało.

— Kiedy Pratz opuścił salon?

— Na pewno około 22.00 — ożywił się Gottlieb. — Spojrzałem wtedy na zegarek, bo któryś z gości spytał mnie o godzinę. Między 22.00 a 22.10.

— Późno... — zamyślił się komisarz.

— W istocie, ale jest to, a raczej była, osoba na tyle poważana wśród miejscowych, że pani Neiss nie wypadało wypuścić go od razu po wykonaniu fotografii. Usiadł na kanapie, wypił filiżankę kawy, zjadł parę ciasteczek.

— A więc jednak rozmawiał z kimś — Rensch zatarł ręce.

— Nie! — huknął Gottlieb. — Właśnie, że nie! Siedział sobie cicho i przysłuchiwał się dyskusji pastora z tym adwokatem. Robił różne dziwne, nieco starcze miny, ale najczęściej uśmiechał się grzecznościowo do wszystkich. No i w dwóch słowach odpowiadał na pytania o zdrowie.

— Tak, stryj ma rację. Nie był typem gaduły. Chciał też, widać, ze wszystkimi żyć dobrze.

Braun pokiwał głową.

— Nie zdało się to na wiele, jak widać. A kiedy panowie opuścili przyjęcie?

— Co to ma za znaczenie! — obruszył się Gottlieb.

— Takie samo, jak w przypadku innych gości. Proszę o wyczerpującą odpowiedź.

— Stryju, nie denerwuj się, przecież nie mamy nic do ukrycia. Wyszliśmy o 22.30, może nieco później.

— Poszli panowie prosto do hotelu?

— Oczywiście! — Gottlieb jednak się nie uspokoił. — A co mielibyśmy porabiać w małym mieście o tak późnej porze?! Tu nie ma bulwarów ani kabaretów.

— Bywają panowie w kabaretach? — zainteresował się komisarz.

Otto zaśmiał się.

— Ja byłem może ze dwa razy pod koniec studiów, a do stryja to całkowicie niepodobne. Nie, oczywiście, że nie, stryj podał przykład.

— Rozumiem. Spotkali panowie kogoś po drodze? A w hotelu? Recepcjonista z pewnością zauważył panów powrót?

— Nie pamiętam, czy kogoś spotkaliśmy. Stryju?

Gottlieb wzruszył ramionami, jakby został dotknięty pytaniem.

— Recepcjonista? Tak, niski, szczupły, w drucianych okularach. Ukłonił się nam i to wszystko.

Braun wstał, w jego ślady poszli komisarz i posterunkowy Bochentin. Podnieśli się również Meinhardowie.

— Dziękuję za rozmowę. Do zobaczenia.



Panieński salonik Elzy Neiss

Według Hansa Grossa, którego „Podręcznikiem dla sędziów śledczych” Ignaz zaczytywał się w bezsenne noce podczas górskich wakacji w Tyrolu, przesłuchiwanie młodych panienek było niezwykle trudne. Miały one tendencje do konfabulacji, innego niż w rzeczywistości liczenia czasu, często wyrażały skrajne, krzywdzące i mylne opinie na temat bliźnich i zbyt starały się eksponować własną osobę.

Ignaz w duchu nieraz przyznawał staremu profesorowi Grossowi rację, i choć nigdy nie wyszedł z roli chłodnego policjanta (szukając głęboko w pamięci, znalazłyby się ze dwa lub trzy odstępstwa od reguły), odczuwał typowo męski niepokój przed kontaktami ze znacznie młodszymi pannami, o których nie wiadomo, na ile są jeszcze dziećmi i na ile są niewinne, a na ile perfidne w swej skomplikowanej kobiecości.

Poprosił jednak komisarza, aby zezwolił mu na samodzielne przesłuchanie panny Neiss. Rensch nie był tak czuły na kontakty z płcią przeciwną i nie miałby żadnych problemów z powłóczyistymi spojrzeniami, głębokimi westchnieniami oznaczającymi (być może) zakłopotanie i innymi sztuczkami. Mógł jednak spłoszyć pannicę nierozważną obcesowością.

Skądinąd miał w komisariacie parę zaległych spraw, a był umówiony z Braunem na wieczorną naradę, więc bez zbędnych ceregieli przekazał mu ostatnie tego dnia czynności związane ze sprawą Theodora Pratza.

Pokój Elzy nie wyróżniał się niczym szczególnym na tle podobnych świątyń panieństwa, jak mawiał pan Wolf z pisma „Jungfrau” wydawanego dla dziewcząt z dobrych i bardzo dobrych domów. Taki sam pokój ujrzał Ignaz, kiedy parę lat wcześniej trafił do gościnnego domu Sychowskich w Lęborku. Różnica była jedna: tutaj nie było na ścianach oleodruków o tematyce religijnej, a tylko prosty, duży krzyż naprzeciw drzwi.

Pastelowe tapety z delikatnym wzorkiem, lekkie mebelki kupowane z przeznaczeniem do takich właśnie miejsc. Na stoliku kilka egzemplarzy powszechnie prenumerowanego przez damy „Die Modenwelt”, na komódce koszyk z robótkami ręcznymi i futerał do skrzypiec. Pod oknem wesoło śpiewały dwa kanarki. Kanapa niewielka, nowa, wyłożona nieskazitelnym zielonym pluszem, jakby dopiero opuściła zakład meblarski. Na ścianach kilka akwarelek przedstawiających wodospady sudeckie i pagórki ozdobione lasem świerkowym. Ignaz spodziewał się widoków nieco spokojniejszych, ale pomyślał, że być może gospodyni saloniku bawiła kiedyś w górskich okolicach i darzy zwyczajnym sentymentem tamtejsze krajobrazy.

Zatopił buty we wzorzystym dywanie i po chwili siedział już przed panną Neiss.

— Wielki to zaszczyt dla mnie, że po raz drugi mam okazję widzieć pana inspektora. W czym mogłabym okazać się pomocna?

Elza spojrzała na Ignaza bez skrępowania. „Mogłem przewidzieć, że będzie zachowywała się w ten sposób — pomyślał. — Nie jest pannicą o przeciętnym usposobieniu”.

— Pani, zdaje się, wie już, co stało się z Theodorem Pratzem.

— Mój Boże, tak, ale nie chce pan chyba powiedzieć, że ma to coś wspólnego z wczorajszym wieczorem?

— Ma co najmniej o tyle, że fotograf został zamordowany właśnie wczorajszego wieczora.

— A... poza tym?

Braun spojrzał na pannę rozbrajająco.

— Poza tym chciałbym dowiedzieć się od pani jak najwięcej. Taki mój zawód.

Na twarzy Elzy odmalowało się zdziwienie.

— Co pan sugeruje, inspektorze?

— Będzie sugerowała prasa, droga pani, będą sugerować okoliczne dzienniki oraz ludzkie języki. Ja analizuję. Najpierw słucham, a potem analizuję. Co pani wie o gościach, którzy wczoraj byli w tym domu?

O gościach? A cóż ona, niewinna panna z dobrego domu, mogłaby wiedzieć? Jej wypada wiedzieć jak najmniej, a jeśli już coś wie, powinna zawsze i wszędzie zachować maksimum dyskrecji. Tak, dyskrecji brak w dzisiejszych czasach najbardziej. Nie powinno jej obchodzić, co myślą i robią jej goście. Powinna otoczyć ich, póki są pod jej dachem, troską w granicach rozsądku i zadbać, najlepiej poprzez niezobowiązującą konwersację, aby czuli się jak najlepiej. A potem? Są ludźmi dorosłymi, każdy odpowiada sam za siebie.

— Nie jest pani zbyt chętna do współpracy.

— Zachowuję się zgodnie z tym, jak mnie wychowano.

— A co sądzi pani o Georgu Classie, który panią adoruje?

Elza nie spodziewała się tak obcesowego pytania. Na moment zaniemówiła.

— Jak pan może?!

— Nie zadałem pani krępującego pytania. Przecież nie zapytałem, czy pani odwzajemnia jego uczucia, a fakt, że jest w panią zapatrzony, dostrzegają wszyscy.

— Georg? — zamyśliła się panna Neiss. — Pan raczy żartować... Miły chłopiec, ale nie jest w żadnym razie mężczyzną.

— Nie jest mężczyzną — bezwiednie powtórzył Braun.

— Oczywiście, że nie.

Oczy Elzy zabłyśły.

— Pastor Class wywoływać może rozbawienie, jest nawet dość inteligentny, ale... to wszystko, co mam o nim do powiedzenia. Mężczyzna musi być władczy i powinien zaimponować tym czymś, o czym panu inspektorowi nie powiem, bo sam pan jest mężczyzną, a mężczyznom do końca nie da się tego wytłumaczyć.

— No cóż...

Postać siedząca przed inspektorem odchyliła się nieco do tyłu.

— Pan jest podobno wytrawnym policjantem?

— Tak mówią — przytaknął zdziwiony Ignaz i przypomniał sobie niedawną sprawę „Praczki Luizy” z Dortmundu, kiedy to podziwiały go całe Niemcy.

— A więc powinien pan zwrócić uwagę na drobiazg, który da się wyłowić z moich słów — szepnęła najciszej, jak to tylko możliwe.

Przez plecy Ignaza przeszły ciarki. „Pan jest mężczyzną. On nie jest, więc mi się nie podoba. Pan jest mężczyzną, może się więc podobać. Może się mnie spodobać. Co ta diablica ma na myśli?! I dlaczego odgrywa taką scenkę? Domorośla uwodzicielka? Czy naczytała się za dużo romansów? Czy chce coś przykryć tą maskaradą?”

— Jestem wytrawnym policjantem — powiedział metalicznym głosem.

— Dobrze... Więc już pan wie... Dlaczego pytał pan o Classa? Czy po to pan tu przyszedł? Śledztwo i ja? Jest pan za mądry, żeby pytać mnie o rzeczy, na których się nie znam.

— Mam inne zdanie w tej kwestii.

— Niech pan przestaje udawać, na Boga! Czego uczą was w tym Berlinie?! Maskować się zawsze, w każdych okolicznościach?

— Muszę odkryć prawdę o morderstwie.

— Ignaz... — szepnęła i spojrzała na niego błagalnym wzrokiem.

Wcisnął się odruchowo w fotel, a ona siedziała jak skamieniała, tylko jej oczy ciągle błyszczały, a usta wypowiadały słowa, których nie chciałby słyszeć wytrawny policjant na służbie.

— Kiedy cię wczoraj zobaczyłam, poczułam się jak przesłuchiwana. Ale nie tak, jak dzisiaj, jak teraz. Przesłuchiwałeś mnie oczami, nawet drobne spojrzenia sprawiały, że czułam się zupełnie bezbronna, nie wiedziałam, gdzie mam się podziać. Odpowiedziałabym na każde twoje pytanie, zdradziłabym największy sekret, gdybym go miała. Jesteś wielkim policjantem, a ja jestem przy tobie taka malutka...

Nie spodziewała się uderzenia.

Kiedy otrzymała policzek, przez moment siedziała jak skamieniała. Potem podniosła się szybko, jeszcze szybciej usiadła i wlepiała w Ignaza wzrok pełen wyrzutu pomieszanego z zachwytem.

— Mam nadzieję, że teraz jesteś usatysfakcjonowana — powiedział beznamytnie. — A skoro tak, grzecznie odpowiesz na moje pytania.

— Tak.

— Zauważyłaś coś podejrzanego w zachowaniu gości?

— Kiedy? — odpowiedziała pytaniem.

— Grzeczna dziewczynka. O to mi właśnie chodziło. O myślenie. Przed przyjściem fotografa.

— Nie. Wszystko przebiegało tak, jak się tego spodziewałam. Goście byli zadowoleni, rozmawiali sobie o wszystkim i o niczym.

— Dyskusja między Schrederem a pastorami nie zdziwiła cię?

— Ani trochę. Stary pastor jest porywczy, a o panu Schrederze słyszałam, że ma bardzo wywrotowe poglądy. A na takich wieczorach często dochodzi do spięć, czasy są niespokojne. Tak mówi ciocia.

— Ma rację. Meinhardowie niczym cię nie zaskoczyli?

— Czy ja wiem? Nie lubię pana Gottlieba. To znaczy, boję się go trochę.

— A nie boisz się Ottona? On, skądinąd, również cię adorował...

— Jego nie. Zdarzali mi się już tacy wielbiciele — Elza uśmiechnęła się z zadowoleniem. — Starał się być trochę szorstki, ale jest pozerem. Gdybym chciała, owinęłabym go sobie wokół palca, a on nadal uważałby, że mi imponuje obyciem i tą niby-władczością.

Lekki grymas zagościł na twarzy Brauna. Pomyślał, że policzek wymierzony dziewczynie był posunięciem najlepszym z możliwych.

— Państwa Schrederów raczej nie podejrzewasz o morderstwo? A może się mylę?

— Po co mieliby zabić biednego Pracza? Są przyjezdni, zaraz wyjadą, oni myślą kategoriami nie stąd. Bujają w obłokach, chociaż potrafią twardo stąpać po ziemi, kiedy chcą.

— Sigmund von Mach?

— A to już pan inspektor chyba najlepiej wie, kim jest Sigmund.

— Nie wiem.

— Nie wie pan? Uroczy chłopiec, muchy by nie skrzywdził. A zresztą, on nie myślał o fotografii. W ogóle nie myślał o niczym i nikim z wyjątkiem Eleonory. Nie wie pan przypadkiem, dlaczego ja mu się nie spodobałam?

Pytanie było zadane całkiem poważnie i wypowiedziane z taką troską, że Ignaz parsknął śmiechem.

— Jesteś doprawdy urocza, moja panno...

— Naprawdę? — ucieszyła się Elza.

— Bez dwóch zdań. Może zaimponowały mu te jej dołki w policzkach.

— Pan żartuje?

— Nigdy nie żartuję z uczuć. Dlatego byłem wobec ciebie brutalny. A co powiesz o Gertrudzie Dangel?

— O tej nudnej klucznicy bożych przykazań? A co o niej w ogóle można powiedzieć?

— Coś można. Jest człowiekiem. Myśli, czuje...

— Niech pan da spokój, inspektorze. Myśli z pewnością, ale czy coś czuje? Ona chce zostać diakonisą i jej wybór tłumaczy wszystko. Nie znam jej, i nie interesuje mnie jej świat.

— Dlaczego więc pojawiła się na wieczorze? — zdziwił się Braun.

— Pastor Class opiekuje się nią, to sierota. Zapytał cioci, czy Gertruda mogłaby przyjść. Ciocia bardzo lubi pastora.

— A co powiesz o Hamarenie?

— O, wreszcie ktoś intrygujący. Choć nie jako mężczyzna.

— A więc w jakim sensie intrygujący?

— No wie pan, on jest artystą.

— Tak, z pewnością to ważki argument — Ignaz pokiwał głową z pełnym zrozumieniem.

— Właśnie. Taki chmurny i zamyślony, choć nieco na pokaz. Z nim porozmawiałabym dłużej. Lubi Muchę i Klimta, tego ostatniego nawet poznał. Słyszał pan, jak deklamował swój wiersz?

— O ogrodzie pełnym zjaw, tak, bardzo obrazowy. Ale ja takie ogrody, oczywiście w przenośni, widzę podczas każdego śledztwa. Same zjawy, a któraś z nich jest zjawą zbrodniczą.

— Bardzo ciekawe! Opowie mi pan kiedyś o jakimś śledztwie?

— Może, jak dorośniesz. Teraz ty masz mi opowiadać, w dodatku jak najwięcej.

— Wołałabym opowiadać o czymś innym — zaczęła Elza zalotnie, ale zaraz przypomniała sobie policzek.

Skoro był intrygujący, może odrobinę się go bała? A skoro osoba taka jak Elza, bała się kogoś, może warto było zatrzymać się nad postacią tajemniczego Norwega? Mało chodzi po świecie wariatów? Nawiedzonych artystów? Ignaz zamyślił się nad Hamarenem. Czy zabiłby kogoś tylko dlatego, że nie spodobało mu się spojrzenie lub jakiś gest? A może fotograf powiedział coś, co dotknęło przewrażliwionego, a niedocenionego artystę? Ostatnią myśl wypowiedział na głos.

— Panie inspektorze, pan sam nie wierzy w to, co mówi! — prychnęła panna Neiss z taką pewnością siebie, że Braun zaczął powątpiewać w sensowność swoich myśli sprzed chwili. — Przecież ten cały Hamaren jest nieśmiały i tak bardzo zważa na każdą opinię! Podoba mi się, kiedy umiejętnie stroi się w piórka smutnego dekadenta, i właśnie wtedy chciałabym z nim rozmawiać. Ale... nie zrozumiał mnie pan, on nie jest taki, jak pan pomyślał. Nie znam go, ale wystarczająco znam się na typach mężczyzn. Oczywiście w teorii — zaraz poprawiła się i spuściła skromnie oczy.

Braun odwrócił wzrok, żeby nie wzbudzić w sobie agresji.

— Panno Neiss, czy pani z kolei przypomina sobie coś szczególnego, co nastąpiło już po przyjściu Theodora Pratza?

— Znowu jesteśmy oficjalni? Dobrze, będziemy oficjalni. Musiałabym się zastanowić, w pierwszej chwili nic nie przychodzi mi do głowy.

— Dyskusja między pastorami a Schrederem i do pewnego stopnia Sigmundem toczyła się i przed przybyciem fotografa, i jeszcze długo potem, prawda?

— Tak, zapalali się coraz bardziej.

— I nawet fotografowanie, podczas którego musieli, siłą rzeczy, przerwać dyskusję, nie obniżyło napięcia, bo potem wrócili do wspólnego stolika.

— Przecież pan to wszystko wie, ja nie jestem chyba do niczego potrzebna — uśmiechnęła się Elza, tym razem bez żadnego podtekstu.

Tajemniczy wyraz twarzy Ignaza rozbawił pannę.

— W pewnym momencie jednak nastrój zaczął się psuć. Wszyscy są przyzwyczajeni do takich dyskusji, ale ta chyba nieco wykraczała poza przyjęte formy. Teraz widzę w pamięci kilka skrzywionych twarzy. Nawet Otto, który oczywiście trzymał stronę Schredera, w pewnym momencie popukał się znacząco w czoło i zaczął zabawiać towarzystwo opowieściami o Afryce Równikowej. Pamięta pan? Mówił dużo, ostentacyjnie i głośno, żeby tylko tamta rozmowa zeszła w cień.

— A pan Pratz?

— Pan Pratz siedział gdzieś pomiędzy Ottonem i paroma osobami zgromadzonymi wokół niego a tamtymi. Zaraz obok niego przysiadła ciocia i chyba Sigmund, a fotograf jadł te ciasteczka, z których ciocia jest zawsze taka dumna. Popijał kawę. Dalej nie pamiętam, co się z nim działo, długo rozmawiałam z Eleonorą o Sigmundzie, a on, Sigmund ma się rozumieć,

nie spuszczał nas z oka i starał się łowić każdy strzęp słowa wypowiedziany przez Eleonorę. Chyba nie bardzo mu się udawało...

A moment wyjścia pana Pracza? Ten interesował inspektora najbardziej.

— Widzi pan, ja nie pamiętam.

— Przecież jesteś bystrą osobą, droga panno — odparł inspektor.

— Dlatego mi wstyd. Gdybym była jakąś głupią gęsią, która marzy o zostaniu diakonisą, byłoby oczywiste, że czegoś nie pamiętam. Ale ja naprawdę nie pamiętam. Z drugiej strony, przecież to mogła być chwila. Fotograf nie był człowiekiem, który robi wokół siebie zamieszanie. Prawdopodobnie odprowadziła go ciocia, przecież był właściwie jej gościem, a zresztą jego wiek wymagał takiej grzeczności.

— A co jeszcze przypominasz sobie z końcówki wieczoru?

— Sigmund został najdłużej, no i pan, wyszliście panowie razem. Nie pamiętam, kiedy pożegnał się pan Paschinski, ale on nie jest chyba brany pod uwagę jako zabójca, prawda?

— Meinhardowie?

— Nie jestem pewna, ja wtedy cały czas rozmawiałam z Eleonorą, nareszcie nie przyglądał się nam Sigmund. Paru osób już nie było, kiedy skończyłyśmy.

— Lars Hamaren wyszedł ze Schrederami. Ja ich widziałem. Jak sądzisz, droga panno, skąd taki egzotyczny alians towarzyski?

Elza parsknęła śmiechem.

— Nie wie pan, inspektorze? Nie słyszał pan rozmowy pani Schreder z Hamarenem?

— Widziałem, jak siedzieli w fotelach dość blisko, między nimi siedział zamyślony Paschinski. I...?

— Ona zamówiła u Larsa obraz. Mający się nazywać „Odyn siedzący na tronie”. Chwalił się, że doskonale maluje skandynawskich bogów, a pani Antoinette, jako kruchej i znudzonej osobie, na pewno podobają się silni skandynawscy bogowie.

„Ty diablico” — pomyślał Ignaz o swojej rozmówczyni.

— Czyli w ich wspólnym wyjściu nie można się dopatrzeć niczego dziwnego?

— Z pewnością nie!

— Muszę teraz zadać pytanie, które wyda się panie infantylne.

— Żartuje pan?

— Ja nigdy nie żartuję podczas prowadzenia śledztwa. Mówiłem to już dzisiaj? Czy szanowna panienka podejrzewa kogoś z obecnych o zamordowanie fotografa?

Cała rozmowa zmierzała do postawienia takiego pytania, Elza wiedziała o tym doskonale i spodziewała się, że ono w końcu padnie, lecz kiedy usłyszała je, zaniemówiła. Ignaz wbił w nią spokojny, zdeterminowany wzrok węża.

— Zastanów się dobrze, proszę — syknął.

— Nie wiem... Gdybym powiedziała o kimś coś takiego, pan, być może, zbyt serio potraktowałby moje słowa.

— Nie myśl o tym. Rozmawiamy tylko... Nie myśl o śledztwie, proszę. Skoro nic nie zauważyłaś, jak twierdzisz, może chociaż dostrzeżesz, kto odniósłby korzyść.

— Stara rzymska zasada, prawda?

— Prawda.

— Sądzę, że morderstwo nie miało żadnego związku z tym Pratzem.

— A jaśniej?

— On mógł zostać zamordowany na skutek przypadku.

— Przez pomyłkę? — szepnął Braun.

— Nie, nie przez pomyłkę — uściśliła Elza. — Mogła nastąpić jakaś konieczność, o której nie wiem ani ja, ani pan, inspektorze. Nie potrafię tego wyjaśnić, po prostu czuję, że skoro założymy, iż zginął w wyniku pobytu w naszym domu, zaszło coś nieprzewidzianego. Może przypadkowo słyszał coś, może ten, kto go zabił, wcześniej wcale nie zamierzał tego zrobić.

„Można przyjąć taką tezę” — pomyślał inspektor. Jego mgliste podejrzenia osobliwie korespondowały ze słowami Elzy.

— A ty, zabawmy się w ten szczególny sposób, za co zabiłabyś przypadkowo poznanego staruszka?

— Co pan mówi! — zaperzyła się.

— Mówiłem, że to zabawa.

— Ale jaka zabawa!

— Nie bądź taka niewinna, moja panno, zabawa, którą ty zaproponowałaś przed pół godziną, też była osobliwa, czyż nie? Przecież nie mówię, że zamordowałaś fotografa, nie mówię nawet, że byłabyś do tego zdolna. Wędrujemy jedynie po meandrach ludzkiej duszy.

— Dobrze. Nie zabiłabym dla igraszki.

— Tak przypuszczałem.

— Nie zabiłabym dla pieniędzy.

— Tak mniej więcej przypuszczałem.

— Co znaczy „mniej więcej”?!

— Proszę kontynuować.

— Nie zabiłabym dla podtrzymania dobrej opinii o sobie.

Zdziwienie malujące się na twarzy Ignaza było aż nazbyt widoczne.

— Bo w dzisiejszych czasach tak łatwo zmienić miejsce pobytu... Ktoś, kto ma zszarganą reputację, jedzie sobie na drugi koniec kraju i rozpoczyna nowe życie. Jeżeli tylko ma odpowiednie podstawy materialne, a przynajmniej wystarczające do jako takiego bytowania, z łatwością wtopi się w dowolnie wybrane środowisko. Myśli pan, że wszyscy ci rentierzy, którzy przyjeżdżają do Wejherowa, są tacy kryształowi?

— Całkiem rozsądnie — zgodził się Braun i pomyślał po raz któryś, że Elza rzeczywiście jest diabolicą.

— Zabiłabym więc wtedy, gdybym już wcześniej była przestępcą i bała się, że nawet najdrobniejszy fałszywy ruch może uruchomić jakąś lawinę. Nie mam innego wytłumaczenia. Co pan na to?

Braun postanowił, że nie odpowie na pytanie. Zbyt logiczne wydały mu się jej słowa. Wstał i spojrzał na Elzę Neiss możliwie jak najbardziej policyjnym wzrokiem.

— Dziękuję paniencie za rozmowę.

— Takie oficjalne słowa?

— Najbardziej oczywiste w naszych wzajemnych relacjach — uśmiechnął się lekko.

— Relacje zawsze można zmienić — Elza oddała uśmiech.

— Nie nasze.

Wstał, skłonił się lekko i wyszedł, zamykając za sobą drzwi niemal bezszelestnie. Dziewczyna ze złością odrzuciła na dywan chusteczkę, którą od pewnego czasu trzymała w kształtnej dłoni.



Sentymentalny spacer

Posterunkowy Myszk był wzruszony. Pruskiemu policjantowi niskiej rangi nie wypadało pierwszemu wyciągać dłoni (a tym bardziej obu) do berlińskiego inspektora, ale z radością przyjął uścisk i ciepłe słowa, które skierował do niego Braun.

Szli teraz ulicą Pętkowicką, niespiesznie, ot tak, jak spaceruje dwóch dobrych znajomych. Komisarz Rensch wiedział, że policjanci zechcą się spotkać i podarował Myszkowi godzinę w trakcie jego dyżuru. Żaden z policjantów nie przypominał sobie, aby taka sytuacja miała miejsce w ciągu wielu lat kierowania przez Renscha komisariatem w Wejherowie, ale też gość ze stołecznego Wydziału IV ostatni raz przebywał w mieście oficjalnie dobrych kilka lat wcześniej, a lokalna społeczność miała mu wiele do zawdzięczenia.

— Opowiedz mi, Anton, co działo się u was od czasu sprawy Wendersa.

— Panie inspektorze, długo by gadać. Właściwie jednak oprócz kilku zuchwałych kradzieży nie wydarzyło się tutaj nic szczególnego. Praca jak praca, interwencje, wiele papierów. O, raz zostałem wysłany do siedziby

rejencji gdańskiej z jakąś przesyłką dowodową, niewielkiego zresztą znaczenia.

Braun uśmiechnął się.

Obok przejechał na bicyklu wąsaty mężczyzna w średnim wieku, co raz poprawiający spadający monokl.

— Ależ ja nie pytałem o sprawy zawodowe! Z całym szacunkiem, ale w Berlinie miałem do czynienia z ciekawszymi sprawami.

— Tak, czytałem ostatnio w „Polizei Wochenblatt” o „Drwalu z Rosenheim”. Zadziwiająca historia!

— Jedna z prostszych w mojej karierze, nie przesadzajmy. Jakże miewa się pani Anastazja?

— Bóg zapłać, panie inspektorze. Żona szyje teraz ornaty dla księży, przed oddaniem do haftowania. Ma dużo zamówień, płacą od ręki, ostatnio nauczyła się nawet wykańczać guziki dla prałatów i biskupów. Bardzo chciałaby zobaczyć pana inspektora, my oczywiście dostosowalibyśmy się do terminu. Serdecznie zapraszamy w nasze skromne progi.

— Dziękuję, chętnie skorzystam, może za parę dni?

— Jest tylko jedna sprawa...

Na twarzy Myszka malowało się zakłopotanie.

— Co się stało?

— Pan inspektor będzie się śmiał.

— Jeśli mam się śmiać, nie ma problemu. Myślałem, że stało się coś złego.

— Może nie do końca, ale moja Anastazja straszliwie się roztyła.

— Roztyła?

— Tak, panie inspektorze. Waży chyba ze sto osiemdziesiąt funtów. Zawsze była dobrze zbudowana, odpowiadał mi nawet taki stan rzeczy, ale

teraz...

— Eee, mój drogi, gdybyś zobaczył moją żonę!

— Pannę Bernadetę? Komisarz Rensch zdradził mi, że szczęśliwie jesteście państwo po ślubie.

Ignaz uśmiechnął się do swoich myśli.

— Nie wyobrażasz sobie, jaki moja żona ma apetyt! Pochłania suflet za sufletem. A marcepanowe cukierki! Nie ma w stolicy większej ich wielbicielki. Przybiera na wadze z tygodnia na tydzień, ale byłbym ostatnim, któremu by to przeszkadzało. Nie martw się więc, tylko ciesz się pięknem, które masz przy sobie.

— Tak jest, panie inspektorze — z ulgą zasalutował Anton.

— A dzieci? Masz czworo dzieci, prawda?

— Pan inspektor pamięta — oblicze posterunkowego rozjaśniło się jeszcze bardziej. — Anton wyrasta na prawdziwego chłopca. Tylko coraz bardziej ulega wpływom Anastazji w sprawach... sprawach wagi państwowej.

— Myślisz o polskości? — łagodnie dopowiedział Ignaz.

— Tak — westchnął Mysz. — Śpiewa w chórze polskim, dorywczo pracuje w Merkurym. To taki skład i bazar, prowadzony przez Polaków, Alfonsa Chmielewskiego i Leona Szulca. W domu rozmawia tylko po polsku.

— Z perspektywy Berlina nie wygląda to za dobrze — westchnął Braun.

— Wiem.

— Ale nie jesteśmy w Berlinie — podsumował Ignaz. — A jakże czuje się najmłodsze z waszych dzieci, Marta? Zdaje się, że miała chore serduszko.

— I o niej pan inspektor pamiętał! — Myszk spojrział na rozmówcę z wdzięcznością. — Jest zdrowa i dobrze się chowa. Tylko musi wystrzegać się zbytniego wysiłku. Z Bożą pomocą będzie żyła długo i szczęśliwie, wszyscy mamy taką nadzieję.

— Na pewno! — mocno zakończył Braun.

Nagle przed policjantami stanęły dwie młode kobiety. Zastąpiły drogę mężczyznom, ale na ich twarzach malowało się zakłopotanie.

— O co chodzi? — zdecydowanym głosem zapytał posterunkowy, marszcząc czoło. Ten gest wyćwiczył w domu przed lustrem, jak większość obywateli pruskich znajdujących się na służbie państwowej.

— Przepraszamy, czy pan inspektor Braun? — zaczęła odważniejsza.

Ignaz skinął głową i patrzył na dziewczęta. Jak dwie krople wody! Ich jasne główki ozdobione były identycznymi kapeluszami z kwiatami jabłoni, spod których nieznacznie wystawały rude włosy. Kremowe płaszczyki były szyte u tego samego krawca, tylko parasolki panien wskazywały, że patrzący nie widzi podwójnie; jeden był barwy kości słoniowej, drugi łososiowy.

— Bo my... — kontynuowała ta bardziej zdecydowana. — Pan inspektor na pewno nas sobie nie przypomina.

— Panny Christen, Emilia i Amelia, pracowały w 1901 roku w piekarni Johanna Wendersa — odezwał się Myszk.

— Właśnie — odpowiedziały równocześnie.

— Rzeczywiście, teraz kojarzę — ucieszył się Braun. — Czy panienki nadal tam pracują? I czy piekarnia jeszcze istnieje?

Dziewczęta przytaknęły.

— Oczywiście, że istnieje. Prowadzi ją daleki krewny pani Irmgardy, pan Wolfgang Rose. Pracujemy tam i polecamy nasze wyroby — zebrała się na odwagę druga z sióstr, falując piersią.

— A pani Wenders? Co się z nią dzieje?

— Pani Irmgarda w pół roku po tej smutnej sprawie wyjechała do Bydgoszczy, gdzie właśnie mieszkał pan Rose. Odstąpił jej garsonierę w centrum miasta, a sam przeniósł się do Wejherowa, bo w Bydgoszczy była za duża konkurencja w branży piekarniczej.

Anton zmarszczył czoło i mruknął sam do siebie, że nie spodziewał się, aby gość z Berlina chciał dowiadywać się o losy wdowy.

— Pani Irmgarda wyszła po roku za mąż.

— Za piekarza? — zainteresował się Braun.

— Za rzeźnika. Bardzo postawny mężczyzna, solidny człowiek. Widzieliśmy oboje na zdjęciu u pana Rose.

„To było do przewidzenia” — pomyślał Ignaz.

— Przepraszamy za śmiałość, ale zauważyliśmy pana inspektora i pomyślałyśmy od razu, że może pan inspektor...

— Tak? — Braun postanowił ośmielić panny, które nagle spuściły główki.

— Czy pan inspektor zechciałby wyświadczyć nam uprzejmość i podpisać się na kartce, która potem będzie naszą pamiątką?

Myszk o mało nie parsknął śmiechem, a Braun znalazł się w bardzo podobnym stanie ducha. Skłamałby jednak, gdyby powiedział, że jest mu nieprzyjemnie.

— Drogie panie, nie wolno mi pozwalać sobie na takie rzeczy. Rozumieją panie, podpis policjanta jest święty. Może być niewłaściwie wykorzystany.

— Bardzo prosimy...

— Naprawdę nie mogę. Nawet panie nie wiedzą, co może się stać z taką kartką.

Jedna z sióstr podniosła nagle rozjaśnioną twarz.

— A może na parasolkach? Przecież to już zupełnie inna sprawa!

Gość z Berlina musiał dać za wygraną. Wyjął z kieszeni marynarki ołówki i złożył zamaszyste podpisy na obu parasolkach.

— Od teraz nie nadają się do użytku, chyba że panie nie będą zbyt długo przywiązane do tak osobliwej pamiątki.

— Ależ będziemy — pisnęły naraz wniebowzięte panienki, ładne jak aniołki na świątecznym obrazku.

— Pan jest bardzo uprzejmy! I taki życzliwy! — mówiły jedna przez drugą.

Kiedy już oddalały się, błyskając śnieżnobiałymi getrami śnieżnobiałych bucików, Ignaz sprawiał wrażenie bardzo zadowolonego.

— Co za dziwactwo z ich strony — pokręcił głową posterunkowy.

— Nie narzekaj. W końcu pracujemy dla takich istot jak te. A zresztą bardzo lubię wszelkie bliźniacze pary, sam mam w rodzinie dwoje bliźniaków, tylko że dziewczynkę i chłopca.

Szli teraz ulicą Lęborską. Ignazowi wydawało się, jakby świat zatrzymał się i przez te kilka lat nie wydarzyło się w Wejherowie nic szczególnego. Te same sklepy, ta sama poczta i gimnazjum. Ludzie spieszący w rozmaite strony. Napisy nad witrynami sklepów, gwar na ulicach, stukot bicykli o bruk...

Wiedział, odjeżdżając niegdyś pociągiem kolei żelaznej do Berlina, że jeszcze tu wróci. Bywał potem w Wejherowie, zawsze jednak przejazdem i starał się nie nadawać swoim pobytom rozgłosu. Znał rozmaite techniki operacyjne, dzięki którym potrafił wtopić się w tłum, i wykorzystywał je chętnie. Jednak sprawa zabójstwa Theodora Pratza przyczyniła się na nowo do wzrostu popularności berlińskiego inspektora. Znów miano mówić

o nim w domach, w sklepach i urzędach. Wszyscy się tu znali; krewny krewnego i znajomy znajomego spotykali niemal codziennie. Ignaz wiedział, że w takich miastach po prostu już tak jest, ale na widok nadchodzącego profesora Wilhelma Märza zaśmiał się do Antona i mruknął, że małomiasteczkowe realia nieco go przerastają.

— Wielki Boże, pan inspektor! — wykrzyknął nauczyciel i rzucił się w kierunku policjantów, zaraz jednak przystanął i zawahał się, czy wypada mu pierwszemu wyciągnąć dłoń do Brauna.

Ignaz przywitał się z nim serdecznie. Wdzięczny profesor przyglądał się gościowi z Berlina w napięciu.

— Wiedziałem, że pan inspektor gości w Wejherowie, bo jakże by nie wiedzieć. Sądziłem jednak, że stanął pan na mojej drodze tylko wtedy, przed laty, że był pan dla mnie znakiem od Boga, a teraz okazuje się, że jeszcze raz... Niezbadane są wyroki Boskie!

— Co chce pan przez to powiedzieć, panie profesorze? — zdziwił się Ignaz.

— Miałem parę rzeczy na sumieniu, pan wie najlepiej, pański przenikliwy umysł wszystko rozszyfrował. Nie byłem całkowicie złym człowiekiem, ale ułomność duszy ludzkiej w moim przypadku uwidoczniła się coraz bardziej!

Policjanci jak zahipnotyzowani wpatrywali się w Wilhelma Märza. Rozwiany wianuszek włosów dookoła czaszki, płonące oczy ozdobione przekrzywionymi binoklami, usta wypowiadające słowa coraz szybciej, wystające górne zęby. Profesor mógłby wydawać się groteskowy, ale mówił z wiarą, szczerze, i Ignaz poczuł do niego pewien rodzaj sympatii, która miała trwać dzięki świadomości, że nauczyciel nie chowa do niego urazy.

— Pamiętaj pan, drogi inspektorze, moje kłopoty z alkoholem, moje roztargnienie, moją niechęć do paru osób?

— Pamiętam — cicho potwierdził Braun.

— Właśnie. Zmieniłem się nie do poznania. Nie rzucam w tej chwili słów na wiatr. Dwa lata temu przeszedłem na emeryturę, ale nie wtedy zaczęła się moja przemiana, a właśnie od pamiętnego roku 1901. Nie biorę do ust alkoholu. Diabelski wynalazek! Co miesiąc oddaję na rzecz miejscowej ochronki prowadzonej przez siostry zakonne jedną trzecią mojej emerytury.

— Dlaczego pan mi o tym mówi, profesorze? Przecież ja nie jestem pana spowiednikiem ani w ogóle moralistą.

März wzniosł oczy ku niebu.

— Nie rozumie pan? Dzięki panu się zmieniłem i właśnie panu muszę opowiedzieć o mojej przemianie. Przecież nie mówię tego wszystkiego każdemu napotkanemu, mam trzeźwy umysł. Ale znak, jaki dziś otrzymałem od Najwyższego, jest taki wyraźny. Taki wyraźny!

— Być może — Ignaz z zakłopotaniem spojrział na Myszka.

— Ja, panie inspektorze, coraz bardziej zanurzam się w mistycyzmie — uroczyście oświadczył Wilhelm März. — Pan jest katolikiem, prawda?

— W istocie.

— Otóż to! Zrozumie mnie pan. Święta Teresa z Avilla, św. Jan od Krzyża, przecież są gigantami, nie zaprzeczy pan. Tak bardzo przekonująco piszą! Przed panem też jest droga wybranych, jestem przekonany, taki człowiek musi kiedyś zostać mistykiem!

— Pan już nim został? I co to tak naprawdę znaczy? — ożywił się posterunkowy.

— Ja? Staram się, ale moje grzechy z przeszłości trzymają mnie zbyt silnie w doczesności. Jednak staram się, powtarzam, i czuję, że moja dusza jest coraz pełniej zjednoczona z Bogiem.

Braun i Myszk porozumiewawczo spojrzeli na siebie. Mimo pewnej sympatii, jaką Ignaz powziął do emerytowanego nauczyciela, nie uważał za celowe stać się powiernikiem jego duchowego wzrostu.

— Bardzo to miłe z pana strony, drogi profesorze, że ma pan o mnie tak wysokie mniemanie, chciałbym jednak przy okazji spytać, czy znał pan Theodora Pratz?

— Co za pytanie — März ochłonął nieco. — Każdy w mieście znał biednego fotografa.

— Tak. Ale czy znał go pan osobiście?

— Od lat! Theodor często przychodził do gimnazjum, aby robić zbiorowe zdjęcia uczniom. Szkoła zamawiała jego usługi, a był naprawdę świetnym fachowcem. Tak, był mistrzem światłocienia. Nie wyobraża pan sobie, na ilu jego zdjęciach zostałem uwieczniony z uczniami. Spotykałem go też na ulicy, jak chodził ze swoimi instrumentami fotograficznymi. Nasza znajomość nie była przyjacielska, ale nieraz ucieliśmy sobie pogawędkę przy rozmaitych okazjach.

— Czy Pratz był osobą konfliktową?

Oczy profesora zrobiły się wielkie jak pięciomarkówki.

— Ależ skąd! I dlaczego pan o to zapytał?!

— Ostatecznie ktoś go zamordował — melancholijnie odparł Braun.

— No tak, prawda. Ale wie pan, inspektorze, mógłbym przysiąc na wszystkie świętości, że stało się tak nie z jego winy. Może jakaś koszmarna pomyłka, jakieś nieporozumienie? Przecież Theodor nie skrzywdziłby muchy! Lubił ludzi, a jego bystre oko fotografa starało się zawsze dostrzec poprzez obiektyw dobro mieszkające w ludziach — z emfazą zakończył nauczyciel.

Na wyciągniętym z kieszonki marynarki Ignaza zegarku wskazówki oznajmiały, że zrobiło się piętnaście po piątej. „Czas na obiad” — pomyślał

Braun i pożegnał się z Märzem.

— Proszę pamiętać o św. Janie od Krzyża, kochany inspektorze! — rzucił już z pewnego oddalenia profesor.

Posterunkowy odprowadził gościa z Berlina pod same drzwi hotelowe.

— Mam nadzieję, że pan inspektor znajdzie jednak parę godzin dla wiernych przyjaciół, jeśli mogę powiedzieć tak o mojej rodzinie i o sobie.

— Obiecałem przecież — uśmiechnął się Ignaz.

Kiedy w dwadzieścia minut później zasiadał do sznycla po wiedeńsku, w myślach rozkoszując się jeszcze musem kalafiorowym, który w „Königlicher Hoff” przyrządzany był po mistrzowsku, nad stolikiem zawisł, jak obłok, ludzki cień.

— Najmocniej przepraszam, czy mam zaszczyt z panem inspektorem Braunem? — elegancki mężczyzna w sile wieku skłonił się z galanterią.

— Owszem — Ignaz zawiesił głos i wstał.

— Niezmiernie mi miło, pozwoli pan, że się przedstawię. Friedrich Schul, dyrektor Miejskiej Kasy Oszczędnościowej.

Mężczyźni wymienili ukłony. Braun zaprosił gościa do swojego stolika, a kelner, który pojawił się jak spod ziemi, przyjął zamówienie Schula na mocną schwartzer z kruchym herbatnikiem.

— Daruje pan obcesowość, z jaką ośmieliłem się przerwać zasłużony posiłek — miejski bankowiec niezwykle starannie dobierał słowa. — Muszę jednak z żalem przyznać się panu inspektorowi, że nie tylko chęć poznania tak znakomitego przedstawiciela kryminalistycznej elity kulturalnego świata przywiodła mnie do pańskiego stolika.

— A ja już myślałem, że wszyscy tutaj chcą przywitać się ze mną dla mnie samego. — Ignaz postanowił nieco rozluźnić konwencję rozmowy, ale zaraz spoważniał. — Słucham pana?

Friedrich Schul rozejrzał się dookoła, potem rzucił okiem na Ignaza, potem jeszcze obrócił głowę za siebie, wreszcie nachylił się nieco w stronę rozmówcy.

— Pojmuje pan, że jestem w Wejherowie osobą szanowaną i godną zaufania.

— Od chwili kiedy pana poznałem, powziąłem takie przekonanie.

— Cieszę się niezmiernie. Potwierdza się, że jest pan niezwykle przenikliwym człowiekiem. Otóż z racji profesji, jaką wykonuję z takim oddaniem dla dobra Wejherowa i jego mieszkańców, znanych mi jest wiele faktów, które policja może poznać przy okazji śledztwa.

Przed Schulem kelner postawił delikatną kremową filiżankę, w której czaił się parujący diabeł, schwartzer przyrządzana według najlepszych wzorców z cesarstwa Habsburgów.

— Tajemnice bankowe? — zdziwił się inspektor.

— Tajemnice bankowe — potwierdził dyrektor kasy.

— A czy zdaje pan sobie sprawę, panie Schul, że bez pozwolenia rejencyjnych władz policyjnych z Gdańska nasza dalsza rozmowa wydaje się przedwczesna?

Rozmówca był przygotowany na taki obrót sprawy. Uśmiechnął się dyskretnie i nachylił do Ignaza.

— Jestem poważnym człowiekiem i przez wiele lat pracowałem na swoją reputację. Nie zmarnowałbym takiego kapitału, drogi panie inspektorze, dla bycia w centrum wydarzeń. Jeszcze napisaliby o mnie w jakimś brukowcu, a tego bardzo bym sobie nie życzył.

— A więc? — Braun wydawał się zdezorientowany.

— Ja służę moją pomocą pod kątem teoretycznym, a później w zależności od potrzeby. W razie wyższej konieczności. — Wyprężył się dumnie dyrektor. — Jeśli tylko policja, w szczególności pan inspektor,

zwróci się do mnie o jakiegokolwiek konkrety, chętnie służyć. Widzi pan, drogi inspektorze, mogę dotrzeć, oczywiście w ramach procedur, do informacji o stanie majątkowym większości osób mieszkających w Wejherowie, jak również przyjezdnych.

— Przyjezdnych? — Braun po raz drugi był zdezorientowany.

— Tak — zatriumfował Friedrich Schul. — Większość banków funkcjonujących na niemieckim rynku ma do naszej kasy zaufanie, a co za tym idzie, my również do nich. Osoby korzystające z ich usług, miejscowe i przyjezdne, mogą zaciągać u nas kredyt ograniczonego lub nieograniczonego zaufania na bieżące wydatki, niekiedy i na poważniejsze cele, co zależy oczywiście od reputacji kredytobiorców. Ale w obu przypadkach mam informacje od macierzystych banków na temat solidności, wypłacalności, postawy patriotycznej i tak dalej. Co dopiero mówić o poczciwych wejherowianach!

Przed dyrektorem pojawił się kelner, który przyjął zamówienie na mus brzoskwinowy z bitą śmietaną.

— A jaki wymienione fakty mogą mieć związek z zabójstwem Pratza?

— Panie inspektorze, widzę, że ma pan doskonałe poczucie humoru, isticie stołeczne, doprawdy... — uśmiech dyrektora był szczery. — Przecież jest jasne, że przyczyny zabójstwa są takie, jak zawsze. Natury finansowej.

— ?

Rozmówca rozłożył ręce.

— Niestety, panie inspektorze, a raczej na szczęście, nie wiem o zmarłym fotografie niczego, co przynosiłoby mu wstyd. Oszczędności miał w naszej kasie niewielkie, kredytów unikał jak ognia, w sumie bardzo solidny człowiek. W jego sprawie musi być drugie dno, ale na pewno w grę wchodzi pieniądze. Niech pan nie sądzi, że moja profesja przesłoniła mi szerszą perspektywę. Ja po prostu widziałem tak wiele sytuacji, że

z każdym miesiącem mam coraz bardziej ukształtowane zdanie o ludzkiej naturze.

Co powiedziawszy, dyrektor Miejskiej Kasy Oszczędnościowej połknął pierwszy kęs musu brzoskwiniowego z bitą śmietaną. Widać było, że apetyt mu dopisuje.



Posępny duch Północy

Kalwaryjskie wzgórza tonęły w wyrazistej zieleni. Niedawno spadł deszcz i wysychające trawy na nowo wypuściły się w tęsknocie ku słońcu. Nad potężnymi bukowymi pniami szumiały wielkimi gałęziami korony drzew. Szum pod naporem ciepłego wiatru to wzmagał się, to uciszał, towarzysząc tym, którzy w słoneczne popołudnie wybrali się na przechadzkę w sąsiedztwo kaplic.

Ignaz lekkim krokiem dogonił idącego powoli wysokiego, przygarbionego mężczyznę niosącego pod pachą sztalugę i okazałych rozmiarów torbę.

— Panie Hamaren, halo, panie Hamaren! — zawołał, gdy był już tylko kilkanaście kroków od Norwega.

Tamten nie zareagował. Braun stanął przed nim oko w oko i z przyjazną twarzą oczekiwał na reakcję Norwega.

Hamaren dopiero teraz zorientował się, że ktoś przed nim stoi.

— Pan nazywa się...? — zapytał po chwili nieskutecznej próby identyfikacji rozmówcy.

— Braun, inspektor Braun, przecież rozmawialiśmy dwa dni temu, w salonie pani Wilfridy Neiss.

— Rzeczywiście — niezbyt pewnie odparł Hamaren, ale zaraz jego twarz cokolwiek się rozjaśniła. — Rozmawiał pan ze wszystkimi po trosze, ze mną chyba też, ale proszę nie wymagać ode mnie pamięci do takich rzeczy.

Zdziwiony Ignaz, nawykły do szacunku okazywanego jego osobie jako przedstawicielowi policji w ogólności oraz jako Ignazowi Braunowi, pogromcy „Alchemika z Szafuzy”, przez moment nie wiedział, co powiedzieć. Był nieco zepsuty uniżonością przesłuchiwanym, którzy wprawdzie co raz starali się wywalczyć dla siebie minimum (bądź maksimum) przestrzeni, ale wreszcie pod wpływem metalicznego głosu inspektora orientowali się, gdzie jest ich miejsce. Natomiast ten oto osobnik, wysoki, łysiejący, przygarbiony, choć niemający z pewnością więcej niż trzydzieści lat, z beztroską nonszalancją okazał Ignazowi, że policjant znaczy dla wyniosłej duszy artysty tyle, co każdy inny zwyczajny zjadacz chleba.

Braun spojrział na gałąź, kołyszącą się nad nimi wysoko w górze, i pomyślał, że powinien Hamarena oswoić. Na swoich jednak warunkach i w sposób sobie właściwy.

— Jeśli ma pan kłopoty z pamięcią, nie wróży to najlepiej naszej rozmowie. A szkoda.

Teraz Norweg zdawał się zdziwiony.

— A o czym, panie inspektorze, mielibyśmy ze sobą rozmawiać? Przecież ja nie znam się na prowadzeniu śledztwa, skądinąd jakież małostkowe jest zazwyczaj śledztwo, jak niepotrzebnie zagłębia się w szczegóły, drąży jak kret...

— Może z kolei ja wiem więcej na temat sztuki nowoczesnej niż pan o pracy policyjnej?

— Pan? — ton głosu Norwega mówił wiele.

— Owszem — odparł Ignaz z łagodnym uśmiechem, choć w głębi duszy zaczynał artyście nie lubić. — Może papierosa?

Wahanie Skandynawa nie było długie. Przysiadł na trawie obok malowniczych paproci i z kolei odwdzińczył się rozmówcy zapaloną zapałką, wielką i buchającą na ćwierć łokcia.

— Dałbym sobie głowę uciąć, że pali pan cygara.

— Rozczarowałbym pana, gdybym palił cygara? — zdziwił się Ignaz tuż po wzięciu w płuca tęgiego haustu jungherba.

— Nie dostrzega pan, że cygaro znakomicie pasuje do kapitalistów, raczej starszych i otyłych, albo też młodych i zdemoralizowanych posiadaną władzą? A potem takich tępaków naśladuje ogół, któremu imponuje dobra wełna garnitur, karnet w loży renomowanego teatru albo złoty tissot na dewizce. Miałem pana za takiego właśnie naśladowcę.

Dłoń policjanta odruchowo przykryła łańcuszek zegarka.

— Papierosy, inspektorze, papierosy są symbolem wolności! Pali się je szybko, a przecież życie jest takie krótkie; wyglądają dyskretnie i subtelnie; stać na nie nawet ubogiego artystę, który nie ma czego włożyć do garnka.

— Czy nie dorabia pan nadmiernej ideologii do palenia papierosów? — tonem głęboko filozoficznym odpowiedział Braun. — Zdarza mi się palić cygara, częściej papierosy, a wszystko w zależności od towarzystwa i własnej chęci.

Hamaren spojrzał na berlińczyka z ciepłym współczuciem.

— Podświadomie dąży pan do szlachetności ducha, ale liczne uwarunkowania sprowadzają pana na ziemię. Teraz przypominam sobie naszą rozmowę, trwającą wprawdzie krótko. W istocie, jest w panu

dwoistość, inspektorze. Filister i artysta, oczywiście artysta na miarę Niemca.

— A pan? — Obłoczek dymu powędrował w stronę obłoków wiszących nad bukowym lasem.

— Ja?

— Tak, pan — ożywił się Ignaz. — Nie rozumiem, jak ktoś może być tak pewnym, że sam jest skończonym artystą i że jest uprawniony wyrokować o wartości innych. Proszę mnie źle nie zrozumieć, nie mam panu tego za złe, chciałbym jedynie zrozumieć...

Niedopałek Norwega został wyrzucony wysoko i daleko poza plecy rozmawiających. Hamaren wyjął z kieszeni tweedowej marynarki piersiówkę z absyntem, który lubił pić bez uciekania się do kawiarnianych rytuałów.

— Lubię szczerłość! Nie jest pan wężem, inspektorze, mówi pan, co myśli, wyraża emocje. Sądzę, że rzadkością u policjantów... Dobrze, zostawmy policjantów. Panu jedynie brak konsekwencji.

— Myli się pan, artysto — odparował Braun. — Raczej panu jej brak.

Buteleczka z absyntem zawisła przed ustami Larsa Hamarena.

— Mnie brak konsekwencji artysty? Pan żartuje, pruski żandarmie? Na pewno pan żartuje!

— Niestety, nie. Wczoraj słyszałem, jak wypowiadał się pan bardzo zdecydowanie na temat czystości i bezinteresowności sztuki. „Sztuka nie powinna być rzemiosłem i nie powinna podlegać prawom kapitalizmu!”.

— Moje słowa! Zapamiętał je pan! — Skromność nie była mocną stroną artysty.

— No właśnie. A potem spokojnie wyszedł pan ze Schrederami.

— Nie rozumiem? — Norweg naprawdę nie rozumiał.

Ignaz nie spieszył się z odpowiedzią. Wstał i jak wilk obszedł swojego rozmówcę dookoła, wreszcie wyszeptał:

— Zgodził się pan namalować portret pani Antoinette. Bądź co bądź, mieszczańki. Za pieniądze.

— Skąd pan wie? — niemal z gniewem odparł Hamaren.

— Jestem policjantem — odpowiedź, jak zawsze, miała brzmieć bezbarwnie, ale wbrew intencjom Brauna zadźwięczała prawie pyszałkowato.

Każdy musi z czegoś żyć. Że to wbrew wyznawanym deklaracjom? Nie, niekoniecznie, przecież dzięki takiemu małemu ustępstwu powstaje wielka sztuka. Temat jak temat, ale ręka artysty! Świat gnuśnego materializmu zostaje w ten sposób zaprzęgnięty w rydwan wielkiej sztuki, sam więc na siebie kręci bicz, a on, Lars Hamaren, tylko się cieszy, że może uczestniczyć w schyłku kapitalizmu. Mała cegiełka, mała kropla w rwącym strumieniu. Kropla drąży skałę. Przecież Schrederowie mogli wynająć jakiegoś pacykarza, jakiegoś, co gorsza, akademistę, który namalowałby kobietę na tle ciężkiej kotary albo wazonu z barwnymi kwiatami. Co lepsze?

— A co pan sądzi o Schrederach, drogi mistrzu? — głos Ignaza znowu był ciepły.

— Kolejni ludzie skonstruowani z samych sprzeczności. On odgrywa rolę wielkiego liberała, który pogardza mieszczańskimi poglądami i wyrasta ponad zastane układy społeczne, ale na co dzień korzysta pełnymi garściami z pieniędzy brzuchatych jegomościów. Przychodzą do niego ze swoimi małymi sprawami, on zaś używa pokrętnej retoryki, aby wyciągnąć z nich jak najwięcej. I na pewno nazywa to uczciwą transakcją. Z drugiej strony jest w nim jakaś ciągota do twórczej destrukcji. Jeśli jednak czuje,

gdzie jest racja, a postępuje inaczej, jego wina jest tym większa. Same sprzeczności!

— Jego żona natomiast...

— Antoinette — zamyślił się Norweg, a jego oczy pociemniały nagle.

— Antoinette jest kobietą, która marnuje się przy takim mężu.

Braun uśmiechnął się i lekko pokiwał głową.

— Wolałby pan, żeby rozkwitała u boku artysty?

— Niech pan nie kpi — po raz pierwszy Hamaren spłoszył się jak uczeń przyłapany na nieodrobieniu zadania domowego. — Mówię czysto teoretycznie, chociaż, prawda, nie mam drobnomieszczkańskich uprzedzeń. Jest kobietą stworzoną do bycia muzą. Ją powinien malować Mucha, albo nie, Klimt oddałby całą głębię jej melancholijnych oczu. Tak, Klimt potrafiłby oddać te zagięcia jej ciała, te esy-floresy, regularne uczesanie bogini.

— Oczywiście jego zainteresowanie byłoby czysto artystyczne.

— Oczywiście — zaczepnie odparł Norweg. — A gdyby jeszcze potrafił namalować głos! Miękki, nikotynowy, niski... Taki głos, jaki potrafi opisać Przybyszewski. Zna pan wiersze Przybyszewskiego? Satanistyczne, urzekające.

— Niestety...

— Tak myślałem — Hamaren pokiwał smętnie głową, a kosmyki przetłuszczonych włosów opadły przy tym na wysokie, wypukłe czoło.

Dla Brauna stało się jasne, że wbrew sobie Norweg stworzył się na rozmówcę. Nie wiedział nic o inspektorze, nie wiedział, czy ten nie wykorzysta jego afektacji i dziecięcej porywczowości, a jednak mówił, co myślał.

„Jesteś prosty i uczciwy, ale czyż i tacy nie potrafią być zdolni do największej zbrodni? Jesteś mieszczaninem, choć wzbranasz się przed tym,

bo brzydzisz się niedomaganiem obecnym w zwyczajnym życiu. Dlatego uciekasz do dziwactw bezpiecznych. Nie ukradłbyś nawet feniga, ani cesarzowi, ani handlarzowi sukrem, ani nawet fabrykantowi palącemu cygara, ale na głos powiedziałbyś, że nie okradłbyś ich, bo brzydzisz się brudnymi pieniędzmi. A jednak są w tobie jakieś pokłady destrukcji. Co z tego, że autodestrukcji, destrukcja zawsze działa... destrukcyjnie. I bywa wtedy ślepa”.

— Może urażę dumę artysty tak błałym tematem, ale co pan sądzi o Theodorze Pratzu? Czy zauważył pan w ogóle jego przybycie i pobyt u pani Neiss? Proszę się nie dziwić, że pytam o tamten wieczór, ale ktoś, kto zajmuje się prostym odtwarzaniem rzeczywistości, zadaje tego rodzaju pytania.

Hamaren zrobił wielkie oczy.

— Panie inspektorze, proszę nie robić ze mnie bufona. Oczywiście, że zauważyłem pojawienie się staruszka.

— Było charakterystyczne? — zdziwił się Braun.

— Nie, nie o tym myślałem. Po prostu on tak bardzo nie pasował do towarzystwa!

Ignaz uśmiechnął się.

— Może więc słusznie robię z pana bufona?

— Nie miałem na myśli niczego złego — Hamaren odwzajemnił uśmiech. — Po prostu wiek fotografa i jego skromność tak bardzo nie pasowały do mieszczańskiego targowiska próżności, że nie sposób było nie zwrócić uwagi. Tam wszyscy, przecież pan widział, włączając i pana, starali się tak bardzo zaprezentować w sposób godny, owszem, użyłem odpowiedniego określenia, godny, że zaczynało mnie irytować dosłownie wszystko, od pierwszych chwil.

— Dziękuję — Braun skłonił się uprzejmie.

— Niech się pan nie zżyma, inspektorze, taka jest ułomna ludzka natura. A ten staruszek zrobił swoje i przysiadł sobie z kawą i ciasteczkami, przysłuchiwał się dyskusji dwóch pyszałków i uśmiechał się dobrotliwie, jakby oni zasłużyli na jego uśmiech.

— Zainteresowała go dyskusja między pastorem a Schrederem?

— Może. Ale raczej odnosił się do niej z pobłażaniem. Dziwi się pan, że dość dokładnie przyglądałem się Pratzowi? Widzę po wyrazie pańskiej twarzy.

— W istocie, mimo wszystko ktoś tak oddany sztuce i dodatkowo zainteresowany artystycznymi walorami urody pani Antoinette...

Przytyk trafił w próżnię, a przynajmniej Norweg udął, że go nie słyszy. Wstał, podszedł do sztalugi, wziął w ręce jeden z pędzli i zaczął kreślić tuż nad szarym płótnem abstrakcyjne, choć precyzyjnie wykonywane, linie. Jego twarz rozjaśniła się, potem pociemniała, na policzkach pojawiły się delikatne rumieńce. Obok niego przeleciał głośno brzęczący owad; wiatr owionął włosy artysty, a on zdawał się nie zauważać tych objawów życia wokół siebie.

Wreszcie dłoń opuściła pędzel, wzrok padł na Brauna, a Hamaren uśmiechnął się smutno.

— Widzi pan, inspektorze, Pratz był prawdziwym artystą.

„Mój teść zawsze powtarza, żeby nie ufać reprezentantom nowych prądów w sztuce. Są nieprzewidywalni, a Brunon lęka się tylko jednego: nieprzewidywalności” — pomyślał Ignaz, jednak wbrew myślom teścia z jeszcze większym zainteresowaniem wsłuchał się w słowa Norwega.

— Pan naprawdę nie dostrzegł, z jaką maestrią wykonywał swoją pracę? — zdziwienie Hamarena było wielkie. — Przecież pan jest policjantem, powinien pan być spostrzegawczy.

— Widział pan jakieś prace Theodora Pratza? — Ignaz najwyraźniej nie przywykł do krytyki.

— Nie, kiedy miałem je widzieć? Do tamtego wieczoru nie wiedziałem o jego istnieniu, znałem tylko parę panien sklepowych, hotelarza i, oczywiście, Meinhardów.

— Skąd więc tak zdecydowany osąd co do umiejętności późniejszej ofiary?

Norweg spojrział w stronę sztalug i pędzla.

— Pewnie pomyślał pan, że zwariowałem przed chwilą? Nie, ja tylko odczułem nagłą potrzebę imitacji ruchów, które zauważyłem wtedy. Co za precyzja i zdecydowanie! I jeszcze gracia, jakiś archaiczny wdzięk, jakby był dawnym mistrzem przeniesionym przez dzina do współczesności. Tak, elegancja i precyzja! Pratz ustawił wszystkich do fotografii stosunkowo szybko, a czuło się, jakby trwało to godzinami, tak można było smakować każdy jego gest. Zamienił się wtedy w pewnego siebie geniusza, dla którego wszelkie światłocienie, załamania, zalety i wady ludzkich twarzy, ubrań i tła nie stanowią żadnego problemu. Nie wiem, czy niwelował je, czy uwypuklał, ale tworzył dzieło.

— Zaimponował panu.

— Nie przeczę, tak! Wie pan, inspektorze, że z takim na przykład Ottonem nigdy, a znamy się ładnych parę lat, nie miałem okazji rozmawiać o sztuce? Oczywiście, zdarzało się nam komentować wspólnie rozmaite wydarzenia kulturalne, ale dyskusja? O innych obecnych u pani Neiss już nie wspomnę. A Pratz słyszał o Kramtkreterze, o Aloisie Malence! Malenka! Pratz wiedział o nich wszystko, oglądał albumy z ich dziełami! I taki równocześnie prosty...

W głowie Brauna boleśnie zawirowało nazwisko Malenka. Słyszał gdzieś o malarzu noszącym takie nazwisko, ale nie potrafił

przyporządkować mu konkretnego dzieła.

— Odnoszę wrażenie, że nie był pan zbyt zachwycony resztą towarzystwa?

— Trafnie pan określił moje odczucia, inspektorze. Nawet w trakcie pozowania do fotografii wszyscy zachowywali się, jakby byli dziećmi. Pamięta pan? Pratz w pewnym momencie jakby nawet zdenerwował się; poruszali głowami, ramionami, ktoś chichotał, ktoś nawet się zachwiał. Nie rozpoznali w nim mistrza, nie potrafili uszanować uroczystej chwili.

— Czy ktoś przez cały wieczór, albo tylko przez parę chwil, zachowywał się dziwnie? — zawiesił głos Ignaz. — Skoro jest pan taki spostrzegawczy?

Norweg postanowił uczciwie odpowiedzieć na tak ważne pytanie i zmarszczył czoło, nie spiesząc się z odpowiedzią. Przesunął dłonią po niskiej, soczystej trawie i spojrzał w górę, gdzie lekko kołysały się liście wysokich buków.

— Mimo odgrywanych ról, każdy kiedyś odkrywa swoje słabości albo uczucia. Zwłaszcza natury tak pospolite, jak te, z którymi miałem do czynienia tamtego wieczoru — zaczął, zapalając kolejnego papierosa.

Wypuścił dym rozszerzonymi nozdrzami.

— Wiem, zaraz spytałby pan o konkrety. Oto i one. Elza Neiss jest pustą, nieco bezczelną pannicą, która chciałaby bogato wyjść za mąż, ale ponieważ lubi męskie towarzystwo, szuka nieustannie, po omacku i często okazuje swoje względy komu popadnie, ot tak, na wszelki wypadek.

Lekkie chrząknięcie również palącego inspektora spowodowane było gryzącym dymem, końcówki papierosów zawsze są zbyt mocno przesycone nikotyną.

Ciotka Elzy, Wilfrida, nie zrobiła na artyście żadnego wrażenia i orzekł, że, wymieniając jej imię, i tak poświęcił gospodyni zbyt wiele uwagi.

— A Meinhardowie? Ich zna pan najlepiej.

— Gottlieba znam długo, ale powierzchownie i głównie z opowiadań bratanka. Staruszek być może byłby na swój sposób oryginałem. Ta jego mania antropologiczno-turystyczna! Ale zbyt mocno stąpa po ziemi, nie uznaje sprzeciwu i jest chciwy. Tak samo zresztą, jak Otto. Obaj mają pieniądze i obaj je lubią, dzięki nim zresztą mogą sobie pozwolić na rozmaite zachcianki. Otto bywa niesympatyczny i właściwie nie wiem, dlaczego się z nim przyjaźnię.

— Może wspólne wspomnienia? Lata studiów, miłostki...

— On nie pozwala sobie na miłostki, inspektorze — szczerze zaśmiał się Hamaren. — Szkoda mu na nie czasu. Chciałby bogato się ożenić, a gdyby koniecznie pragnął kobiecego ciepła, cóż, stać go na wytworne namiastki.

— Jest więc cynikiem?

— Są przyjemności, które przedkłada nad uczucia. Dobry garnitur, kawa w modnym lokalu, wyścigi. Choć gra rozsądnie; nigdy nie straciłby więcej niż dziesięć marek.

O obu pastorach Norweg nie mógł powiedzieć niczego prócz jednego: byli typowymi pastorami. Starszy z manią wyższości i apodyktyczny, młodszy zaś pełen kompleksów, znajdujący się pod absolutną dominacją pierwszego, bardzo lubiący kobiety, w szczególności Elzę, która, ośmieszając, równocześnie prowokowała go niemal wyzywająco.

Sigmund trochę Hamarena śmieszył, trochę irytował; nie mógłby zabić fotografa, bo wszystkie jego myśli krążyły nad Eleonorą, którą on, Lars Hamaren, widziałby jako modelkę malowaną przez twórców oleodruków. Tak widać kończą dandysi, którzy w głębi serca nie są dandysami. Poza tym Sigmund był nadmiernie szczery, parę razy opowiadał o jakichś swoich

prywatnych sprawach, które nikogo nie obchodziły, i nie zawsze odnajdywał się w roli wesołego, nonszalanckiego młodzieńca.

— Gertruda Dangel... — zaczął charakterystykę następnej postaci.

— Z pewnością nie warto poświęcać jej wiele czasu — przerwał Ignaz z przekąsem.

— Ależ nie, przeciwnie — zaperzył się Norweg.

Braun nieśmiało zaproponował:

— Przecież chce zostać diakonisą.

— Owszem, ale każdy może pozwolić sobie na jakąś fanaberię. Ekstrawagancja jest w modzie. Dziś chce, jutro może niekoniecznie, w każdym razie Gertruda jest inteligentna. Oczytana, choć nad wyborem jej lektur można by dyskutować. Niemniej zna Carpanellego i Prousta, ma doskonały słuch muzyczny. Wie pan, ona pochwaliła moją muzykę, zanuciłem jej parę taktów „Ducha Północy”. Zna filozofię współczesną, wprawdzie nienawidzi Hegla i Nietschego, ale ich czytała. I gdyby rozpuścić jej włosy, założyć jakąś kameę...

— Czy nie zahacza pan o perwersję?

— Perwersję?! — wykrzyknął Hamaren.

— I chyba lubi pan brunetki. Pani Schreder, panna Dangel...

— Ale do perwersji jeszcze stąd daleko! Ja po prostu jestem artystą, może pan zauważył, inspektorze? Moja wyobraźnia sięga głębiej niż wyobraźnia policjanta, bez urazy.

— Być może. Zaiste, musi ona być wielka.

Ignaz właśnie wyobraził sobie, jak Norweg określiliby jego Bernadete i wolał dłużej nie myśleć na ten temat. Unikał emocjonalnego stosunku do przesłuchiwanym.

— Pozostaje mi zadać panu jakże znaczące pytanie, które zapewne spodziewał się pan usłyszeć.

— Co robiłem po wyjściu od pani Wilfridy? — Hamaren smutno pokiwał głową.

— Otóż to.

— Rozczaruję pana, nic szczególnego. Poszedłem ze Schrederami w kierunku hotelu, po drodze omawiając szczegóły dotyczące portretu. Wypiłem jeszcze kieliszek koniaku u Ottona.

— Meinhardowie byli już na miejscu?

— Oczywiście. Gottlieb usłyszał, że otwieram drzwi mojego pokoju i sam poprosił mnie do nich, mieszkamy po sąsiedzku. Otton brał toaletę i po kwadransie dołączył do nas. Zabawiłem u nich jakiś kwadrans, ale rozmowa nie kleiła się, chyba wszyscy byliśmy znużeni tym wieczorem. Przed północą zasnąłem jak niewinne dziecko.

— I nie śnił pan o żadnej brunetce? — zdziwił się Ignaz, ale było to zdziwienie niemal przyjazne.

Dwaj mężczyźni powoli schodzili z kalwaryjskich wzgórz. Nad nimi leciutko zaczynał różowić się zachód słońca. Gdyby nie rozłąka z żoną i okoliczności, które zmuszały go do wędrowania po obrzeżach miasta, Braun mógłby uznać, że jest szczęśliwy. I był. W czasach gwałtownego rozwoju kolei żelaznej żadne odległości nie wydawały się zbyt wielkie.

Właśnie, czasy rozwoju... W każdej dziedzinie. Jedynie człowiek zdawał się pozostawać niezmienny. Jego namiętności, nadzieje i skłonności do zbrodni.

Miasto, leniwe i pogodne, czekało na gościa z Berlina.



Dołki w policzkach

Panna Eleonora Gephard siedziała przy robótce. Jej okrągła twarz wyrażała pogodne oczekiwanie. Naprzeciwko siedziało dwóch mężczyzn. Jeden z nich, dochodzący lat czterdziestu, z lekkim uśmiechem brał do rąk filiżankę z gorącą czekoladą, natomiast drugi siedział z łakomym wzrokiem wlepionym w pulchne, choć zręczne paluszki panny, zajęte powstającą lizeską.

Znaczące chrząknięcie Brauna wyrwało z zachwytu posterunkowego Bochentina.

— Tak, panie inspektorze, już sięgam po kajet.

— Czekolada panom smakuje? — zainteresowała się Eleonora. — Ostatnio dostawy nie są pierwszego gatunku, podobno winna jest okropna susza w naszych koloniach.

— Kameruńska jest najlepsza. Ta czekolada pochodzi chyba właśnie z Kamerunu, jest wyborna — Ignaz potrzymał w ustach nieco płynu i wyraźnie rozkoszował się jego smakiem.

Posterunkowy pomyślał, że czekolada jak czekolada, nie ma wielkiej różnicy, on z kolei słyszał zawsze, że południowoamerykańska jest

najlepsza. Dla niego były to zresztą dywagacje czysto teoretyczne, ponieważ najbardziej lubił piwo.

— Wszystko zależy od nasłonecznienia stoku, na którym rośnie kakaowiec, taka jest prawda. Jeśli słońce świeci przez większą część dnia, ale nie jest zbyt rażące, możemy być pewni, że ziarno będzie wyśmienite — zawyrokowała panna Gephard.

— Skąd u pani taka wiedza? — zdziwił się Ignaz, a posterunkowy chętnie dołączył swoje zdezorientowane, choć niezwykle przyjazne spojrzenie.

— Myślał pan, że dobrze wychowana panienka zna się tylko na szydełkowaniu i przygotowywaniu sufletu, prawda? Mój stryj jest przedsiębiorcą. Handluje z naszymi afrykańskimi dominiami. Nie widuję go zbyt często, ale gdy już przyjeżdża, całymi dniami opowiada o tamtejszej roślinności, o klimacie, o Murzynach.

— Murzynach? — głos Bochentina wyrażał zgorszenie.

— Posterunkowy, proszę pozwolić panie Gephard kontynuować.

— Przepraszam.

— Nie szkodzi — wesoło odparła Eleonora, a dołki w jej policzkach uwidoczniły się jeszcze bardziej niż dotąd. Nie kontynuowała jednak. Przyglądała się bystro obu policjantom.

Ignaz tymczasem zdążył zauważyć, że wystrój pokoju wzbogacony jest o afrykańskie pamiątki. W najciemniejszych kątach czerniły się dwie niewielkich rozmiarów maski z drzewa hebanowego. Figurka przedstawiająca półnagą dziewczynkę z dzbanem wody osobliwie zdobiła serwantkę wyłożoną kryształami i porcelanowymi talerzykami. Pejzażyk na ścianie obrazował bezkresne przestrzenie sawanny, ciemnożółte i pozbawione zielonej roślinności.

— Podoba się panom salonik? — zapytała Eleonora, nie podejrzewając nawet, że mogłoby być inaczej.

— W istocie. A tam, na fotografii nad kredensikiem, czy to stryj panienki?

— Stryj, jakżeby inaczej!

Wąsaty mężczyzna w średnim wieku, odziany w jasną marynarkę i także spodnie z wysoko podniesionymi getrami, trzymał jedną nogę na głowie bawołu. Przedłużeniem dłoni mężczyzny była długa strzelba.

— Biedny wujek Pratz... — zamyśliła się Eleonora.

— Słucham? — zdziwił się Ignaz, jakby przybył do panny Gephard w celu porady odnośnie do robótek ręcznych.

— Biedny! Bardzo lubił tę fotografię.

— Wujek? Theodor Pratz był tutaj? U panny?

— Oczywiście, nieraz!

— ?

— Jako dziecko często oddawana byłam pod jego opiekę, był dalekim krewnym mojej matki. Uwielbiałam atmosferę pracowni fotograficznej. Nazywałam go wujkiem, a taki przywilej był w Wejherowie czymś wyjątkowym.

Bochentin pracowicie zapisywał w kajecie słowa Eleonory. Ignaz jeszcze bardziej się ożywił i nachylił w stronę gospodyni.

— Kiedy ostatni raz był u pani?

— Z pewnością w ciągu ostatniego tygodnia przed śmiercią.

— Jakie było jego zachowanie? Czy dostrzegła pani coś szczególnego?

— O, teraz przypomniało mi się. W niedzielę po południu, kiedy wróciłam od Elzy, wie pan, takie kobiece pogaduszki — Eleonora zrobiła bardzo tajemniczą minę, a potem spuściła skromnie oczy — wujek

przyszedł, żeby trochę pogawędzić. Zdarzały mu się takie niezapowiedziane wizyty, zwłaszcza w niedzielę.

— W niedziele oczywiście nie pracował?

— Przeciwnie! Wujek był wprawdzie dość religijny, nie wykonywał w taki dzień żadnych codziennych prac w domu, ale przecież w niedzielę często odbywają się uroczystości rodzinne. Ludzie pragną posiadać pamiątkowe zdjęcia.

Posterunkowy poczuł się w obowiązku, aby mruknąć: „Chrzcziny, jubileusze, zjazdy bractwa kurkowego, no panie inspektorze”.

— Dziękuję, posterunkowy, macie absolutną trafność. A zatem, panienko, Theodor Pratz odwiedził panią.

— Tak. Wujek mimo zamówień miał jednak niedzielami więcej czasu, nie pracował w ciemni, nie oprawiał zdjęć w ramy, nie złocił obwódki przy kalotypach, rozumie pan.

— Bez dwóch zdań. I...?

— I nic. Zachowywał się tak, jak zawsze. Był uśmiechnięty, trochę opowiadał o fotografiach, które ostatnio wykonał, zjadł parę kruchych ciasteczek, bardzo je lubił.

— O jakich fotografiach wspominał?

— Zapamiętałam jego słowa, bo zamówienia dotyczyły samych ważnych w mieście osób. Zacznę od dwóch pastorów, ponieważ pan inspektor ich zna.

„Classowie!” — pomyślał Ignaz i wyobraził sobie, jak na skutek uciążliwego pozwania postanowili przy nadarzającej się okazji zabić Pratza.

— Panowie Class zlecieli wujkowi zrobienie fotografii, na której byłiby razem. Nie są próżni, o nie, ale konsystorz wydaje wielki album

pamiątkowy poświęcony wszystkim parafiom naszej diecezji. Pan jest oczywiście ewangelikiem, inspektorze?

— Dlaczego pani pyta?

— Bo ewangeliccy pastory są tacy nudni. Pan mógłby być katolickim księdzem, ma pan taki skupiony, ale równocześnie energiczny wyraz twarzy. Przepraszam za poufałość, mówię to oczywiście jako osoba bezstronna, a przy tym na tyle młoda, by pozwolić sobie na takie dziecinne rozmyślenia.

Panna Gephard udała zakłopotanie, ale w gruncie rzeczy była zadowolona z własnej rezolucji.

— A następne ważne osoby z wejherowskiego świata? — Ignaz karcącym spojrzeniem powstrzymał od cynicznego uśmiechu posterunkowego Bochentina i dłonią wskazał mu kajet.

— Właśnie. Pan Ernest Winter, miejscowa sława psychiatryczna, słyszał może o nim pan inspektor?

— Panienko, przepraszam, ale od zadawania pytań jestem ja, choć rozmawia się oczywiście bardzo miło, a czekolada jest wyborna. Jakie były okoliczności zamówienia?

— To ja przepraszam, już nie będę zachowywać się jak prowincjonalna gąska — dołki w policzkach wskazywały niezbicie, że Eleonora ani przez moment nie zachowywała się dotąd jak prowincjonalna gąska. — Pan Winter i jego żona, pani Augusta, mój Boże, ona nosi takie samo imię jak miłościwa pani, obchodzili trzydziestolecie ślubu i przyszli do zakładu, aby uczcić fotografią tę okoliczność.

— Jakież szczegóły?

Eleonora zamyśliła się, ale zaraz potrząsnęła jasnokasztanową głową.

— Prywatnie pan Winter jest bardzo nudny i podporządkowany żonie, chociaż w szpitalu wszyscy pacjenci boją się go. Tak mówi Trudchen, to

znaczy panna Dangel, poznał ją pan. Ma tam praktyki medyczne. Wujek nic szczególnego nie zapamiętał. Opowiadał o tym pozowaniu, ale wiem tylko tyle, że się odbyło. Pani Augusta była oschła dla męża i oczywiście ona zadecydowała o pewnych szczegółach, które wujek zwyczajowo zostawia uznaniu klientów.

— Pani przyjaźni się z panną Dangel?

Odpowiedź nie padła natychmiast. Eleonora oświadczyła wreszcie, że Gertruda jest bardzo mądrą i wartościową osobą, natomiast nie jest typem człowieka, z którym łatwo można się zaprzyjaźnić. Skupiona, zasadnicza, chociaż w gruncie rzeczy ma takie same pragnienia jak każda dziewczyna w jej wieku.

— Z tą drobną różnicą, że chce zostać diakoniszą — zauważył Ignaz.

— Skomplikowana sprawa, panie inspektorze...

„Kobiety zawsze są zbyt skomplikowane” pomyślał posterunkowy i sięgnął po swoją filiżankę z czekoladą.

— Nie do końca wierzę, że pragnie poświęcić się bez reszty Bogu — zawahała się Eleonora, ale słowa już zostały wypowiedziane

— Dlaczego?

— Bo znacznie chętniej poświęciłaby się temu, kto już poświęcił się Bogu.

— Ma pani na myśli...?

— Już i tak za dużo powiedziałam.

— Skoro pani zaczęła...

— Georg Class. Ale nic więcej nie powiem, zwłaszcza że pastor patrzy w inną stronę.

Ignaz pomyślał, że nie może dłużej przeciągać struny. Wiedział, że czasami rozmówcy wyrwie się nieco więcej, niż miał zamiar powiedzieć.

Potem żałuje i dalsza rozmowa nie przebiega po myśli śledczego.

— Kto jeszcze ze znanych w mieście osób był klientem pana Pratza w ostatnim czasie?

— Właśnie. Dyrektor Miejskiej Kasy Oszczędnościowej...

— Schul! — ucieszył się inspektor.

— Zna go pan — teraz Eleonora się ucieszyła. — Wujek opowiadał również o dyrektorze. Nie wyobraża pan sobie, jak długo Friedrich Schul czesał się przed lustrem, jak poprawiał krawat i podkrecał wąsa! Wujek twierdził, że już dawno nie miał tak drobiazgowego klienta. Dyrektor sam próbował ustawiać lampy w atelier, interesował się, jakiej firmy błony fotograficzne będą użyte! Czy pan wyobraża sobie coś podobnego?

Pytanie było niefortunne, ponieważ Braun widział w swym życiu tak nieprawdopodobne rzeczy i stykał się z tak oryginalnymi ludźmi, że typ dziwactwa reprezentowany przez dyrektora Schula zdawał się dzieciinną igraszka.

— Rozumiem, że podziwu godna pedantyczność tego klienta jest jedyną godną zapamiętania rzeczą, jaka została pani przekazana?

— Niestety, tak — zmartwiła się Eleonora. — Nie wiem nic, co mogłoby panu inspektorowi pomóc. Przepraszam.

Na twarzy panny widać było rzeczywiste zatroskanie.

— Czy nic podczas feralnego wieczoru nie obudziło pani podejrzeń? — zapytał posterunkowy Bochentin, który wiedział, że inspektor zaraz zada właśnie takie pytanie. Jak każdy człowiek, był odrobinę próżny i chciał czasami wcielić się w rolę głównego śledczego.

Inspektor nie wydawał się urażony. Uśmiechnął się lekko i wymownie spojrział na Eleonorę, zachęcając ją do odpowiedzi. Panna Gephard utkwiała zamysłone spojrzenie w kryształowej cukiernicy zdobionej ornamentami ze

srebra, jakby chciała z niej wyczytać wiedzę konieczną do wykrycia sprawcy.

— Widzi pan, ja miałam głowę zajętą czymś zupełnie innym. Rozmowami, towarzystwem.

W jej głosie nie było śladu kokieterii. Przed policjantami siedziała teraz smutna, zamyślona, poważna młoda kobieta. Ignaz obdarzył ją ciepłym spojrzeniem.

— Gdybym zauważyła coś, co zapobiegłoby śmierci wujka... Mój Boże, zachowywałam się jak pensjonarka!

— Przecież nie robiła pani nic złego. Znalazła się pani na wieczorze, który miał być swobodny i przyjemny. Kto mógł przypuszczać, że jesteśmy świadkami ostatnich chwil pana Pracza?

Eleonorze było miło, że inspektor chciał ją pocieszyć. Nic jednak nie mogła poradzić, że powracały uporczywie myśli o zaniechaniu. Na pytanie, skąd wzięło się przypuszczenie, że właśnie podczas ostatniego wieczoru mogła czemuś zapobiec, nie potrafiła odpowiedzieć. Miała przeczucie.

— Powtórzę za posterunkowym: może jednak zdoła pani coś sobie przypomnieć? Przecież takie przeczucie nie bierze się wyłącznie z kobiecej intuicji.

— A jeśli właśnie tak jest? — odparła zdeorientowana Eleonora.

— Nie uwierzę. Zbyt często miałem do czynienia z sytuacjami, gdy z pokładów myśli nagle wyszło na wierzch coś, co pozwalało skierować śledztwo na zupełnie nowe tory.

— Widzi pan, inspektorze, po powrocie do domu miałam wrażenie, że każdy z gości zachowywał się w sposób dziwny.

— Nie rozumiem.

— Elza była nienaturalnie pobudzona. Przecież dobrze ją znam. Śmiała się za głośno, głośniej niż ma w zwyczaju. Pastor Class był jeszcze bardziej

nadęty i kłótlivy niż zazwyczaj, jego syn zupełnie ostentacyjnie zalecał się do Elzy, a Trudchen uroniła parę łez w kącie. Przecież na ogół jest taka opanowana!

— Sigmund natomiast... — wtracił Ignaz z delikatnym uśmiechem.

— Sigmund von Mach przeszedł samego siebie — dołki w policzkach dziewczyny znowu nabrały wyrazistości. — Zachowywał się jak małpka w zoo. Stroił do mnie jakieś miny, bez końca poprawiał krawat, właściwie gdybym nie dała mu odczuć, że jestem niezainteresowana jego towarzystwem, zupełnie zaniedbałby rozmowy z pozostałymi gośćmi.

— I pani oczywiście przeszkadza zachowanie Sigmunda?

Eleonora uśmiechnęła się leciutko.

— Tego nie powiedziałam.

Na twarzy posterunkowego Bochentina już miało się odmalować zdziwienie, ale przypomniał sobie, że jego siostra, gdy zaczął do niej przychodzić w konkury późniejszy mąż, zachowywała się kubek w kubek tak samo.

— Albo tacy na przykład Schrederowie. Wielki mi adwokat, który bardziej niż wypada dba o świeże kołnierzyki i garnitur. Widziałam go przedtem trzy razy. Ze spotkania na spotkanie jest z nim coraz gorzej, to takie niemęskie. Widział pan, jak oglądał swoje buty i ciągle sprawdzał, czy mankiety koszuli wystają na odpowiednią długość? Jego żona natomiast zapatrzona była w tego ponurego Norwega. Z nim można prędzej rozmawiać o połowie łososia niż o sztuce, taki jest nieokrzesany i grubiański.

— Paschinski również zachowywał się dziwnie?

Wejherowski doktor w ogóle się nie zachowywał i fakt ten dla Eleonory był pocieszający. Nie miała do milczącego mężczyzny żadnych zastrzeżeń,

ale też nie zamierzała poświęcać mu więcej uwagi, niż wymagała tego zdawkowa odpowiedź na pytanie Brauna.

— Meinhardowie?

— Niech pan inspektor wybaczy, ale nigdy wcześniej nie miałam sposobności rozmowy z nimi. Nie było więc niczego, co zdziwiłoby mnie u nich. Chociaż...

— Tak? — Ignaz wszedł w słowo pannie.

— Zdawało mi się, że stanowią bardzo zgraną parę, która wcześniej zaplanowała sobie, jakie wrażenie zrobić na zebranych.

— Czy pani słyszy samą siebie? Ja oczywiście chciwie wysłucham tego spostrzeżenia, ale musi być przemyślane.

Wahanie na twarzy dziewczyny sprawiło, że Braun na moment pożałował swoich słów. Jednak Eleonora kontynuowała.

— Widzi pan, stryj i bratanek w odpowiednim przedziale czasu podchodzili do rozmaitych osób, przechwytywali rozmówców, wchodzili sobie w słowo tak, żeby potwierdzić opinie wyrażane przez siebie nawzajem. Po co takie zabiegi?

Ignaz był nieco rozczarowany. Popatrzył na pannę z pewną dozą wyrozumiałości właściwą człowiekowi, któremu dane było uczestniczyć w niejednym spotkaniu, gdzie brylowały zwierzęta salonowe rozmaitych gatunków.

— Panienko, proszę nie zapominać, że ludzie tej profesji cały czas znajdują się w pracy.

— Co ma pan na myśli?

— Nic szczególnego, jedynie tyle, że sposób zachowania osób niektórych profesji może wydawać się postronnym obserwatorom nieco nietypowy. Niech pani nie zapomina, że stryj i bratanek reprezentują wolny zawód. Nie mają, jak urzędnicy państwowi, określonych godzin pracy,

posiadają luksus zarabiania na utrzymanie wtedy, kiedy jest im to potrzebne. Taki stan rzeczy powoduje jednak, że wykształcił się w nich odruch „łowienia” klientów również wtedy, gdy nie wymaga tego sytuacja. Stąd zapewne pani spostrzeżenie.

Dołki w policzkach panny Eleonory uwydatniły się, a w oczach pojawił się figlarny błysk. Odczekała chwilę, a potem zapytała:

— Czy słowa pana inspektora oznaczają, że i on podczas tamtego wieczoru bacznie obserwował zebranych? Dlaczego w takim razie nie zauważył pan niczego podejrzanego?

Na tak postawione pytanie nie istniała odpowiedź, choć Braun nie lubił pytań bez odpowiedzi.

— Widzi panienska, nic w życiu nie jest takie proste. Dla młodziutkiej osoby, która dopiero wkracza w dorosłość, niemal wszystkie zagadki mają swoje rozwiązanie. Pozornie. Gdyby było tak, jak pani mówi, nie istniałaby policja kryminalna, wystarczyliby oddelegowani, na przykład przez ministerstwo sprawiedliwości, cywilni urzędnicy, którzy mieliby pod swoją opieką, załóżmy, do dwóch tysięcy osób i na miejscu, w ciągu godziny, wykrywaliby sprawcę. A ja nie wiedziałem, że dojdzie do tragedii. Cóż, każdy może zauważyć szczęśliwym trafem coś szczególnego, do tego nie trzeba być policjantem.

— Pan inspektor i tak wykryje sprawcę — wtrącił posterunkowy Bochentin takim tonem, jakby zdradzał Eleonorze tajemnicę.

Ignaz z wrodzoną sobie skromnością potwierdził skinieniem głowy, uznając, że pokazywanie osobie postronnej braku wiedzy co do osoby mordercy nie może przeciągać się w nieskończoność.

— A teraz zadam pani jeszcze jedno pytanie. Proszę się namyślić. Komu z gości, według pani, mogło zależeć na śmierci Theodora Pratzta?

— Naprawdę sądzi pan...? — zdumienie dziewczyny było wielkie. Wiedziała, że wszystkie dotychczasowe pytania zmierzają do tego ostatniego, ale kiedy je usłyszała, dopiero dotarło do niej, że według Brauna wśród gości pani Wilfridy mógł się znajdować morderca.

— Nie wierzę. Nie wierzę, że ktokolwiek z nich mógł zabić wujka.

— A czy resztę gości zna pani tak dobrze, jak Elzę i jej ciocię? No? — zadał całkiem zasadne pytanie posterunkowy.

Elza wiedziała, że Bochentin miał rację. Zaczęła po kolei analizować postaci, które przewinęły się przez salon pani Neiss.

Nic nie wiedziała o Meinhardach, sama zwróciła inspektorowi uwagę na ich dziwne zachowanie.

Pastorów znała od dziecka, ale kto wie, co może zalegnąć się w duszy takich oryginałów? Poza tym znali Theodora Pratzę od dawna, może w grę wchodziły jakieś zatargi, o których nie miała pojęcia?

Do Schrederów nie miała zaufania, odstręczali ją brakiem swojskości, zarozumiałością i dystansem do prowincji, który przebijał z każdej ich wypowiedzi.

A kim był w gruncie rzeczy ten von Mach? Fakt, że wodził za nią oczami i był sympatyczny, niczego nie przesądzał. Był w zasadzie obcy i wprawdzie nie znała przyczyny, dla której mógłby zabić, ale w dzisiejszych czasach?

Norweg... Tak, Norweg nadawał się na mordercę. Szaleniec, chodzący z głową w chmurach, potrafiłby być zdolny do okrucieństwa. Czy sam nie wspomniał o niej jakimś Nietzschem, który głosił wyższość siły i natury przed słabością? Na dodatek szepnął jej w pewnym momencie, że gdyby założyła czarną perukę i ciężkie okrągłe kolczyki, mógłby namalować jej akt. Stanowczo, nie był człowiekiem zrównoważonym.

Paschinski jest skryty, milczy i milczy, tacy nadają się do roli morderców. Ich skromność kryje z pewnością burzę emocji. Nienaturalnie ukrywane, mogą nagle wybuchnąć z siłą, jakiej nie potrafiłby przewidzieć nawet sam zainteresowany.

— Gertrudę oczywiście wykluczam — zakończyła z mocą.

— Dlaczego? — obruszył się inspektor. — Z taką wnikliwością podsumowała pani wszystkich, dlaczegóż by wobec niej stosować taryfę ulgową?

— Pan żartuje — odparła Eleonora w sposób tak przekonujący, że Ignaz nie kontynuował.

Po zakończeniu przesłuchania obaj policjanci stali przez chwilę na Rynku, nieopodal komisariatu. Obok nich przejechał na rowerze listonosz z torbą wypełnioną jakimiś pakietami.

— Czy nie uważacie, posterunkowy, że po paru rozmowach wiemy na temat motywu dokładnie tyle, co na przykład ten listonosz?

Bochentin zapalił papierosa, rzucił okiem w stronę oddalającego się urzędnika cesarskiej poczty, splunął i zauważył:

— Panie inspektorze, listonosze należą do najlepiej poinformowanych.

— Ale żaden z nich nie nazywa się Braun — pocieszył się Ignaz.



Narada w szczególnych okolicznościach

Gabinet komisarza Renscha niewiele zmienił się od czasu, kiedy Ignaz bywał w nim przed paru laty. Te same solidne dębowe meble, to samo olbrzymie biurko z rzeźbionymi bokami i nogami, ten sam ostry zapach cygar, którego nie mogło wywabić systematyczne wietrzenie, jakie zarządzał Heinz, gdy tylko jego pryncypał wychodził w teren. Z kolei cesarz spoglądał na odwiedzających komisarza z tą samą dobrotliwą troską. Jakże zresztą mogłoby być inaczej?

— Pozornie żadnego motywu. Tak! Zadziwiający! Może jeszcze koniaczku, drogi inspektorze?

— A wie pan, chętnie. W takich okolicznościach...

— Otóż to! Koniaczek nie tylko poprawia krążenie krwi, rozwesela człowieka, ale jeszcze rozjaśnia umysł.

— Mój umysł zdaje się rozleniwiony, komisarzu — Braun zdawał się szczerze niepokieszony. — A tak chciałem, aby Berlin przekazał sprawę w moje ręce, z marszu, wbrew dotychczasowym praktykom.

Umysł Renscha był już pod kojącym wpływem rozgrzewającej mikstury.

— Daj pan spokój, kochany inspektorze! Przecież byle komu nie powierzyliby tej sprawy. Wystarczył jeden telegram do nadkomisarza von Marburga!

— Ale w Berlinie czeka żona, a ja pomyślałem sobie z politowania godną zarozumiałością, że w jeden, dwa dni poradzę sobie z mordercą. Tymczasem sprawa stoi w miejscu. Gdzie jest ten motyw?

— Siedzi przede mną pogromca Dietricha z Hilesheim, wolne żarty! Jego sprawstwo wyszło na jaw po szesnastu dniach od pana przyjazdu, jeśli mnie pamięć nie myli. Tak, szesnaście dni. I co? I pana sława wzrosła niepomiarnie!

Do gabinetu wszedł, poproszony uprzednio, posterunkowy Bochentin. Położył przed komisarzem kilkanaście spiętych kartek, zawierających podsumowanie dotychczasowych przesłuchań. Spojrzał badawczo na obu oficerów i, widząc zachmurzoną twarz Brauna, postanowił go pocieszyć.

— Panie inspektorze, będzie dobrze.

Rensch chciał zgromić podwładnego za samowolne zabranie głosu, ale Ignaz uśmiechnął się do posterunkowego.

— Dziękuję wam, Bochentin, wszyscy tutaj wierzą w moje zdolności. Pamiętam jednak, że przy sprawie Wendersa od początku kiełkowało w moim umyśle przypuszczenie. Ono ułatwiło mi pracę.

Dwa kieliszki napełniły się złocistym płynem.

— A wie pan, kochany inspektorze, co w takich okolicznościach, jak te dzisiejsze, robił mój świętej pamięci poprzednik, komisarz Arendt?

— Nie wiem nic na temat komisarza Arendta — ożywił się Ignaz.

— Chodził na cmentarz i tam szukał motywu — ozwał się posterunkowy, korzystając, że Rensch nie kazał mu się dotąd odmeldować.

— Właśnie! — następca komisarza Arendta zaciągnął się potężnym haustem dymu z cygara, wbrew zwyczajom panującym wśród ortodoksyjnych palaczy.

— Na cmentarzu? — zdziwił się Ignaz, ale zaraz sięgnął po swój zegarek, otworzył go i zamyślił się.

Późno, w istocie, już dwudziesta pierwsza trzydzieści, ale przecież mamy lato, a on, komisarz, gotów jest towarzyszyć inspektorowi w tak osobliwym miejscu. Jeśli tylko spacer po cmentarzu ma poprawić nastrój gościowi z Berlina. Może Braun dozna tam jakiegoś olśnienia. Nie żeby aura cmentarza, ale jako placebo każdy sposób jest dobry, nawet kiedy inspektor wie, że to tylko placebo.

Nieco zaplątana argumentacja komisarza była niepotrzebna. Ignazowi spodobała się myśl o udaniu się na cmentarz.

— Proponuje cmentarz ewangelicki. Nie mam specjalnej ochoty spacerować pośród umarłych katolików, jeszcze by mnie zaczęli straszyć. Tak, wie pan, zdarzało mi się w prywatnych rozmowach niepochlebnie wyrażać o niektórych z nich. Ale pan sam, kochany inspektorze, jest katolikiem, stukrotnie przepraszam!

„Posterunkowy też jest katolikiem” — zbuntował się w myślach Bochentin, ale zachował pełne godności milczenie.

— Nie szkodzi, komisarzu, w Berlinie nie takie rzeczy słyszałem od kolegów luteran — odparł Ignaz i z wyrozumiałością skłonił się Renschowi.

Spacer na cmentarz ewangelicki nie trwał długo. Jak mówili mieszkańcy miasta, tutaj wszędzie było blisko. Wystarczyło wyjść z Rynku i ulicą Lęborską kierować się w stronę Zakładu dla Obłąkanych. Ignaz nieraz, podczas prowadzenia sprawy Wendersa, chodził tą drogą.

Kiedy dwaj policjanci opuszczali komisariat, słońce z wolna zaczynało chować się za zabudowaniami, umykając w stronę Bolszewa i, dalej, Lęborka. Z każdą chwilą stawało się coraz bardziej rdzawe. Ni stąd, ni zowąd przecięły je pierwsze tego dnia fioletowe, ostre pasma chmur. Od północy powiał chłodny wiatr.

Przechodnie, których mijali policjanci, ze zdziwieniem i obawą spoglądali w niebo, pragnąc się upewnić, czy aby postąpili właściwie, nie zabierając z domu parasoli. Rzeczywiście, wkrótce słońce całkowicie ukryło się za ciemnymi obłokami, a leniwy późnowiosenny wieczór zmienił się nie do poznania w ciemny początek zbyt wczesnej nocy.

Policjanci z pewną wyższością obserwowali mijanych ludzi załęczonych perspektywą załamania pogody. Funkcjonariuszom cesarskiej policji nigdzie się nie spieszyło, byli w pracy. Rensch szepnął Heinzowi, aby po wyjściu z komisariatu wstąpił do pani Katarzyny i powiedział żonie komisarza, że jego późniejszy powrót do domu podyktowany będzie wyższą koniecznością wagi państwowej.

Ogrodzenie cmentarza, murowane, solidne, policjanci przekroczyli w odmiennych nastrojach. Komisarz Rensch znajdował się pod wpływem kilku koniacków, co sprawiało, że nucił sobie kuplecik z jakiejś operetki, którego Ignaz nie potrafił zidentyfikować. Sam Braun czuł, że wkracza na teren święty, zarezerwowany głównie dla zmarłych, a niecodzienna pora tylko podkreślała uroczysty nastrój, w jakim się znalazł. Ilekroć był na cmentarzu, jego myśli koncentrowały się na tym, co znajdowało się kilka metrów pod ziemią. Tymczasem jego towarzysz od początku zwrócił uwagę na nagrobki.

— Niech pan spojrzy, inspektorze, tam dalej, nieco w prawo znajduje się miejsce spoczynku młodego Wendersa.

Jeszcze kilkanaście metrów i oto mężczyźni znaleźli się przed granitową tablicą. Mimo zapadającego mroku, Ignaz zdołał odczytać napis.

Tu spoczywa Johann Wenders

Nadzieja ziemskiej Ojczyzny

I radość chórów niebieskich.

1883—1901

— Żadnego kontekstu sprawy — zauważył Braun. — Żadnego wyjaśnienia. Może dobrze się stało, że tak to właśnie wygląda?

— Pewnie, że dobrze — ochoczo przytaknął Rensch. — Bo co niby miała napisać ta nieszczęsna kobieta? Że zamordowany przez szalonego ojca? Albo że chadzał na kalwarię w towarzystwie niewinnych panienek, którym zatruwał umysły? I czym właściwie zatruwał? Przecież tego nikt nie wie! Tak. Najlepsze rozwiązanie.

— A jego ojciec? — nieśmiało pytanie należało do gatunku tych, które komisarz potrafił przewidzieć.

— Kochany panie inspektorze, nie opowiadałem panu, w istocie! Pani Irmgarda, po kilku dniach namysłu, zdecydowała o wystawieniu małej tabliczki z imieniem i nazwiskiem. Superintendent odprawił skromne modły tutaj, na cmentarzu. Obecnych było kilka osób, wdowa płakała rzewnymi łzami i gdyby nie pokojówka, ta jej Kornelia, z pewnością upadłaby na ziemię ze dwa, trzy razy. Ale następnego dnia już chodziła po mieście, na początku ze skromnie spuszczonej oczami. Tak. Wyglądała prawie niewinnie, ale z dnia na dzień odzyskiwała dawny blask. W gruncie rzeczy, bardzo piękna kobieta. Czy pan zwrócił uwagę na jej piersi?

Ignaz nieśmiało zauważył, że znajdują się na cmentarzu, w dodatku nad grobem syna pani Irmgardy. Rensch pokornie skinął głową, ale zaraz podniósł wzrok w nieokreśloną dal, jakby miał nadzieję, że ukaże mu się

wdowa po Johannesie, zmysłowo kołysząc szerokimi biodrami i wydatnym biustem.

Tymczasem słońce całkowicie skryło się gdzieś daleko, a nad policjantami świecił nadspodziewanie jasno księżyc, który jeszcze kilka dni wcześniej ukazywał się spóźnionym przechodniom w całej krasie okrągłej tarczy. Chmury nie sprowadziły deszczu, snuły się jeszcze gdzieś, ale nie miały zamiaru przeszkadzać gwiazdom, coraz wyraźniej świejącym na granatowym tle spokojnego nieba.

— Zrobił się piękny wieczór. Komisarz Arendt lubił takie spacerować, kilka razy zabierał mnie na cmentarz, a ja, młody podkomisarz, poczytywałem sobie za zaszczyt możliwość uczestniczenia w tych eskapadach.

— I rzeczywiście zdarzało mu się wtedy znajdować rozwiązanie kryminalnych tajemnic?

— Oczywiście! Tak, oryginał był ze starego Arendta, bez dwóch zdań. Stawał sobie nad jakimś grobem, nieruchomiał, myślał i myślał, bywało, że i przez kwadrans, potem nagle ruszał jak oparzony do następnego nagrobka, wreszcie zadzierał wielką, siwą głowę w niebo, jakby dopraszał się jakiejś podpowiedzi. I wracał znowu w poprzednie miejsce, czytał daty, a człowiek biegał za nim i nie mógł wypowiedzieć ani słowa, inaczej komisarz robił się bardzo nerwowy.

— I pewnie następnego dnia dawał panu odczuć swoje niezadowolenie?

— No właśnie — odparł Rensch. — Jakby pan komisarz był wtedy z nami.

Czy nigdy nie zdradził, na czym polegał fenomen jego odkryć? Przecież byłoby szalenie interesujące poznać szczegóły tak twórczej metody. Niestety, komisarz bezradnie rozłożył ręce. Wprawdzie wypadało, żeby Arendt wyjawiał tajemnicę swojego umysłu, w końcu przez niego biedny podkomisarz, pomijając zaszczytne wyróżnienie, musiał zarywać noce,

które wolałby spędzać ze swoją świeżo poślubioną Katarzyną (jak wszystko się zmienia!), ale przełożony to jednak przełożony, niczego nie musi.

— W takim razie nie naśladowujemy pańskiego poprzednika i pospacerujemy sobie bez celu. Wieczór jest ciepły i przyjemny, a odrobina świeżego powietrza po całodzienniej pracy w zadymionych pomieszczeniach kojąco wpłynie na nasz system nerwowy.

— Zwłaszcza że zadbałem o pewien szczegół, dzięki któremu spacer będzie jeszcze przyjemniejszy. Tak, nocny chłód nie za bardzo da nam się we znaki — podkreślił Rüdiger Rensch, wyjmując z kieszeni marynarki niewielką piersiówkę.

Ignaz nie skorzystał z propozycji. Mimo nieustannego kontaktu z nieboszczykami, miał jakiś zabobonny lęk przed przekraczaniem granic świata żywych i umarłych. Nie potrafiłby przechylić buteleczki na cmentarzu.

— Tak więc mamy tutaj elitę wejherowskiej społeczności — powiedział komisarz, kiedy już opróżnił do połowy piersiówkę. — Burmistrzowie, członkowie rady miejskiej, lekarze. I policjanci — wstrząsnął się przez moment.

— Tylko Keyserligków tu nie ma.

— Hrabiowie i ich rodzina to jednak coś więcej niż elita — zauważył Rensch.

— A gdzie będzie pochowany nieszczęsny Pratz?

Theodor Pratz był ewangelikiem i było oczywiste, że tutaj znajdzie miejsce spoczynku. Rensch wspomniał też, że pogrzeb odbędzie się następnego dnia.

Nad cmentarzem powiał chłodny wiatr, który pochylił się na koniec do samej ziemi. Przez plecy policjantów przeszedł dreszcz. Liście platanów, olch i brzoź zaszeleściły, jakby tchnięto w nie życie.

— Do licha, zaraz huknie puszczyk. Tak. A nietoperze wplączą się nam we włosy.

— Przecież ma pan na głowie kapelusz, komisarzu — uśmiechnął się Braun.

— A jak taki nietoperz zerwie kapelusz? — Rensch nieco się rozluźnił.

— Wie pan, chyba zaczynam dostrzegać przyczynę, dla której komisarz Arendt czerpał natchnienie z cmentarnych spacerów.

— Nie rozumiem? Tak. Nie rozumiem!

— Pobyt na cmentarzu wyostrza człowiekowi, w tym przypadku policjantowi, zmysły. Na przykład ja słyszę teraz rozmaite dźwięki artykułowane przez florę i faunę, których w zgiełku dnia nie potrafiłbym wychwycić. Przez analogię, myśli sięgające najgłębszych pokładów umysłu dopiero teraz, że użyję zbyt grubiańskiego i dwuznacznego na cmentarzu określenia, wychodzą na wierzch.

Policjanci przystanęli nad grobem kupca Hohschulza, od którego starostwo kupiło budynek, będący obecnie siedzibą urzędu.

— Bardzo szanowany obywatel. A jakie ma córki! Zdrowe nad podziw i fantastycznie zbudowane. Ale, ale, czyżby pana myśli, kochany inspektorze, zaczynały krążyć wokół fotografa? A ściślej wokół zabójcy?

— Usiłują, komisarzu — Ignaz rozłożył ręce. — Ale owszem, spróbujmy przeanalizować sytuację.

— Oczywiście, tak! — W Rüdigera Renscha niespodziewanie wstąpił animusz. Oficer wejherowskiej policji postanowił uczcić ten fakt łykiem z piersiówki.

Inspektor zaczął. Oto zostaje zamordowany solidny rzemieślnik, a raczej artysta. Nie ma świadków zabójstwa. Można przyjąć, że ofiara nie spodziewała się napadu. Można założyć, że ostatnie miejsce, w którym był fotograf, to salon Wilfridy Neiss.

— A czy jest to, pana zdaniem, wystarczająca przesłanka? — Myśli komisarza stały się jasne, a umysł krytyczny.

— Dlaczego nie?

— Mógł zacząć się na niego ktoś, o kim nie wiemy, a śledził go już przedtem, przed odwiedzinami. — Rensch bawił się w adwokata diabła, niechcący deprecjonując cały dotychczasowy sposób prowadzenia śledztwa.

— W istocie — zgodził się Braun. — W pana rozumowaniu jest jednak luka.

— Mianowicie? — komisarz poruszył wąsem. Nie pojmował, jak można było skrytykować tak logiczne przypuszczenie.

— Rachunek prawdopodobieństwa. Poza tym jedyną drogą do podjęcia nowego wątku jest zbadanie dotychczasowego. Powie pan, że wspomniana metoda jest ułomna i niezbyt szeroka. Prawda, ale jak dotąd jesteśmy na nią skazani.

— Jak inspektor Desgenes z lyońskiej policji w 1902 roku — szepnął Rensch.

— Właśnie. Czy zatem zgodzi się pan ze mną, że jesteśmy jednak nieco bliżej zabójcy niż wtedy, kiedy przyjęlibyśmy pański punkt widzenia?

Biedny komisarz pomyślał, że nie bez powodu to Ignaz Braun pracuje w berlińskim Wydziale IV, a nie on sam. Taki mocny argument, a ten człowiek, który mógłby być jego synem, przytacza kontrargument daleko słabszy, na który Rüdiger Rensch, szef wejherowskiej policji, nie może pozostać głuchy. Komisarz bardzo jednak lubił Ignaza i nie miał mu za złe bystrości.

Tak więc ktoś z gości? Przewodnik po cmentarnych alejkach, żartując, od razu wykluczył sprawstwo inspektora. Braun skłonił głowę i odparł, że

jest nieopisanie wdzięczny. Kiedy znaleźli się przed okazałym granitowym nagrobkiem notariusza Grolpa, po chwili milczenia komisarz kontynuował.

— Otóż, jak na mój gust, podejrzanych może być kilku.

Obaj mężczyźni usłyszeli pohukiwanie puszczyka. Mimo że niejedno w życiu widzieli, spojrzeli na siebie w milczeniu, a ich twarze były poważne. Nawet w ciemnościach dostrzegli u siebie nawzajem przejęcie.

Oto puszczyk, herold zbrodni i śmiertelny omen

Oznajmia pielgrzymowi, że nadeszła chwila...

— Skąd pan to wziął, inspektorze?

— Szekspir. Miał dar...

— Może. A więc puszczyk zasygnalizował nam, że podążamy właściwym tropem? Staram się zawsze myśleć racjonalnie, ale...

— Proszę więc kontynuować — przerwał rozmówcy Ignaz i wyteńczył słuch w oczekiwaniu na kolejne pohukiwania. Na razie jednak puszczyk zamilkł.

Właściwie niemal każdy, przynajmniej spośród mężczyzn, mógł być mordercą. Niemal każdy z nich nosił w sobie jakiś potencjał pozwalający w określonych momentach na szaleństwo, którego skutki mogły być oplakane.

Komisarz zaczął analizować.

— Według „Podręcznika dla sędziów śledczych” Hansa Grossa psychologiczną analizą podejrzanych należy zająć się w późniejszej fazie śledztwa, po odnalezieniu motywu.

— My jednak, skoro nie znamy motywu, dokonamy melanzu metod i poteoretyzujemy sobie, również w zakresie psychologii.

— Dobrze — zgodził się Rensch i przysiadł obok Ignaza na bogato rzeźbionej ławeczce.

Dla komisarza było jasne, że Norweg potrafiłby zabić. Mogło mu się coś nie spodobać, może fotograf ofuknął go za złe ustawienie się do zdjęcia? Inspektor nie musiał tego usłyszeć. Kto wie, co takiemu wariatowi może przyjść do głowy? A Sigmund von Mach? Pomimo zachowania dandysa, jest kłębkim nerwów. Tak mówią świadkowie. Skrywa emocje pod maską wesołości i bez troski. Może chciał zemścić się na Eleonorze za jej nonszalancję w stosunku do siebie? Miłość bywa szalona. Lub też młodzieniec sądzi, że panna tylko droczy się z nim dla zasady, a w rzeczywistości jest mu życzliwa? W takim razie liczyłby na ożenek. Wszystkim wiadomo, że Sigmund jest w nie najlepszej sytuacji finansowej, a panna Gephard ma mająteczek, nie nazbyt wprawdzie imponujący, ale gwarantujący bezpieczne życie rentiera. Przy tym spadek po fotografii też się liczy. Sigmund mógłby przy okazji zaprezentować się jako opiekun, czuły i troskliwy, osamotnionej dziewczyny, wtedy łatwiej byłoby mu zdobyć jej przywiązanie — w razie, gdyby jednak nie darzyła go uczuciem.

— Dobrze — odparł Ignaz. — Doktor Puppe byłby zachwycony pana wywodem. Najgorsze że, teoretyzujemy oczywiście, może pan mieć rację, komisarzu.

— Ależ ja nie chciałbym, żeby Sigmund okazał się mordercą, proszę mi wierzyć! — spieszenie zapewnił Rensch. — Dokonuję tylko daleko idących symulacji.

— Proszę więc kontynuować.

But komisarza kopnął kamyk, który podskoczył na nierówności i wpadł na płytę nagrobną Hermanna Weikusata, kupca, który za życia miał skład bławatny tuż przy ratuszu.

— Meinhardowie są dla mnie zagadką. Tak. Nie mają żadnego motywu, ale niby dlaczego mielibyśmy wykluczyć ich z kręgu podejrzanych? Są jacyś... niepokojący i drapieżni. Widziałem ich przelotnie, ale pierwszy kontakt się liczy. Zresztą i pan, i Bochentin mówiliście o podobnym wrażeniu.

— Byłoby jawną niesprawiedliwością w stosunku do pozostałych, gdyby pominąć stryja i bratanka — zgodził się Braun.

— Właśnie! Może oni są jakimiś zapalonymi kolekcjonerami fotografii lub też przedmiotów służących do obróbki zdjęć?

— A przecież nie wiemy, czy nic nie zginęło z atelier. Klucz jest kontrargumentem, ale dobrym wytrychem można otworzyć każde drzwi. Na dodatek fachowiec dokona tego na tyle delikatnie, że policja nie zorientuje się, że jakieś obce ciało dostało się do zamka.

Rüdiger Rensch zapalił się. Oczami wyobraźni widział Gottlieba i Ottona w kajdankach, prowadzonych do pokoju hotelowego, który zajmowali. Zeznali bowiem, że cenne przedmioty ukradzione fotografowi znajdują się pod łóżkiem młodszego z Meinhardów.

— A Schrederowie? — Ignaz wyrwał komisarza z rozmarzenia. — Mieliby identyczny motyw, tyle że przez nas wymyślony. Przecież tak naprawdę ani o nich, ani o Meinhardach nic nie wiemy. Obie pary podejrzanych rozmawiały z Pratzem. Ściślej: mówili do niego, ale i on odezwał się kilka razy. Z tego, co udało mi się wychwycić, tematyką było fotografowanie, jakżeby inaczej. Wtedy mogło dojść do powzięcia myśli o morderstwie. Ciągłe teoretyzowanie!

— Przejdźmy więc do Classów — westchnął komisarz. — Jakoś ciężko mi uwierzyć...

— Ponieważ zna ich pan obu dobrze, w odróżnieniu od poprzednio typowanych.

Jeszcze głębsze westchnienie wydarło się z piersi komisarza. Co tydzień uczestniczył w nabożeństwie odprawianym przez jednego lub drugiego pastora. Nie był zbyt religijny, ale zawsze towarzyszył Katarzynie w drodze na niedzielne nabożeństwo, a potem przykładowie śpiewał psalmy, rozważał biblijne cytaty. Przywiązał się do starego Franza, do jego zwalistej sylwetki i cholerycznego usposobienia, osobliwie powiązanych ze spekulatywną osobowością, zdolną analizować każde zjawisko z podziwu godną bystrością. Franz Class był (tu Rüdiger Rensch dokonał przed samym sobą odkrycia) bardzo niemiecki. Może ten fakt tak przywiązał do niego komisarza? Nie, niech lepiej Braun poszuka motywu. On sam nie potrafi.

Georg? Georg był jeszcze dzieckiem. Dużym, w pewnych sprawach odpowiedzialnym i dojrzałym, ale mimo wszystko dzieckiem. Kochał się w Elzie, pragnął ze wszystkich sił służyć Bogu, był chłopakiem prostodusznym i nieśmiałym.

— Przesłuchajmy więc jutro pastorów — szepnął Ignaz. — I tak mieliśmy w planie rozmowę z Classami.

— Czy jednak, kochany inspektorze, mógłby pan dokonać przesłuchań... samodzielnie? Rozumie pan. Tutejsze zależności. Tak. I Katarzyna — dokończył niemal bezgłośnie.



U pastora

Poranek, jak zazwyczaj wczesnym latem, był rześki, pachnący pobliskimi ogrodami pełnymi kwiatów. Miasto powoli budziło się do życia. W rozmaite strony spieszyli przechodnie, z otwartych okien dochodził zapach świeżo mielonej kawy.

„Jakie szczęście, że lubię wczesnie wstawać” — pomyślał Ignaz. „Ileż urokliwych scenek i zapachów można dotknąć z samego rana”.

Letni płaszcz został w pokoju hotelowym. Braun stwierdził, że torturą przy takiej pogodzie byłoby strojenie się w tę część garderoby, choć na co dzień był do niej bardzo przywiązany. Pan Kotkowski z Kielergasse aż cztery razy zapraszał Ignaza na przymiarki i ciągle był ze swojego dzieła niezadowolony, aż wreszcie, po trzech tygodniach oczekiwania, policjant w towarzystwie żony wyszedł z zakładu krawieckiego dumny jak paw; Bernadeta stwierdziła, że nikt nie ma takiego płaszcza, jak jej mąż.

Ubiór stanowił ważną część służbowego wyposażenia rasowego policjanta, jak uczył pan Ottolenghi, lekarz sądowy ze Sieny, prywatnie wielbiciel mody (również damskiej) i kawy parzonej na sposoby orientalne. Policjant nie miał prawa mieć na sobie niczego, co zwracałoby nadmierną

uwagę otoczenia. Nie mogło być mowy o żadnej ekstrawagancji, zbyt jaskrawej muszce lub zbyt szerokim krawacie. Strój nie powinien być zbyt obszerny, ponieważ luźne ubiory są cechą wyróżniającą nowomodnych artystów spod znaku dekadencji. Policjant nie powinien ubierać się w najdroższych domach mody, na przykład u Haackela czy Fediego. Takie pracownie zarezerwowane bowiem były dla osób zajmujących eksponowane stanowiska w hierarchii społecznej. Nadkomisarz von Marburg, szlachcic i osoba znana w kręgach dworskich, stanowczo powinien ubierać się u Haackela lub Fediego. Ale inspektor czy komisarz? Braun, z czego był zadowolony, znalazł przed laty zakład pana Kotkowsky'ego, krawca rodem z Leszna. Stanisław Kotkowsky szył wykwiłtnie, ale nie za drogo. Szykownie i nieprovokująco. Nie brał horrendalnej zapłaty, ale już rzemieślnik czy robotnik mogliby tylko pomarzyć, aby ubierać się w takiej firmie.

Gustowne dodatki Ignaz kupował (a raczej zdawał się na Bernadetę) w domu towarowym KaDeWe, nowo otwartym, eleganckim, ale też dostępnym dla urzędnika państwowego.

Myśli Ignaza owładnięte były urodą poranka i analizą ubioru godnego policjanta, tymczasem doszedł już do małej pastorówki, mieszczącej się tuż przy zborze wciśniętym między kamieniczki przy ulicy Lęborskiej.

— Pan inspektor Braun! — zdziwił się pastor Franz Class.

— We własnej osobie. Mogę wejść?

Drzwi frontowe, uchylone do połowy, otworzyły się na oścież i gość mógł przekroczyć progi królestwa pastora. Przedpokój był ciemny, zimny i niegościnnie, pozbawiony wszelkich ozdób. Braun nie zauważył nawet lustra.

Gospodarz wprowadził inspektora do obszernej jadalni. Mocne, dębowe meble pasowały do wysokiego wnętrza, ciemnej tapety i aż nazbyt

solidnego mosiężnego żyrandola. Na jednej ze ścian wisiał oleodruk przedstawiający Chrystusa składającego wizytę przykładowej, pięcioosobowej współczesnej rodzinie. Drugą ścianę zdobił wielki czarny krzyż. Ignaz dostrzegł jeszcze kilka fotografii w złożonych ramkach, zawieszonych na chybił trafił.

— Patrzy pan sceptycznie na męskie porządki, inspektorze? — z nutką prowokującej ironii zaczął Franz Class. — Moja Margareta odeszła do Pana kilkanaście lat temu, ja nie mam czasu zajmować się domem, służba Najwyższemu pochłania mnie bez reszty. Syn studiuje w Królewcu, zostanie doktorem teologii i tym bardziej nie w głowie mu urządzenie domu według nowomodnych gustów. Gospośia jest świętą kobietą, ale schorowana straszliwie, a ja nie mam sumienia wymówić jej służby, jeszcze Margareta ją przyjmowała.

— Ależ bardzo ładne mieszkanie — żywo odparł Ignaz. — Dostojne, godne osób duchownych.

— Dobrze wiem, co pan sobie w duszy myśli, proszę już nie zaprzeczać, bo się na dobre rozżłoszczę — Class zażartował, ale niechcący błysnął ostrymi jak u wilka zębami.

Braun skłonił się na znak szacunku dla zdania gospodarza. Grzecznie zapytał, czy zastał również Georga. Niestety, młody pastor poprzedniego popołudnia wyjechał właśnie do Królewca, prosił przecież o zgodę u komisarza Renscha. Już trzeci rok pisał pracę doktorską na temat różnic między Marcinem Lutrem a Filipem Melanchtonem w odniesieniu do interpretacji *Pierwszego listu do Tesaloniczan*. Jeszcze kilka miesięcy, a syn pastora zostać miał doktorem świętej teologii.

Słowom duchownego towarzyszyło mlaskanie, równocześnie jadł on bowiem obfite śniadanie. Przed Classem, uzbrojonym w łyżeczkę, stało w kieliszku jajko na miękko, obok wdzięczył się talerzyk z masłem, nieco

dalej stały pojemniczki na pieprz i sól. Bardziej w stronę Brauna, którego gospodarz zaprosił do zajęcia miejsca przy stole, leżały półmiski z szynką przyozdobioną wąskim pasmem tłuszczu, kilkoma gatunkami sera, twarogiem i marmoladą. Nad wszystkim górował wielki dzban dymiący aromatem kawy.

— Pan już zapewne po śniadaniu — retorycznie zapytał pastor.

— Jadam rzeczywiście wcześniej — wymijająco odpowiedział Braun, któremu kiszki grały marsza, tego dnia bowiem, wbrew swoim zwyczajom, zjadł jedynie małą słodką bułeczkę, spieszył się bowiem, aby odwiedzić pastora jeszcze przed porannym nabożeństwem.

— Tak jak i ja — ucieszył się Class, biorąc do ust różowy plasterek szynki. — Daruje pan jednak nieświadomość, jak ja mógłbym panu pomóc w sprawie Theodora Pracza?

Jajko na miękko uległo wprawnemu ruchowi łyżeczki. Pierwszy kawałek wsunął się między czerwone, mięsiste wargi pastora.

— Muszę panu powiedzieć, inspektorze, że moje pytanie było czysto retoryczne i zawierało sporą dozę kurtuazji. Oczywiście, jestem do dyspozycji. Skądinąd wiem, że pana przybycie możliwe było wyłącznie z powodu morderstwa.

— Myśli pan, że moja wizyta w innym celu byłaby niemożliwa?

— Tak właśnie sędzę. Po pierwsze: czas policjanta w dzisiejszych czasach, kiedy wszyscy się spieszą, jest niezwykle cenny, nie marnowałby pan czasu na rozmowę towarzyską o tej porze dnia. Po drugie: jest pan katolikiem, a w takim razie możliwe są dwie sytuacje: nie rozmawiałby pan ze mną prywatnie, bo boi się mnie pan jako groźnego dyskutanta (groźnego, bo wykształconego), teologa; a możliwość druga — ma pan wstręt do duchownego przeciwnej strony. Nie, nie, niech pan nie zaprzecza, po ostatnim soborze jeszcze bardziej okopaliście się w twierdzy waszej

domniemanej nieomyślności. My z kolei mamy, od czasu doktora Lutra, swoją wieżę, i tym sposobem wieża i twierdza rosną sobie na przeciwległych krańcach horyzontu. Jakby nie patrzeć, zmarłemu Pratzowi zawdzięczam pańską obecność.

Ignaz skłonił się Classowi. Rzeczywiście, duchowny lubował się w spekulacjach, bawił się logiką, dedukcją, z pewnością interesowały go gry umysłowe, szarady i rozmaite zagadki.

— Jestem pełen podziwu dla jasności umysłu łaskawego pana — odparł. — I mam nadzieję, z uwagi na tak doniosłe zalety pańskiego charakteru, pastorze, skorzystać ze spostrzegawczości i daru rozumowania właściwych panu. Ufam mocno, że nie będzie pastorowi przeszkadzać moje wyznanie.

— Niech pan da spokój, inspektorze. Jeśli przeszkadzałoby mi, nie rozmawiałbym z panem. A fakt ten prowadziłby do słusznego uznania mnie za potencjalnego zabójcę. I bluźniercę.

Nieme pytanie Brauna nieco rozbawiło pastora.

— Skoro Bóg dopuszcza katolików do istnienia, a w naszym niemieckich warunkach do współistnienia z ewangelikami, musi mieć jakiś plan względem nich. I względem nas, ewangelików. Wzgarda dla bytu oznaczałaby wzgardę dla Stworzyciela, który w swej łasce (choć dla mnie niepojętej) raczył zachować Kościół katolicki. Tak więc, proszę pytać.

Ktoś, kto zasypany zostaje w krótkim czasie podobną liczbą tez, dowodów i twierdzeń, zaczyna zazwyczaj zastanawiać się, w jakim właściwie celu są wypowiedzane i czy nie przykryją tego, co najważniejsze. Podobnie pomyślał Ignaz. Poprzednio ucieszył się z możliwego rozwoju rozmowy z Franzem Classem, teraz postanowił, że przesłuchanie musi prowadzić żelaznymi cugłami, nawet gdyby miało doprowadzić to do ostrej

wymiany zdań. Takiej, jak chociażby pamiętnego wieczoru, kiedy pastor zawzięcie spierał się z Ernestem Schrederem.

Tymczasem pastor wstał od stołu, na którym nie zostało ani śladu po śniadaniu. Uchylił drzwiczki kredensu, wyjął drewnianą skrzynkę z cygarami marki aspasia, sięgnął po gilotynkę, przyciął fachowym ruchem krótkie, grube cygaro i podał Ignazowi. Potem podał ogień, a Braun delikatnie wchłonął pierwszy dym.

— Zawsze takie lubiłem. Nie pali się ich długo, ale intensywność jest najważniejsza. Aspasia, moje ulubione cygara...

— W istocie, pastorze, niezwykły aromat — uśmiechnął się Ignaz, który wolał nie przyznawać się, że woli cygara długie i cieńsze, na przykład z dodatkiem aromatu waniliowego. Te były z pewnością na antypodach zainteresowań Classa.

— Może pan nie uwierzy, inspektorze, ale kiedy usłyszałem, że zamordowano Theodora, od razu pomyślałem, że niepotrzebnie zgodził się przyjąć zamówienie od pani Neiss.

— Co ma pan na myśli?! — Braun poderwał się na równe nogi, przedtem zaciągając się mocno aspasią.

— Że gdyby nie przyszedł tamtego wieczora, żyłby do dzisiaj — spokojnie odparł pastor.

— Zdaje pan sobie sprawę, pastorze, co pan powiedział? Co pan wie?!

Franz Class rozłożył ręce i z wyrozumiałością spojrzął na podekscytowanego inspektora. Uśmiechnął się przepaszająco.

— Daruje pan, nie przypuszczałem, że moje słowa odebrane zostaną tak dosłownie. Proszę się uspokoić.

Spojrzenie Brauna wyrażało nieugaszoną jeszcze nadzieję z domieszką gniewu. Miał przejąć kontrolę nad wypowiedziami pastora, tymczasem ten wyraźnie postanowił zagrać jemu, Ignazowi Braunowi, na nosie. A może

tylko na emocjach? Dla zabawy? Dla ukrycia czegoś? Z przekonania, że jako duchownemu, wolno mu więcej?

Tak, inspektor zbyt dosłownie odebrał jego słowa. Kim on jest, skromnym pastorem, nie pretenduje do posiadania daru jasnowidzenia. Kiedy jednak patrzył feralnego wieczoru na Theodora Pracza, w jego podświadomości coś kiełkowało.

— Przecież prawie cały wieczór dyskutował pan namiętnie z mecenasem Schrederem. Nie miał pan, pastorze, zbyt wiele czasu na obserwację fotografa.

— Nie zna pan możliwości duchownego — uśmiechnął się Class. — Muszę mieć oczy dookoła głowy, muszę mieć pamięć do twarzy, imion i nazwisk, problemów i trosk moich owieczek. Nie mam wyjścia, zmuszony jestem widzieć wszystko, co dzieje się dookoła mnie. I widzi pan, kiedy już dowiedziałem się o śmierci biedaka, niektóre fakty zaczynały przemawiać do mnie mocno, choć przedtem zdawały się skrywać za gęstą mgłą.

Class czuł, że coś się nie zgadzało. Coś było nie tak, jak być powinno. I kiedy rankiem syn przybiegł zziębnięty, mówiąc, że fotografa zamordowano, on, Franz Class, wiedział już, co zarejestrowała jego podświadomość.

— Inspektorze, wszyscy nienaturalnie interesowali się Theodorem. Pana być może nie zdziwiło takie zainteresowanie, ponieważ nigdy przedtem nie miał pan do czynienia z tym staruszkiem.

— Rzeczywiście, uważam, że wszystko przebiegało naturalnie. Niemniej proszę kontynuować, bardzo interesująca kwestia.

— A ja widziałem — pastor rozparł się wygodnie w obszernym krześle ze skórzanym obiciem — kilkadziesiąt sytuacji, kiedy gospodarz zamawiał usługi Theodora. I choć wszyscy go lubili, ponieważ był niemal tak bezkonfliktowy jak ja, nikomu nie przyszłoby do głowy, żeby burzyć

konwencję uroczystości. Ktoś umiejętnie sprokurował okoliczności i sprawił, że dłuższy pobyt nieszczęśnika wydawał się naturalny. Czy moje rozumowanie trafia panu do serca?

Mieszane uczucia odmalowywały się na twarzy Ignaza. Wszystko mogło być kwestią przypadku, jednego poruszanego tematu. Może fotograf słabo się poczuł i sam poprosił o możliwość chwilowego spoczynku?

— Ale jeśli nie? — Braun podniósł głos. — Jeśli pan ma rację, pastarze? Sugeruje pan, że ktoś mógł specjalnie zatrzymać Pratza, żeby...

— Sugeruję! — Class poklepał się po wydatnym brzuchu. — Jestem przekonany, że Theodor miał zginąć i dlatego został zatrzymany w salonie pani Wilfridy.

— Ponieważ gdyby wyszedł wcześniej, morderca również musiałby się ulotnić — dopowiedział Braun.

— A wtedy, to znaczy po zrobieniu zdjęcia, na zewnątrz było jeszcze stosunkowo jasno, trudno wtedy zabić człowieka praktycznie w środku miasta.

„Pastor może mieć rację, u licha, może mieć rację; wcześniejsze wyjście kogoś z zebranych, aż tak wczesne, wydałoby się, w kontekście późniejszych wydarzeń, wysoce podejrzane” — teoria w myślach Ignaza nabierała coraz realniejszych kształtów. Należałoby ich wszystkich zamknąć w odosobnieniu o chlebie i wodzie. I przesłuchiwać aż do skutku. Włącznie z pastorem” — w Braunie buzowała krew. Kiedy bywał przejęty, jego myśli uspokajały się. Kiedy jednak łapał trop, ale nie wiedział, do kogo należy, jego emocje wybuchały. Niegdyś był spokojniejszy, ale od czasu, kiedy pewien druciarz z Nysy omal nie przebił jego policyjnej aorty nożem, Ignaz stał się o wiele drapieżniejszy w odniesieniu do przestępców. Pomyślał jednak, że takie metody właściwe byłyby komisarzowi Renschowi. Kto, z drugiej strony, powiedział, że policjant zawsze musi

postępować, jak Ignaz Braun w początkach swojej kariery... Ksiązę Monte Verde z Pizy, sława włoskiej policji, powiedział kiedyś na wykładzie, że elastyczność i bezwzględność są przymiotami nowoczesnego funkcjonariusza.

— Wszystkich pytam o ważny szczegół i nikt nie potrafił dokładnie odpowiedzieć. Może pan zapamiętał, pastorze, kto wychodził w bezpośrednim sąsiedztwie czasowym Pratzta?

— Ci Meinhardowie, tak, mniej więcej o tej samej porze, ale również Schrederowie z tym skandynawskim idiotą. Ja i Georg może po dwóch kwadransach. Pańskie pytanie jest jednak bez znaczenia.

— Słucham? — Ignaz nie spotkał jeszcze na swojej drodze człowieka, od którego usłyszałby coś równie niepochlebnego.

Pastor uśmiechnął się pojednawczo i poczęstował inspektora drugą aspasią. Braun odmówił, ale po chwili odruchowo chwycił cygaro i przytknął je do zapalanej przez gospodarza zapałki. Twarze mężczyzn rozdzielił gęsty, nieregularny, błękitny obłok dymu.

— Pańskie pytanie nie ma dla prowadzonego śledztwa żadnego znaczenia, ponieważ nie wie pan, jak domniemywam, o zwyczaju starego Theodora. Otóż lubił on, wracając skądkolwiek, bez względu na porę, pochodzić po Rynku, zazwyczaj z dobre dwa kwadransy. Łowił wtedy kadry, jak sam określał swoje spacerowanie. Niekiedy też dreptał sobie na urbocka do „Deutsches Haus”, praktycznie każdego wieczora. Nie, żeby się upić, jedno małe piwko, nawet nie można poczuć, że się cokolwiek wychyliło. Wtedy zazwyczaj nie ma już wielu klientów. Można się orzeźwić, w gospodzie cisza i spokój.

— I każdy, kto zna Wejherowo, wiedział, że fotograf ma taki zwyczaj? Przynajmniej w odniesieniu do spacerów? — upewnił się Braun.

— Dla przyjezdnych nie jest wielką sztuką dowiedzieć się tego. Jedno, dwa pytania, wystarczy zagadać umiejętnie. Samego Pratza lub kogoś innego. Pan, inspektorze, nie wiedział, ale miejscowi nie mówili panu o tym, ponieważ (mamy dwie możliwości) albo rozmówca chciał ukryć przed panem, że wie o zwyczajach Theodora, gdyż ma coś na sumieniu, albo też milczał, ponieważ sądził, że o tak oczywistej rzeczy dawno już pan wie. W przypadku przesłuchiwanym przyjezdnych możliwości są również dwie: albo ten ktoś nie wiedział o spacerach i „Deutsches Haus”, albo chciał uchodzić za pozbawionego wiedzy na wyżej wymieniony temat. To ostatnie z oczywistego względu.

— Lecz w takim razie, skoro zwyczaje Pratza były utarte, po co morderca przedłużałoby pobyt fotografa na wieczorze? Przecież mógł odczekać i po nawet późniejszym wyjściu z gościny znaleźć nieszczęśnika na Rynku lub w gospodzie.

— Otóż nie! Godziny pobytu Pratza w obu miejscach jednak były nieregularne, a wyczekiwanie tu lub tam, rozglądanie się, nawet po zmroku, musiałyby wzbudzić czyjeś zainteresowanie. Morderca musiałby szukać w pośpiechu, a tu jest małe miasto, nikt się nigdzie nie spieszy, za duże ryzyko. Ale kiedy ktoś idzie czyimś śladem w stałym tempie, nie wzbudzi podejrzania. Proszę sobie uświadomić, że gdyby morderca spóźnił się choćby o minutę, jego plany mogłyby wziąć w łeb.

— Czyli w grę wchodzi każdy — uśmiechnął się smętnie Ignaz. — Prawdopodobnie z wyjątkiem kobiet — dodał prowokacyjnie.

Okropny kaszel przeszył powietrze. Pastor zakrztusił się dymem, a potem ryknął śmiechem.

— Pan, inspektorze, jest w każdym calu rycerzem. Ale czy taka postawa nie utrudnia pracy w policji?

— Nie rozumiem.

— A czy nie sądzi pan, że do zadania celnego ciosu ostrym nożem sprężynowym nie potrzeba zbyt wielkiej siły?

Braun był zdumiony oczywistością twierdzenia.

— Wystarczy celność i wola zabicia.

— Właśnie to miałem na myśli — twarz pastora nagle stała się poważna. — Proszę mi wierzyć, inspektorze, jest pan młodym, uczciwym człowiekiem i choć zapewne niejedno pan w życiu widział, jak i miał do czynienia z różnymi ciemnymi motywami działania, śmiem twierdzić, że duchowny lepiej zna takie zakamarki ludzkiej duszy, od których człowiekowi niezwyčajnemu do obcowania z nimi włosy stanęłyby dęba. W każdym razie sądzi pan, że kobieta nie mogłaby zabić Theodora? Przecież kilka razy zatrzymywał pan morderczynie. Nie można przyzwyczajać się do wygodnych tez. Ja, jako duchowny, znam wiele zasmucających przypadków, których bohaterkami były właśnie kobiety. Wyrafinowanie i okrucieństwo u kobiet bywają olbrzymie. Rzadziej pośród nich zdarzają się zbrodniarki, ale jeśli już, jeśli są zdeterminowane...

— Ma pan rację — przytaknął Ignaz, który szybko zanalizował w myślach postaci kobiet spotkanych w salonie pani Wilfridy.

Pastor nie powiedział jednak ostatniego słowa. Właśnie szykował się do efektownego finału.

— Nie uwierzy pan, inspektorze, ale tego jednego poranka, dzisiaj, żałuję dwóch rzeczy. Po pierwsze: że nie jestem detektywem na usługach wydziału zabójstw. Po drugie: że dodatkowo nie jestem księdzem katolickim, ponieważ wtedy moja znajomość meandrów duszy ludzkiej byłaby jeszcze większa, bycie pastorem ogranicza ilość spowiedzi, choć moje doświadczenie i tak jest godne podziwu.

Słuchając pastora, Ignaz nie był do końca pewien, czy stary lis żartuje, czy też rzeczywiście odkrył w sobie talent detektywistyczny. Był jednak

pewien, że ma do czynienia z kimś szczególnym. Człowiek taki jak Class mógł zabić, ale równie dobrze mógł być tym, dzięki któremu uda się schwytać mordercę.

Braun wiedział, że zadawanie Franzowi Classowi pytań w rodzaju „Od kiedy znał pan Theodora Pratza?” czy „Miał pan z nieboszczykiem jakieś zatargi?” pozbawione jest sensu. Przyjął więc jeszcze jedno cygaro i zapalił je bez pośpiechu. Nie minął kwadrans, a pastor wezwany został do pewnej wdowy, która po raz kolejny tego lata sądziła, że przyjdzie jej żegnać się ze światem.



„Czy ja mogłabym się mu podobać?”

Wczesne popołudnie przyniosło nad rozlewisko ciepłe promienie słońca. Ptaki śpiewały jak oszalałe, pszczoły brzęczały, wszystko co zielone szybowало w stronę nieba, chcąc znaleźć się jak najbliżej życiodajnego źródła ciepła.

Ignaz z początku nie mógł uwierzyć, że już kiedyś był w tym miejscu. Najpierw przeczytał o nim w „Berliner Beobachter”, potem nadkomisarz von Marburg wprowadził go w szczegóły sprawy Johanna Wendersa, wreszcie pewnego marcowego poranka trafił tutaj, aby na miejscu doświadczyć całej grozy sytuacji, w jakiej znalazł się zamordowany wejherowski gimnazjalista.

W oddali ciemną czerwienią cegły odznaczał się młyn Jana Biangi, tuż obok przycupnęła kapliczka, a za nią, leniwą płaszczyzną, pobłyskiwało ciemnobłękitne rozlewisko.

Posterunkowy Bochentin na wyraźny rozkaz komisarza Renscha przez godzinę szukał śladu Gertrudy Dangel. Przed niespełną kwadransem przybiegł zziębnięty do hotelu i poinformował inspektora, że panna poszła

nad rozlewisko, aby na ławeczce czytać podręcznik medyczny dla kandydatek na diakonisy.

Młoda kobieta siedziała teraz tuż nad płytką wodą. Jej głowa pochylona była nad książką, lekko przygarbiona sylwetka wydawała się skupiona i nieruchoma. Braunowi żal było przerywać pannie lekturę, ale obowiązki oficera śledczego właściwie zawsze polegały na przerywaniu komuś czegoś. Wyprostował się, przybrał urzędową postawę, niepozbawioną jednak życzliwości, i podszedł do Gertrudy.

— Panno Dangel...

— Inspektor Braun? — Na twarzy panny nie odczytał zdziwienia. Raczej pogodną melancholię.

— Niezmiernie mi przykro, że przeszkadzam szanownej pani, ale moja praca... Sama pani rozumie.

Ona zaś uśmiechnęła się, choć nad wyraz oszczędnie.

— Spodziewałam się, że zostanę wezwana na komisariat w związku z tą smutną sprawą.

— I ja tak myślałem. Jednak czas policjanta rządzi się własnymi prawami.

— Eleonora wspominała mi, że pan z nią rozmawiał. Nie przeceniam roli mojej osoby, niemniej wiedziałam, że i na mnie przyjdzie kolej. Proszę usiąść — Gertruda przesunęła się, aby policjant mógł spocząć obok w przyzwoitej odległości.

Zapadła chwila kłopotliwego milczenia. Braun chrząknął i zaczerpnął nieco powietrza. Świeżego i pachnącego, innego niż wtedy, przed paru laty.

— Zdaje pani sobie sprawę, co stało się w tym miejscu, zanim pierwszy raz przybyłem do Wejherowa?

— Oczywiście. Ale, proszę darować, nie jestem ani bojaźliwa, ani na tyle sentymentalna, żeby z miejscami, które same w sobie nie są niczemu

winne, wiązać jakieś swoje nastroje. Lubię tu przychodzić, ponieważ jest cicho i przyjemnie, a ławka aż się prosi, żeby z niej skorzystać.

— Bardzo słusznie — z ulgą odparł Braun. — Miejsce jest doprawdy kuszące. Moje pytanie nie miało żadnego celu. Ale, jeśli pani pozwoli, chciałbym zapytać o wieczór, kiedy się poznaliśmy.

Kolejny melancholijny uśmiech był odpowiedzią na słowa Ignaza.

— „Poznaliśmy się” to za dużo powiedziane. Pan inspektor, o ile sobie przypominam, nie zaszczyił mnie rozmową.

— Przepraszam, pani się myli!

— To ja przepraszam. Tak, zapytał pan, czy podać mi filiżankę kawy.

— A pani odpowiedziała, że nie pije kawy.

— Bo nie piję — przytaknęła Gertruda. — A pan odebrał to jako brak zachęty do dalszej konwersacji. Może byłam zbyt obcesowa.

— Może.

Spojrzeli na siebie. Rozmowę należało zacząć od początku.

— Przykro mi, że zagaduję panią o tę sprawę, z pewnością lektura jest ważna.

— Ważna. Już niedługo przed członkami komisji delegowanej przez władze rejencyjne będę zdawać ważny egzamin, od którego zależą moje dalsze losy. Ale widzi pan, jestem pilną uczennicą i sądzę, że zdam ten egzamin pomimo bycia dziś przesłuchiwaną.

— Nie mam zamiaru pani przesłuchiwać — zaprzeczył Braun, ale jego zapewnienie nie zabrzmiało zbyt przekonująco. Czuł, że przy Gertrudzie musi się wyżyć tanich słówek, którymi często usypiał czujność przesłuchiwanym.

Tymczasem przyszła diakonisa odłożyła na bok swój podręcznik i ciekawie, bez skrępowania, spojrzała na inspektora.

— Jak pani wiadomo, rozmawiam ze wszystkimi, którzy tamtego wieczoru widzieli Theodora Pratza. Zapewne spodziewa się pani, że zapytam ją o spostrzeżenia, które mogłyby mnie zainteresować. Pytam więc.

— Wie pan, inspektorze, zdążyłam się już przygotować na tak sformułowane pytanie.

— A więc nie zostawi mnie pani z niczym — Braun nachylił się w stronę Gertrudy.

— Nie mogłabym. Przecież jest pan przedstawicielem państwa i zależy panu na wyjaśnieniu tej smutnej sprawy. Zacznę może od momentu, kiedy fotograf stanął w drzwiach.

— Przepraszam, panienko, jeśli mogę przerwać. A czy wcześniej, zanim przybył Theodor Pratz, nic nie wzbudziło pani podejrzeń? Widziałem, że niewiele pani rozmawiała i, proszę mi darować, chyba uważnie przypatrywała się pani obecnym.

Gertruda nie miała za złe inspektorowi tak otwartego stwierdzenia. Rzeczywiście, nie każdy miał ochotę z nią rozmawiać. Nie każdy ceni towarzystwo przyszłej diakonisy.

— I nie każdy lubi mieć przed sobą osobę inteligentniejszą od siebie samego — dodał Ignaz.

— Cenię pana otwartość, inspektorze — z ulgą odparła panna Dangel.
— Chyba jeszcze tylko Eleonora potrafi mówić ze mną bez skrepowania.

— Choć jest tak inna niż pani.

— Choć jest tak inna. Wracając do pańskiego pytania, niemal wszyscy wydali mi się przeraźliwie nudni. Mówię jak do lekarza, jestem z panem szczerą, pan ze mną chyba również.

— Jak najbardziej — Ignaz spojrział na dziewczynę z uznaniem.

— Ten Norweg, artysta, jawi mi się jako osobnik bez reszty zapatrzony we wzorce, które nie do końca rozumie. Mógłby zamordować, ale chyba nie miał żadnego poważnego powodu.

— A ci, z którymi potem wyszedł? Schrederowie?

Małżeństwo z Nadrenii stanowiło dla Gertrudy pewną zagadkę. Z pewnością byli pozerami: on kreował się na pewnego siebie intelektualistę, ona na ulotną anielicę, po części upadłą, po części zaś zblazowaną, ale w gruncie rzeczy powierzchowną. Byli zbyt gnuśni i wygodni, aby wikłać się w zbrodnię.

— Sigmund to poczciwy chłopak, zapatrzony bez reszty w Eleonorę i cierpiący w głębi duszy za każdym razem, kiedy ona dawała mu prztyczka. Nic o nim nie wiem i von Mach interesował mnie o tyle, o ile mogłaby zainteresować się nim moja przyjaciółka.

A Meinhardowie? Zarozumiali, egocentryczni, rzucający wyzywające spojrzenia. Bez zdziwienia zobaczyłaby ich na ławie oskarżonych.

— A więc jednak?

— Nie, panie inspektorze, nie myślałam o nich jako o mordercach. Oczami wyobraźni widzę ich jako oszustów podatkowych. Jednak, daruje pan, ktoś, kto chce zamordować człowieka, nie sprawia tak charakterystycznego wrażenia na obecnych. Byłby wtedy miłszy, aby nie wzbudzać niczyich podejrzeń.

— Doktor Paschinski natomiast...

Gertruda spojrzała na rozmówcę ze zdziwieniem.

— Pan chyba nie bierze pod uwagę Maksymiliana?

— Daruje pani, jestem policjantem i nikt, kto może być potencjalnym sprawcą, nie jest wyłączony z kręgu podejrzeń.

Postać siedząca obok Ignaza lekko się odsunęła. Panna Dangel zrozumiała, że to nie ona prowadzi śledztwo i że jej bezpośredniość była

posunięta do przesady.

— Widzi pan, znam Maksymiliana od wielu lat. Nigdy nie rozmawiałam z nim szczerze, ponieważ on nie rozmawia właściwie wcale. Ale jestem w jakimś sensie przywiązana do jego sposobu bycia, wrósł jako cegiełka w świat, który jest moim światem. I... Łączy nas coś.

— Mianowicie? — Ignaz drgnął.

— On — Gertruda wzięła głęboki oddech — ma bardzo ugruntowane przekonania religijne.

— Skąd pani wie, skoro nigdy ze sobą szczerze nie rozmawialiście?

— Ależ nie potrzeba żadnych słów. — Panna była zdziwiona, że musi wykształconemu człowiekowi tłumaczyć rzecz tak oczywistą.

Od czasu kiedy Paschinski, jako uczeń doktora Gesslera, pojawił się w Wejherowie, obserwowała nieraz, jak długo po zakończeniu nabożeństwa zostawał w zborze i, zatopiony na modlitwie, nie liczył upływających kwadransów. Ponieważ i ona miała taki zwyczaj, wiedziała o Paschinskim więcej niż niejeden, kto kontaktował się z młodym lekarzem osobiście.

— Proszę mi darować, ale nie wierzę w możliwość popełnienia przez niego zbrodni. Zaraz powie pan, że, skoro łączy mnie z nim wspólny zwyczaj, przenoszę własne cechy charakteru i oczekiwania na niego. Ale ja mam intuicję.

— W takim razie biedny pan Paschinski musiał przeżywać ciężkie chwile w towarzystwie doktora Gesslera — skonstatował Braun.

— Sama się dziwię, że ktoś taki jak doktor Gessler mógł być aż tak zaślepiiony nienawiścią do chrześcijaństwa — przytaknęła Gertruda.

— Czy mógłbym teraz panią spytać o obu pastorów? Przywołała pani temat chrześcijaństwa.

— Nie spodziewa się pan chyba, że powiem o nich cokolwiek złego?

— Bardziej chodziłoby mi o cechy charakterologiczne.

— Trudne pytanie. Ze starym pastorem ciężko się rozmawia, on lubi dominować. Rozumie pan, znakomicie czuje się w roli ojca wejherowskich ewangelików.

— Zdarza mu się ingerować w życie wiernych?

— Zdarza się, że bywa apodyktyczny, prawda. I z pewnością nie wszyscy potrafią zrozumieć jego intencje, jego troskę. Ale on kocha tę społeczność, dałby się za nią ukrzyżować. Nie wie pan nawet, jak wściekł się, kiedy usłyszał o śmierci Theodora Pracza. Ciało Chrystusa, jego członki, i nagle ktoś odciął fragment ciała. Teologia odgrywa w jego poglądach zasadniczą rolę. Według mnie jest ostatnią osobą, która mogłaby zabić. Na dodatek fotograf był wiernym wyznawcą, chodził co niedziela do zboru, czasami nawet rozmawiali sobie na różne tematy, znali się dobrze.

Ignaz musiał zapytać o Georga. Wbrew jego obawie, Gertruda mówiła bez wahania i miała do powiedzenia mniej więcej tyle samo, co pozostali. Młody pastor był dużym dzieckiem, dobrym, naiwnym, spokojnym, każdego sądził własną miarą. Na wieść o zamordowaniu fotografa rozpląkał się. Po jego szczupłych policzkach leciały wtedy gorące łzy. Po raz pierwszy w życiu był tak blisko morderstwa, odprawił też, razem z ojcem, nabożeństwo nad ciałem nieboszczyka.

— Pani była tam również, prawda?

— Owszem — bez wahania odparła Gertruda. — Wielu ludzi uczestniczyło w nabożeństwie.

Dopiero teraz jej głos zadrżał.

— Nie spodziewał się pan usłyszeć ode mnie niczego złego o Georgu?

— Prawdę mówiąc, nie.

— Słusznie.

Milczenie trwało odrobinę za długo. Wreszcie Ignaz podniósł wzrok. Twarz dziewczyny była spokojna.

— Wróćmy do mojego pytania. Czy nie zauważyła pani czegoś naprawdę niepokojącego? Przed przybyciem pana Pracza? Pani opinie o zebranych były zdecydowane i za nie jestem pani wdzięczny, ale gdyby...

— Gdybym coś zauważyła — panna Dangel przerwała inspektorowi — już by pan o tym wiedział. Jest pewien drobiazg, o którym panu wspomnę, choć nie wydaje mi się, że ma jakiegokolwiek znaczenie.

— Słucham?

— Miałam wrażenie, że wydarzy się coś niezwykłego. To zabawne, ale czułam, że pod maskami, bo każdy nieustannie odgrywa jakąś rolę, toczy się ukryta gra. Nie wiem, na czym to polegało i kto czynił jakieś zabiegi, ale... tylu zebranych krążyło nad innymi, potem role się odwracały i tak w kółko. Miałam wrażenie, że nie uczestniczę w zwyczajnym spotkaniu. Że to są jakieś... — szukała odpowiedniego wyrażenia.

— Łowy — szepnął Braun.

— Łowy — przytaknęła Gertruda. — Bardzo dobre określenie.

— Mimo to żadnych konkretów? — z nutą nadziei w głosie szepnął inspektor.

— Żadnych. I teraz pewnie zapyta pan o czas po przyjsciu pana Pracza? Ignaz nie musiał pytać. Ciekawie wyciągnął szyję.

— Kiedy już fotografia została zrobiona, nic się nie zmieniło. A potem, kiedy kolejni goście wychodzili, było bardzo typowo. Ja zresztą wyszłam chyba jako trzecia lub czwarta. Rozumie pan, wstaję bardzo wczesnie, praktyki w Szpitalu Cesarzowej Augusty rozpoczynają się rano. Popołudniami Zakład dla Obłąkanych... Mam też zwyczaj, że o czwartej budzę się i powtarzam najważniejsze kwestie z lektury dnia poprzedniego.

— Rozumiem, ponieważ ja przed świtem też czytam rzeczy zupełnie niezwiązane z moim zawodem.

— Naprawdę? — zdziwiła się Gertruda. — Nie zapytał mnie pan jednak o ważny moment.

— Tak? — Braun udał zmieszanie.

— Owszem. Nie zapytał mnie pan o przygotowania do fotografii. Chyba że sam pan uważnie przypatrywał się wtedy zebranym i nie potrzebuje już mojej opinii.

— Przeciwnie, droga pani, przeciwnie!

— Widzi pan, miałam wrażenie, że kiedy pan Pratz ustawiał gości, we wszystkich, prawie we wszystkich wstąpił jakiś zły duch. Wiercili się niemiłosiernie, poszturchiwali wzajemnie, zniknął gdzieś ten cały polor, którego uczyli się od najmłodszych lat.

Uwagę inspektora przykuło stwierdzenie „prawie wszyscy”. Gertruda nie zastanawiała się długo. Meinhardowie, Schrederowie, Norweg, który początkowo z pogardą traktował całe przedsięwzięcie, a potem rozpychał się łokciami, jakby został do domu pani Wilfridy żywcem przeniesiony z jakiejś sagi opiewającej krwiożercze wyczyny wikingów. I nawet Georg, który przepychał się, żeby znaleźć się jak najbliżej Elzy (tutaj w głos Gertrudy wkradła się źle ukrywana irytacja). Podobnie zresztą zachowywał się Sigmund. Nadepnął na nogę jej, Gertrudzie, chcąc dostać się w pobliże Eleonory. Starszy z pastorów, lubiący być w centrum zainteresowania, usilnie kierował się w sam środek kadru. Elza to samo.

— Właściwie tylko Eleonora, pani Neiss, doktor Paschinski, pan inspektor i ja zachowywaliśmy się jak ludzie dorośli. I jak ja nie mam zostać diakonisą? — Gertruda ostatnie zdanie wypowiedziała pół żartem, pół serio.

— Słucham?

— Myślę, o tym, że spotkania towarzyskie są niezwykle irytujące. I sztuczne. Prawdziwe życie jest zupełnie gdzie indziej.

— Z całą pewnością — Ignaz szczerze zgodził się ze zdaniem rozmówczynie.

Oboje mieli wrażenie, że wszystko, co miało zostać wypowiedziane, było już za nimi. Patrzyli w milczeniu na ciemny błękit płytkiej wody, słuchali szumu drzew, na chwilę zapomnieli o okolicznościach, które były przyczyną rozmowy.

— Panie inspektorze?

— Zamieniam się w słuch. — Ignaz musiał przerwać rozmyślanie o ostatnim pikniku w towarzystwie Bernadety, kiedy to zabrali ze sobą kosz pełen ciastek, szynkę z tłuszczkiem i butelkę lekkiego, rześkiego, białego wina.

— Czy ma pan poczucie spełnienia w profesji, którą pan wykonuje?

— A cóż to za pytanie? — odparł zdezorientowany policjant.

— Czy nigdy nie żałował pan, że został policjantem? Przecież pan jest inteligentnym człowiekiem i wrażliwym, tymczasem całymi dniami musi pan siedzieć w ludzkich brudach. Przepraszam za tę śmiałość, ale chyba już pan zauważył, że bardziej od konwenansów cenię szczerą rozmowę.

Jakiej odpowiedzi udzielić? Czy przyznać się, że już jako dziecko lubił bawić się z rówieśnikami w bandytów i policjantów? Że chciwie łykał, odkąd nauczył się czytać, wszelkie notatki o przestępstwach dokonywanych w bliższej i dalszej okolicy? Że wreszcie imponowała mu tajemnicza atmosfera wielkiego gmachu przy Alexanderplatz i pochlebiało to, że miał stałą przepustkę do gabinetu nadinspektora von Marburga? Przecież nie powie przyszłej diakonisie o dreszczyku emocji, jakiego doświadczał, gdy mógł być panem sytuacji. Co najwyżej może się przyznać, że lubi bawić się z przestępcą w polowanie. Ale jeśli ona uzna tę przypadłość za objaw reakcji na jakieś straszliwe kompleksy?

Odpowiedź, jakiej udzielił panie Dangel, miała być dyplomatyczna i charakteryzować się powściągliwością godną wybijającego się oficera stołecznego Wydziału Zabójstw. Zakończyło ją jednak stwierdzenie:

— Często myślę, że jestem zwyczajnie, po ludzku szczęśliwy. Czy znaczy to, że żyję zgodnie z powołaniem?

— Tak — mocno potwierdziła Gertruda. — Widzi pan, odważyłam się i zapytałam o coś w pewnym sensie intymnego, ponieważ już niedługo rozstrzygnie się, co będę robiła przez resztę życia. I...

— I nie jest pani dobrze z tą świadomością — Ignaz zaraz pożałował, że powiedział coś tak oczywistego. Czasami lepiej nie nazywać otwarcie ludzkich pragnień i dylematów.

Dziewczyna położyła otwartą dłoń na podręczniku.

— No tak, przecież pan wie.

— Przepraszam — odpowiedział jej szept Ignaza. — Jestem policjantem.

— Oczywiście. Tak, zostanę diakoniszą — powiedziała z mocą, ale zaraz potem jej głos załamał się. — Czy ja mogłabym się mu podobać?

Milczenie Ignaza zdawało się dla niej wyrokiem, tak jakby od jego opinii cokolwiek mogło zależeć. W istocie były to sekundy, ale wystarczyły, by jeszcze niżej spuściła głowę.

— Pani nie ma świadomości, ilu mężczyznom się podoba. Nawet temu Norwegowi, którego określiła pani mianem nieokrzesanego wikinga.

— Naprawdę? — Gertruda ucieszyła się, ale zaraz spochmurniała. — Przecież nie o niego chodzi.

— Wszystko w rękach Boga — Ignaz pomyślał, że takie stwierdzenie najlepiej przemówi do dziewczyny. — Jestem znacznie starszy od pani, na dodatek mam żonę i jestem funkcjonariuszem cesarskiej policji, mogę więc powiedzieć pani bez bycia posądzonym o jakieś nieczne zamiary, że jest pani

kobietą niezwykle interesującą. Tak, może się pani podobać. Jemu przede wszystkim. Może niedaleko już do szczęśliwego rozwiązania?

Gertruda popatrzyła na inspektora z zażenowaniem, ale gdy wstał i ukłonił się, a potem skierował w stronę miasta, odprowadzała go spojrzeniem pełnym wdzięczności.

Tymczasem Ignaz obejrzał się i rzucił w stronę panny Dangel, która jakoś nie miała zamiaru wrócić do przerwanej lektury:

— Tylko proszę zachować moje ostatnie słowa w tajemnicy! Gdyby żona się dowiedziała, że pochwaliłem inną kobietę...

Głośny śmiech rozjaśnił twarz dziewczyny. Już dawno nikt nie słyszał, aby Gertruda się roześmiała.



Gabinet doktora

Maksymilian Paschinski podniósł głowę znad urzędowego pisma. Pojawienie się inspektora Brauna potraktował spokojnie, chociaż znajdował się od paru minut w doskonałym nastroju. Oto bowiem listonosz wręczył mu decyzję Państwowego Zakładu Badania Środków Żywnościowych i Używek oraz Przedmiotów Użytku dla Krajowego Okręgu Policijnego w Berlinie. Został przyjęty w poczet członków korespondentów urzędu, a trzeba było nie lada talentu i doświadczenia, aby lekarza spotkał ten zaszczyt.

Doktor zauważył dopiero teraz, że za inspektorem stanął posterunkowy Bochentin, który od razu zaczął lustrować chciwym okiem gabinet. Bo też królestwo Paschinskiego przerastało wszystko, czego wejherowanie mogli doświadczyć, przychodząc do jego poprzednika, doktora Leo Gesslera.

Ciekawe oczy Bochentina na dłużej zatrzymały się na ludzkim szkielecie, który był znacznie mniejszy niż słynny Eryk należący do Gesslera. Natomiast szkielet będący własnością Paschinskiego miał coś, o czym Eryk mógł tylko pomarzyć: ciepły szalik na szyi i binokle.

— Witam, panie doktorze, czy moglibyśmy zabrać panu nieco cennego czasu? — Ignaz skłonił się powściągliwie, acz z szacunkiem.

Doktor skinął głową i zrobił ręką zapraszający gest.

— I od razu, w imieniu posterunkowego Bochentina i swoim, muszę spytać o ten uroczy szkielecik. Otóż ma on na sobie pewną część garderoby. W jakim celu?

— Tu jest zimno. A on nie ma tkanki tłuszczowej — wyszeptał Paschinski w taki sposób, że nie można było zgadnąć, czy żartuje.

— O binokle niech pan inspektor nie pyta — syknął Bochentin. — W takim stanie zdrowia na ogół ma się kłopoty ze wzrokiem.

Ignaz miał nadzieję, że gospodarz nie usłyszał posterunkowego. Sam zaczął się uważnie przyglądać wnętrzu gabinetu, bo choć widział, żyjąc w stolicy, mieszkania rozmaitych dziwaków, lokum doktora wydało mu się dość oryginalne.

Gabinet był równocześnie sypialnią Paschinskiego. W kącie, niedaleko okien, stała niemal więzienna prycza przykryta kilkoma grubymi, wełnianymi kocami, osobliwie kontrastującymi z ascetycznym meblem.

Na pierwszy rzut oka dało się poznać, że doktor jest zapalonym ornitologiem. Cały sufit ozdobiony był wypchanymi ptakami. W centralnym miejscu, tuż obok zakurzonego żyrandola, wisiał wielki sokół gotowy do pionowego lotu po ofiarę. Dwa puszczyki tkwiły statycznie na grubych hakach, nieczułe na towarzystwo zięb, gilów, sikorek i srok o wypłowiwałych ogonach.

Trzy ściany zapełnione były rycinami obrazującymi sekcje zwłok na przestrzeni dziejów, począwszy od nieśmiałych prób ze starożytności, przez nowożytne scenki, na których postacie, żywcem skopiowane z „Lekcji anatomii doktora Tulpa”, z zainteresowaniem pochylały się nad martwymi

ciałami, aż po obrazki, których bohaterami byli lekarze odziani w białe kitle i uzbrojeni w nowoczesne skalpele, nożyce i tym podobne przedmioty.

Czwartą ścianę w całości zajmowała szklana gablota; stały w niej w równiutkich rzędach słoiki z formaliną, a ich zawartość stanowiły organy wewnętrzne — serca, jelita, trzustki, a także zatopione na wieki niczym w bursztynie jaszczurki, żaby, owady i niewielkich rozmiarów ryby.

Goście doktora Paschinskiego stąpali po puszystym dywanie perskim, którego pierwsza młodość przypadać mogła na czasy chłopięcych lat kanclerza Bismarcka. Pod wpływem nacisku stóp z dywanu wzbijały się ku górze obłoczki kurzu.

— Nie mogę wyjść z podziwu nad urządzeniem pańskiego gabinetu, doktorze. Zapewne wielu lat i niemałych starań wymagało skompletowanie tak imponujących zbiorów?

Paschinski skinął głową, nie widząc przy tym, na szczęście, wyrazu twarzy posterunkowego. Arno Bochentin bowiem, po początkowym zdumieniu, nabierał coraz większej odrazy do miejsca, w którym się znalazł. Wychowany był w tradycyjnym domu, gdzie schludność, czystość i skromność były największymi cnotami członków jego rodziny. Natomiast Ignaza, który w pałacyku profesora antropologii kultury Willendorfa w Poczdamie widział zbiór używanych trumien, nic nie było w stanie zaskoczyć.

— Panie doktorze — kontynuował Braun — bylibyśmy panu ogromnie wdzięczni, gdyby zechciał się pan z nami podzielić wiedzą dotyczącą ostatnich godzin życia Theodora Pracza. Wie pan bowiem doskonale, że po wyjściu z wieczoru, którego gośćmi byliśmy obaj, fotograf został zamordowany.

— Owszem, jestem świadom szczególności tamtego wieczoru — Paschinski ważył słowa i wypowiadał je wolno. — Proszę mnie dobrze

zrozumieć, sama istota śmierci nie zrobiła na mnie szczególnego wrażenia.

— Ponieważ jest pan do majestatu śmierci przyzwyczajony — pokiwał głową Ignaz. — Musi pan jednak przyjąć do wiadomości, że została popełniona zbrodnia.

Dopiero teraz doktor odłożył na wielki podłużny stół, którego przeznaczenia Braun wolał się nie domyślać, list z berlińskiego urzędu. Stanął nad policjantami i przygładził włosy, a potem chwycił w dłonie czarną jak smoła brodę.

— Zbrodnia to już domena pana inspektora. Przykro mi, nie mogę panu pomóc.

— Naprawdę nic pan sobie nie przypomni? Choćby jakiś okrucuch faktu, zdarzenia, nieopacznie wypowiedziane zdanie?

Milczące przeczenie Paschinskiego doprowadziło posterunkowego do irytacji, którą za wszelką cenę starał się powściągnąć. Braun przeżywał to samo.

— Daruje pan, doktorze, ale rzadko spotykam się z sytuacją, że ktoś o wysokim potencjale inteligencji, posiadający zmysł analityczny i wielką praktykę w podobnych sprawach, właściwie odmawia pomocy organom śledczym — w głos Ignaza wkradło się niechcący uczucie, które wolałby zachować dla siebie.

— Widzi pan, inspektorze, jestem człowiekiem konkretnym. Kiedy mam czyste sumienie i naprawdę nie wiem nic, co mogłoby dopomóc w śledztwie, mówię o tym uczciwie, aby nie marnować czasu policji.

— W takim razie musi pan postawić się na moment w mojej sytuacji. Rozmawiałem już z kilkoma osobami, które uczestniczyły w wieczorze u pani Neiss. Każda z nich chętnie udzielała odpowiedzi, natomiast pan, jako jedyny, właściwie odmawia rozmowy na temat śmierci fotografa.

— Ponieważ właśnie jestem osobą skrajnie praktyczną.

Braunowi nie pozostało nic innego, jak zasugerować doktorowi, że jego zachowanie może wzbudzić uzasadnione podejrzenia co do uczciwości intencji, a w konsekwencji Paschinski może znaleźć się w kręgu podejrzanych.

Twarz doktora zachowała stoicki wyraz. Wstał jednak, podszedł do gabloty, wspiął się na niewysoki stolik i znad gabloty zdjął grubą książkę oprawioną w brązową skórę. Potem usiadł na swoim krześle, otworzył księgę gdzieś w środku i zaczął czytać bezgłośnie, poruszając ustami.

Policjanci popatrzyli na siebie. Posterunkowy zamierzał już wstać, choć sam nie wiedział, co dalej robić, ale inspektor powstrzymał go gestem dłoni.

Tymczasem Paschinski czytał dalej. Wreszcie po paru długich minutach spojrzał na Brauna ciężkim wzrokiem i wyszeptał:

— Skoro pan inspektor jest taki dociekliwy, pozostaje jedno wyjście.

— Mogę? — Ignaz wziął podaną mu przez doktora książkę.

Posterunkowy Bochentin ciekawie wyciągnął szyję, tymczasem Braun z wrażenia niemal wypuścił tom z dłoni. Oto miał przed sobą „Praktyczny podręcznik do przeprowadzania hipnozy” autorstwa profesora Zygmunta Freuda. Książka wydana została w Wiedniu zaledwie rok wcześniej. Podręcznik wylądował teraz w dłoni Bochentina, który, zapomniawszy o wstępie, jaki budziło w nim mieszkanie doktora, zaczął gorączkowo kartkować dzieło.

— Jest pan pewien? — zapytał Ignaz.

— Jak najzupełniej. Nie wszyscy specjaliści wierzą panu Freudowi, ja sam traktuję jego metodę jako nowatorską ciekawostkę, natomiast mój znajomy, doktor Blumberg z Tybingi, przeprowadził interesujące doświadczenia, po których stał się entuzjastą wiedeńskiego psychiatry. Skoro nie mogę pomóc panu w konwencjonalny sposób, a jednak

chciałbym, aby nie opuścił pan mojego gabinetu zawiedziony, pomijając niegodny szantaż, którego stałem się ofiarą, proszę pana o przeprowadzenie na mnie hipnozy.

Po wypowiedzeniu tak wielkiej liczby słów Paschinski opadł na krzesło.

— Panie doktorze, ja nie mam żadnego doświadczenia w tego rodzaju praktykach — uprzedził Braun.

— Tu nie potrzeba doświadczenia, od strony dwudziestej czwartej jest instrukcja, krok po kroku, jak dokonuje się hipnozy — odparł Paschinski. — Prosiłbym o chwilę cierpliwości.

Wypowiadając ostatnie słowa, ciężko wstał z krzesła, podszedł do podłużnego stołu, na którego widok uprzednio policjantami targnęły dość przygnębiające uczucia, uważnie przypatrzył się powierzchni, przetarł ją rękawem, który zaraz powąchał, wreszcie ułożył się równo na plecach, jak to mają w zwyczaju czynić nieboszczycy.

— Proszę zaczynać, mamy niewiele czasu, na godzinę osiemnastą mam umówionego pacjenta.

— No cóż — westchnął inspektor i podszedł do stołu. Krok za nim przystanął Arno Bochentin, który przetarł czoło zroszone potem i miętosił w ustach niezapalonego papierosa.

Tymczasem Ignaz otworzył książkę na stronie dwudziestej czwartej i zaczął przeglądać następne kartki.

— Patrzysz w jeden punkt... Nie jest ciemny, nie jest jasny... Nie za duży... nie za mały... Z wolna powiększa się, to znów maleje, ale jest cały czas taki sam... Patrzysz w ten punkt...

„A twoje powieki stają się coraz cięższe” — przeczytał po cichu posterunkowy i wzdrygnął się, obawiając, że sam zaśnie.

— A twoje powieki stają się coraz cięższe... Twoje ciało staje się nieczułe i ciężkie, tak jak powieki. Nie czujesz chłodu ani ciepła. Nie

czujesz własnego ciała, jest ci przyjemnie i błogo... Wszystkie troski zniknęły, jesteś spokojny... jesteś senny...

Posterunkowy spojrział w górę, jakby chciał szukać tajemniczego punktu, lecz jego wzrok napotkał wyłupiaste oczy wypchanego puszczyka. Policjant nie miał ochoty na dalsze kontemplowanie widoku ptaszyska i wrócił spojrzeniem do leżącego na wznak doktora.

— Zasypiasz spokojnie, ale nie jest to sen. Twój umysł jest wypoczęty, a pamięć doskonała, choć nie odczuwasz żadnych emocji... Śpisz, lecz nie śpisz. Nie śpisz... lecz śpisz... jest spokojnie, jest dobrze i błogo...

Zdziwienie Ignaza było wielkie, ponieważ zachowanie doktora było dokładnie takie, jakiego życzył sobie podręcznik profesora Freuda. Paschinski oddychał nie za głęboko, nie za płytko, oczy miał półprzymknięte, na jego ustach malował się ledwie dostrzegalny uśmiech. Żaden ruch nie przeszkadzał ciału zahipnotyzowanego w byciu zahipnotyzowanym.

Jakieś ważne pytanie zamarło na ustach posterunkowego, którego Braun uspokoił ostrym gestem dłoni.

— Jesteś teraz w salonie Wilfridy Neiss...

— Jestem — wyszeptał leżący.

Brauna i Bochentina przeszył dreszcz. Odtąd Ignaz zdany był wyłącznie na siebie. Podręcznik miał się przydać dopiero przy wybudzaniu doktora.

— Są tam już wszyscy goście...

— Są... Jest i ona.

— Kto?

— Wilfrida. Mądra i dobra...

— Lubisz panią Wilfridę? — głos Ignaza zachował bezbarwny odcień, ale Bóg jeden wie, ile policjanta kosztowała ta obojętność.

— Bardzo. Zaprasza mnie co tydzień na smaczną kawę i kruche ciasteczka.

— Rozmawiacie wtedy?

— Rozmawiamy...

— Dużo rozmawiacie?

— Dużo...

— O czym?

— O praktyce lekarskiej, o sztuce, ostatnio o teologii. Jestem wielbicielem teologii...

— Chciałbyś, żeby pani Neiss cię przytuliła? — zaryzykował Braun.

— Chciałbym — w beznamiętnym głosie Paschinskiego pojawiła się żywsza nuta.

— Pani Neiss wie o twoim marzeniu?

— Nie wie...

— A czy wie ktoś inny?

— Theodor Pratz...

Posterunkowy wypuścił z ust papierosa i sięgnął do kieszeni munduru po chusteczkę. Ignaz zazdrościł Bochentinowi, że tamten ma luksus bycia jedynie widzem.

— Jak się dowiedział?

— Poprosiłem go kiedyś o zdjęcie. Wiedziałem, że ma kalodionową kliszę... Portret Wilfridy...

— Zrobił dla ciebie odbitkę?

— Zrobił. Jest bardzo dobrym człowiekiem.

— Nie był zdziwiony? Pani Neiss mogłaby być twoją matką...

— Był. Ale znamy się długo... Jest bardzo dobrym człowiekiem... Fotografowie stykają się z różnymi życzeniami...

— Nie mówił nigdy, że powie pani Neiss o twojej prośbie?

Posterunkowy pomyślał z dumą, że zadałby właśnie takie pytanie.

— Mówił, ale uśmiechał się wtedy, widać było, że żartował.

— A... gdyby powiedział?

— Nie powiedział... Nie skrzywdziłby mnie... Wiedział, że zawiódłby moje zaufanie. To byłoby straszne... — pierś Paschinskiego zaczęła falować.

— Pani Wilfrida wie, że bardzo ją lubisz?

— Wie... Ale nie wie, jak bardzo... Nigdy jej tego nie powiem...

— Rozumiem. Więc nie mów — Ignaz bał się, że doktor wybudzi się na skutek silnej emocji i postanowił przejść do zasadniczego tematu.

— Czy wiesz, kto zrobił krzywdę Theodorowi Pratzowi?

— Nie wiem...

— A czy ktoś mógłby mieć złe zamiary w stosunku do fotografa?

— Nie, przecież pan Pratz jest dobrym człowiekiem.

— Ale nie wszyscy są dobrzy. Ktoś go skrzywdził.

— Źle się stało. Pan Pratz był dla mnie jak ojciec. Nie powiedział pani Wilfridzie, a przecież wiedział.

— I nic nie widziałeś? Absolutnie nic?

— Patrzyłem na moją Wilfridę. Nikt nie wie, nikt się nie domyśla, więc mogłem patrzeć i patrzeć. Nawet więcej niż wtedy, kiedy jestem z nią sam na sam. Bo wtedy muszę uważać. A tam? Kto patrzył na doktora Paschinskiego? Byłem jak w niebie.

„Matko Boska” — bezgłośnie wyszeptał posterunkowy, któremu, oprócz zamiłowania do czystości i ładu w obejściu, wpojono również poczucie porządku w odniesieniu do uczuć, a temu, w jego pojęciu, doktor sprzeniewierzył się w zupełności.

— Moja Wilfrida... — rozmarzył się Paschinski, a Ignaz po paru kolejnych próbach nawiązania do sprawcy morderstwa doszedł do przekonania, że już nic nie wyciągnie z zakochanego doktora. „Hipnoza jest stanowczo wyrafinowaną sztuką. Łatwiej ją rozpocząć niż kontynuować aż do pomyślnego finału” — pomyślał i postanowił rozpocząć wybudzanie pacjenta.

W ustach posterunkowego ponownie zagościł niezapalony papieros. Braun sięgnął po podręcznik.

— Czy eksperyment zadowolił pana, inspektorze? — zapytał Paschinski, przecierając oczy. Siadał właśnie na swoim ulubionym krześle.

— W zupełności, panie doktorze — zapewnił Braun, wywołując tym samym zdumienie posterunkowego.

— Czy... czy powiedziałem coś niestosownego? — nieśmiało zapytał doktor. — Czy z kolei moje wypowiedzi były jasne i logiczne?

— Nadspodziewanie jasne i nad wyraz logiczne — uśmiechnął się Ignaz. — Zapewniam pana również, że nie było w nich niczego niewłaściwego.

— Cieszę się — Paschinski, zamiast odetchnąć, zaczął wiercić się i nerwowo spojrzeć na zegar wiszący w zakurzonej kątce.

— Prawda, pan doktor ma wizytę o godzinie osiemnastej.

— Właśnie. Byłbym zobowiązany, mój pacjent również.

Kiedy policjanci znaleźli się na świeżym powietrzu, obaj, jak na komendę, zrobili głęboki wdech.

— Panie inspektorze — zaczął Bochentin — nie przypuszczałem, że praca funkcjonariusza może dostarczyć takich przeżyć.

— A wydawało mi się, że jest pan doświadczonym policjantem —
uśmiechnął się Ignaz.

— Takie tam wejherowskie przestępstwa.

— I nie widział pan dotąd żadnych dziwaków?

— Takich, jak doktor Paschinski, jeszcze nie — poważnie odpowiedział
Arno Bochentin.

— Niespodziewane doznania są wpisane w nasz zawód, panie
posterunkowy.

Wejherowski policjant zapalił papierosa i mocno się zaciągnął.

— Żeby chociaż był jakiś pożytek z tego przebywania w domu, gdzie
wszystko lepi się od brudu! Mieliśmy okazję zapoznać się z pragnieniami
człowieka, którego ja nazwałbym prosto: wariat.

— Widzi pan, Bochentin, może doktor Paschinski jest, jak pan to ujął,
wariatem, ale on sam i u pana, i u mnie znalazłby parę drobiazgów
pozwalających mu na wysnucie podobnych wniosków.

— Proszę tak nie żartować — posterunkowy prawie się obraził.

— A mimo wszystko ja odniosłem pewną korzyść.

Papieros Bochentina zmienił się tymczasem w niedopałek i wylądował
na bruku. Posterunkowy uśmiechnął się szelmowsko.

— Pewnie, pan inspektor po raz pierwszy przeprowadził eksperyment
z hipnozą!

— Nie o tym myślę — głos Ignaza był tajemniczy.

— A o czym?

— Doktor Paschinski zasugerował nam, niechcący oczywiście, że
nieboszczyk Pratz, z racji swojego zawodu, mógł wiedzieć wiele. Więcej
niż na przykład rzeźnik czy piekarz. I że ta wiedza mogła go zgubić.

— Czyli że Paschinski jednak miał powód, żeby zabić, ale sam przed sobą boi się przyznać do morderstwa?

— Nie mówiłem o doktorze, choć i on nadal znajdować się będzie w kręgu podejrzanych. Może ktoś inny z grona gości? Będę musiał pojechać do siedziby rejencji, już jutro.

Pytanie o cel podróży do Gdańska zamarło na ustach Bochentina. Posterunkowy wiedział od Antona Myszka, z czasów śledztwa dotyczącego Johanna Wendersa, że wszelkie pytania tego typu pozostają bez odpowiedzi.

— A ja, panie inspektorze, skoro mam na dzisiaj wolne, muszę się napić. Chociażby dla odkażenia organizmu. Rozumie pan, ten dom...



Męska rozmowa w towarzystwie świadka

Wracając z siedziby gdańskiej policji, Ignaz Braun zatrzymał się w Sopocie. Poprzedniego dnia przeprowadził pierwszy w swoim życiu eksperyment hipnotyczny. Od tamtej chwili minęły dokładnie dwadzieścia cztery godziny. Właśnie wysiadł z pociągu kolei żelaznej i niecierpliwie rozglądał się po peronie.

— Inspektorze, halo, panie inspektorze! — tubalny głos tuż za Braunem należał do korpulentnego, siwego człowieka z bujnym, lekko podkreśnionym wąsem.

— Jakże się cieszę! — Ignaz odwzajemnił entuzjazm profesora Puppego.

— Zaczynam doceniać walory telegrafu. Dziś rano wysłał pan wiadomość do hotelu i proszę, spotkaliśmy się!

— Ogromnie pana przepraszam, profesorze, że przeszkadzam w wypoczynku. Wielka jest jednak moja radość, że dane mi jest spotkać berlińskiego sąsiada w tak odległej części kraju — dłonie Ignaza cały czas potrząsane były przez entuzjastycznie nastawionego anatomopatologa.

— Spora w tym, mówiąc przewrotnie, zasługa mojego siostrzeńca. Właśnie! Wieczne utrapienie z tym Sigmundem.

— Pan von Mach jest przemiłym młodym człowiekiem, proszę go źle nie oceniać — pospiesznie zapewnił Braun. — Prawdą jest jednak, że ominął zakaz opuszczania Wejherowa, który wydano w związku ze sprawą morderstwa.

Na twarzy Puppego pojawił się cień. Sława berlińskiej medycyny była na swój sposób dumna z siostrzeńca, w równym jednak stopniu przysparzającego jej trosk. Profesor sfinansował studia młodego człowieka i do pewnego stopnia utrzymywał go, a Sigmund miał niemałe potrzeby. Ubierał się modnie, w renomowanych magazynach, musiał zasiadać w najlepszych łóżach podczas przedstawień, a parę miesięcy temu świętek jego znajomych obiegnęła wiadomość, że nawiązał znajomość z młodziutką baletnicą, panną Bertą Gensfleisch, osobą płochą i cokolwiek rozrzutną.

— Widzi pan, inspektorze, mój siostrzeniec jest jeszcze bardzo młody, nie zawsze myśli rozsądnie, a, prawdę mówiąc, nie zawsze w ogóle myśli — ostatnie słowa profesora Ignaz usłyszał już po wyjściu z dworca.

Mężczyźni kierowali się teraz w lewo, a przed nimi rozpościerał się widok na targowisko próżności. Wczesny wieczór był pogodny i ciepły, cały więc Sopot wyległ na ulice, które latem stawały się wielkim salonem.

Damy ubrane były modnie, choć od zasobności pugilaresów mężów, ojców i kochanków zależało, na ile w ślad za modą podążała jakość sukni, bluzek, parasolek i kapeluszy. Mężczyźni natomiast z ulgą zrzucili garnitury przewidziane na chłodniejsze pory roku i odziani byli przeważnie w kremowe, lekkie ubrania, barwne krawaty i słomkowe kapelusze o nieco szerszych niż zazwyczaj rondach. Dookoła hałasowały dzieci w marynarskich ubrankach, a cały ten tłum kierował się głównie w stronę mola. Tam też podążyli inspektor Braun i profesor Puppe.

— Uważa pan, drogi przyjacielu, że mój Sigmund mógł być w jakiś sposób zamieszany w śmierć wejherowskiego fotografa? — z lękiem zapytał starszy mężczyzna.

— Panie profesorze, ależ ja nic takiego nie powiedziałem. Chciałem tylko, a właściwie jestem zmuszony, przesłuchać każdego, kto był świadkiem ostatnich godzin zamordowanego. Rutynowa procedura.

— Oczywiście — zgodził się profesor, gdy skęcili w stronę kawiarni „Am See”, gdzie mieli zarezerwowany stolik.

— A jednak Sigmund zachował się nierozsądnie. Gdyby spokojnie czekał na rozmowę ze mną, prawdopodobnie przybrałaby ona dla niego formalny charakter. W takiej jednak sytuacji... Mam pewne podejrzenia, graniczące z pewnością, że wśród uczestników spotkania, na które przybył fotograf, czaił się zabójca.

— Mój Boże!

— Właśnie. Czy zna pan profesor motywy, którymi kierował się Sigmund, wyjeżdżając z Wejherowa? Może coś widział, może lęka się o swoje życie?

Na odpowiedź Ignaz musiał poczekać, ponieważ kelner, ubrany w cokolwiek pretensjonalny frak, wskazał mężczyznom stolik tuż przy ulicy, dzięki czemu obaj mogli wypatrywać rychłego nadejścia młodzieńca.

— Niestety, przyjacielu — Puppe bezradnie rozłożył ręce — dopiero dzisiaj, z pańskiego telegramu, dowiedziałem się o całej sprawie, a Sigmund usiłuje być samodzielny i zazwyczaj nie informuje mnie, co zamierza robić w najbliższej, a tym bardziej dalszej przyszłości.

— Niemniej wie pan, gdzie się zatrzymał, skoro wezwał go pan tutaj.

— Oczywiście, tak daleko jego samodzielność nie sięga. Zatrzymał się w moim apartamencie, więc wystarczyło, abym około południa powiedział mu o pana przyjeździe.

— Nie oponował przeciwko spotkaniu? — uśmiechnął się Braun.

— Był nieco zmieszany, ale bez wahania przystał na nie. Prawdę mówiąc, zmuszony jest, czy tego chce, czy też nie, słuchać mnie w niektórych sprawach, ponieważ zadłużył się na, bagatela, tysiąc sto czterdzieści siedem marek i tylko ja mogę go poratować. Sigmund, Sigmund...

Puppe westchnął głęboko, tymczasem kelner podał gościom kartę kaw i deserów, po czym ulotnił się niedostrzegalnie. Zanim Ignaz zdążył zadać profesorowi pytanie, nad stolikiem zawisł cień. Mężczyźni podnieśli głowy i ich oczom ukazał się niemal skulony Sigmund von Mach.

Młody człowiek sprawiał wrażenie skruszonego. Ubrany był, jak na jego zwyczaje, skromnie. Beżowy garnitur zdobił jedynie morelowy krawat z wpiętą weń perłą i cienka dewizka zegarka. Z dłoni do dłoni nerwowo przechodził kapelusz, którego rondo zdawało się nieco wymięte.

— Panie inspektorze — ukłonił się niemal usłużnie. — Wuju...

— Jesteś. Dobrze — westchnął profesor.

Sigmund zawahał się. Nie wiedział, czy może usiąść, Braun bowiem zrobił groźną minę, patrząc przy tym prosto w oczy winowajcy. Wreszcie uznał, że kara była, jak na razie, wystarczająca i zrobił oszczędny ruch dłonią, wskazując von Machowi miejsce przy stoliku.

— Dziękuję najuprzejmiej — wyszeptał młody człowiek i usiadł na brzegu krzesła.

— Góra z górą się nie spotka, a człowiek z człowiekiem, owszem — kostycznym tonem zaczęła Ignaz. — Myślałem już, że nie uda mi się z tobą porozmawiać. Szczęściem, profesor był tak miły... Dalszy ciąg już znasz.

— Przepraszam pana inspektora. Minęło kilka dni, pan inspektor nie dał żadnego sygnału, nie przyszło też zawiadomienie z policji, sądziłem wobec tego, że moja obecność w Wejherowie nie jest konieczna.

— Do licha! — rozzłościł się stryj. — Przecież nakaz pozostania w mieście nie został odwołany i musiałeś zdawać sobie sprawę, że narażasz mnie na śmieszność, a siebie na poważne kłopoty.

— Pan profesor ma, jak zwykle, słuszną rację, Sigmundzie — głos Brauna wyrażał najszczerze zatroskanie.

— Gdybym pomyślał wcześniej, ale niestety...

Dalszą rozmowę przerwało ponowne pojawienie się kelnera. Nie był już tak dyskretny; musiał zaznaczyć swoją obecność, przyjmując zamówienie. Pytając spojrzął też na von Macha, ale ten, bez zaglądania do karty, poprosił jedynie o dużą filiżankę mocnej kawy z kardamonem. Kelner, zgorszony brakiem zainteresowania kartą deserów ze strony nowo przybyłego, odplynął ku wnętrzu „Am See”.

— Panie inspektorze — odezwał się profesor Puppe — jak się domyślam, powinienem zostawić was samych, tymczasem nieopacznie zamówiłem torcik waniliowy. Przynajmniej jednak, że szybko go zjem, zwłaszcza, że to mój ulubiony, i pośpieszę na molo. Wieczór taki ładny!

— Ależ panie profesorze, pana obecność w niczym nam nie przeszkodzi. Sam pan wie, ile razy zasięgałem pańskiej konsultacji, znamy się nie od dziś, proszę potraktować to spotkanie jako okazję w pewnym sensie towarzyską.

— Choć będzie mi trudno zachować się spokojnie przy tym lekkoduchu — Puppe wykonał wskazującym palcem oskarżycielski gest w kierunku siostrzeńca. — Niemniej serdecznie dziękuję, będzie mi miło przebywać w pańskim towarzystwie.

— Cała przyjemność po mojej stronie i obiecuję, że przed panem pojawi się jeszcze jeden torcik waniliowy, oczywiście na mój koszt.

Profesor z elegancją skłonił siwą głowę przed berlińskim krajanem. Tymczasem Sigmund przysłuchiwał się tym dwornościom

z roztargnieniem. Kapelusz, który dotąd leżał na brzegu stołu, znów trafił w ręce właściciela i jego stan ulegał teraz systematycznemu pogorszeniu.

— Sigmundzie — Ignaz zwrócił się do winowajcy — kiedy przyjechałeś do Sopotu?

— Wczoraj o świcie.

— W istocie, w istocie — mruknął profesor.

— Czy twój przyjazd miał jakiś konkretny cel?

— Nie chciałbym wypowiadać się na ten temat.

Spojrzenie Brauna strwożyło von Macha, jednak jeszcze chwilę walczył ze sobą. Wolałby już, gdyby Ignaz zaczął go straszyć konsekwencjami karnymi, natomiast zimny wzrok niczym u węża doprowadzał go do rozpacz. Wreszcie przemógł się.

— Do Sopotu przyjechała Berta. Ma się rozumieć, Berta Gensfleisch.

— Wielkie nieba! — Profesor wznosił ręce do niebios niczym Żyd przed Ścianą Płaczu.

— Dlaczego kłamiesz? — głos Ignaza był gadzi, tak samo jak jego spojrzenie.

— Mówię prawdę! — niemal krzyknął Sigmund.

— Nie, mój drogi. Twoja ulubienica przebywa aktualnie w Baden Baden. Sam mówiłeś, feralnego wieczoru, że było ci łatwiej przyjechać do Wejherowa, ponieważ panna Gensfleisch opuściła stolicę, aby razem z całą obsadą teatralną występować w uzdrowisku przez lato. A zresztą, drogi chłopcze — nacisk Brauna na „drogi chłopcze” był jak obelga — znam cię nie od dziś. Jeśli masz w pobliżu osobę płci pięknej, na której ci zależy, masz na sobie najmodniejszy garnitur i bardziej wyrazisty krawat. Choć, jak na mój gust, twoje krawaty są cokolwiek zbyt krzykliwe. No i dewizka. Twój zegarek zaznacza wtedy swoją obecność grubą złotą dewizką. Elegancja wyzywająca przestaje być elegancją.

— Panie inspektorze, pan jest okropny — słowa von Macha wypowiedziane były w taki sposób, aby Ignaz zrozumiał je jako jednoznaczny komplement.

Braun ucieszył się w duchu i przypomniał sobie podobną pochwałę, którą usłyszał z ust nadkomisarza Eduarda von Labuscha na letnim obozie szkoły policyjnej w Recklinghausen. Nastrój Brauna jeszcze poprawił nadchodzący kelner.

Sigmund, tak jak sobie życzył, otrzymał mocną kawę z kardamonem, przed profesorem stanął wysoki kawał tortu waniliowego i mała schwartzer, natomiast Ignaz, aby uczcić przyzwyczajenia kulinarne swojej Bernadety, uszczknął od razu kawałek sufletu, popijając go migdałowym benediktinerem.

Obaj mężczyźni, jakby od doby nie mieli nic w ustach, łapczywie rozkoszowali się deserami, tymczasem Sigmund wychylił od razu pół filiżanki parzącej usta kawy.

Obok nich korpulentna dama, która z pewnością podobałaby się komisarzowi Renschowi, bowiem jej biust był szalenie imponujący, na głos rzuciła do swojego rozmówcy, drobniutkiego łysiejącego człowieka, uwagę na temat niestosownych manier tak często obserwowanych u gości z zapadłej prowincji. „Łapczywe jedzenie jest takie pospolite!”.

— A zresztą, mój drogi, musiałbym być ślepy, a ze mną wszyscy, z którymi rozmawiałem, żeby nie zauważyć, jak patrzysz na Eleonorę Gephard — padło stwierdzenie znad malejącego z każdą chwilą sufletu.

Filiżanka z kawą zamarła w dłoni Sigmunda.

— Widzisz, Berta Gensfleisch ma być może ładne nogi i potrafi mówić miłe słówka, a jej towarzystwo daje ci, od biedy, nieco radości, ale, przy całym szacunku, nijak jej do panny Eleonory.

— Wreszcie mądrzejesz — wtrącił wuj. — Czy to aby stateczna panna?

— Jak najbardziej — odparł Ignaz. — Ładna i rozsądna. Życzyłbym sobie, żeby odwzajemniła uczucia tego płochego młodzieńca, byłoby to z pożytkiem dla ludzkości, tymczasem powiedz mi, drogi chłopcze, jaki był rzeczywisty powód twojej ucieczki?

W filizance Sigmunda pokazało się dno.

— Nie było jednego powodu. Były dwa. Ale łączyły się ze sobą. A oba wymagały pilnego wyjazdu do Sopotu, Oczywiście wiedziałem, że nie mogę opuszczać Wejherowa. Nie mogłem zostać. Proszę o wybaczenie.

— Ty bredzisz. Masz tego świadomość? Mów jaśniej, błagam cię — profesor był zirytowany i marzył tylko o jednym: żeby powody, które miał wyjawic Sigmund, okazały się naprawdę poważne. Miał jednak co do tego wątpliwości.

Młody człowiek postanowił mówić i widać było, że przerwanie milczenia sprawia mu ulgę. Tak, wiedział, że powinien pozostać w miasteczku, powtórzył to raz jeszcze. Miał jednak dwie przypadłości. Jedną dawną i drugą całkiem nową. Tą pierwszą było życie ponad stan i notoryczny brak pieniędzy na utrzymanie statusu materialnego godnego berlińskiego bywalca. Miał jednak dość chodzenia do wuja po prośbie. Odezwała się w nim duma, ale też z wolna rodziły się w dandysie wyrzuty sumienia, że wykorzystuje dobroć profesora. Postanowił, skoro Sopot był na wyciągnięcie ręki, zaryzykować na wyścigach. Otóż kilka dni przed tamtym wieczorem u pani Neiss rozmawiał z Eleonorą na temat koni, których była wielbicielką, niejednokrotnie pojawiała się nawet na sopockim hipodromie. Znała się na koniach, miała jednak tę słabość, że, jak na kobietę przystało, w swoich zamiłowaniach kierowała się sentymentalizmem i miała swoją ulubioną jabłkowitą klacz, Nefretete, na której jeździł Laszlo Horevaj, przybyły aż z Budapesztu. Za dżokejem ciągnęła się sława znakomitego jeźdźca, natomiast klacz, po pierwszym

znakomitym sezonie, przez dwa lata pod rząd nie spełniała oczekiwań Eleonory.

— Mój plan był prosty. W ciągu jednego, dwóch dni należało upiec dwie pieczenie na jednym ogniu.

— Przestań! Nie, mów dalej! — wykrzyknął profesor Puppe, a dama ze wspaniałym biustem aż zakrztusiła się winem, które właśnie piła.

— Postanowiłem pomóc Nefretete. Wtedy, u pani Neiss, mówiłem bardzo przekonująco, że klacz wraca do wielkiej formy, że jako fachowiec mogę jej przysiąc, że ulubienica wygra najbliższy bieg. Wtedy po raz pierwszy i jak na razie ostatni Eleonora spojrzała na mnie z życzliwością. Jak mógłbym ją zawieść?

— Rzeczywiście, sprawa zapowiada się niezwykle honorowo — z przekąsem wtrącił Ignaz — Słuchamy, słuchamy...

Dwaj poważni rywale Nefretete byli akurat po drobnych kontuzjach i nikt nie oczekiwał po nich zbyt dobrego startu, natomiast prawdopodobnie Nefretete minimalnie przegrałaby z nimi. Wystarczyło jednak, że dżokeje zostaną przekupieni, a gdy ich konie przegrają, nikt, tym razem, nie przejmie się niepowodzeniem. Pozostałe trzy konie, Anzelmus, Urania i Ritter powinny raczej być w zasięgu możliwości Nefretete. Dżokejom na nich jadącym należało dać odpowiednio mniejsze łapówki. Na wszelki wypadek

— A skąd miałeś na te łapówki, łotrze? — na obliczu Puppego tym razem malowała się wściekłość.

— Ależ wuju, obiecałem im, że należność otrzymają tuż po wyścigu...

— ...kiedy już wygra Nefretete, na którą nie postawi właściwie nikt, oprócz pewnego przybysza z Berlina, zgarniającego w ten sposób całą pulę — dopowiedział Braun.

— A czy pomysł nie był genialny w swej prostocie? Dżokeje będą zadowoleni, widzowie nie dostaną palpacji, bo wynik jest prawdopodobny, ja wzbogacę się i odciążę wuję, a co najważniejsze, zaimponuję Eleonorze, na czym szczególnie mi zależy. Czy pan zauważył dołeczki w jej policzkach?

— Nie wzięłeś jednak pod uwagę, że nie wszyscy dżokeje, o ile którykolwiek, da się przekupić — odpowiedział Puppe.

Sigmund skromnie spuścił głowę.

— Niech wuj wyjdzie na zewnątrz i zapyta któregoś z przechodniów, który koń wygrał dziś wyścig.

Przechodzący właśnie kelner, zapytany przez profesora, nie znał odpowiedzi. Poprosił jednak o chwilę cierpliwości, udał się do wewnątrz, zaraz też wrócił i uroczyście, jakby anonsował przybycie księżnej von Hohenstauff, ogłosił:

— Nefretete.

Stary profesor jęknął, a Ignaz zadumał się nad kondycją moralną sopockich dżokejów i samego Sigmunda, chociaż w duchu przyznał, że zauroczenie Eleonorą stanowi pewien czynnik łagodzący.

— I co teraz zamierzasz?

— Panie inspektorze, sam nie wiem. Przed dwoma godzinami byłem najszcześliwszym człowiekiem na świecie, ale teraz, kiedy wszystko się wydało... Myślałem, że stać mnie będzie na nowe garnitury, na wynajęcie lepszej garsoniery, ale przede wszystkim na otwarcie korzystnej lokaty w „Dresdner Banku”, aby za rok, dwa, założyć własną praktykę adwokacką. Myślę poważnie o Eleonorze i, gdyby mnie zechciała, zapewniłbym jej dzięki Nefretete stabilną przyszłość. A przy tym wróciłbym jutro do Wejherowa i mógłbym zaimponować jej jako wytrawny znawca koni.

Braun, spojrzawszy na profesora Puppego, parsknął śmiechem. Miał świadomość, że jego reakcja nie była zbyt wychowawcza, ale nie mógł się powstrzymać.

— Niestety, nic w życiu nie jest takie proste, jak się wydaje dwudziestoparoletniemu obiecującemu mieszkańcowi stolicy. Jedno mogę ci obiecać — Ignaz teatralnie zawiesił głos — że jeszcze dziś wrócisz do Wejherowa. Jesteś potrzebny na miejscu, a zresztą znajdziesz się blisko ukochanej, co w jakimś stopniu, ufam, zrekompensuje ci brak możliwości dalszego uczestnictwa w wyścigach, w której to dziedzinie stałeś się prawdziwym ekspertem.

— Tak jest — grzecznie przytaknął von Mach.

— Zastanawia mnie tylko — kontynuował Braun — czy można w dalszej perspektywie wierzyć komuś, kto dopuścił się, w rzeczy samej, przestępstwa kryminalnego. Widzisz, ja będę musiał wziąć twoje zachowanie pod uwagę podczas kolejnych etapów śledztwa.

Młody człowiek sprawiał wrażenie zdruzgotanego. Niepewność jest zazwyczaj gorsza od wyroku, a Sigmund, znając niekonwencjonalne obyczaje Ignaza, spodziewał się najgorszego, a już na pewno wielu niespodzianek.

Korpulentna dama i jej towarzysz, po uregulowaniu należności, opuszczali właśnie sąsiedni stolik. Braun raz jeszcze pożałował, że nie ma w pobliżu komisarza Renscha, któremu widok stojącej w pełnej krasie rozłożystej kobiety dostarczyłby wielu wzruszeń.

— Posłuchaj, początkujący przestępco — na te słowa profesor wzdrygnął się, ale nie śmiał zaprotestować; trudno było nie zgodzić się ze słowami inspektora — przed nami, bo razem pojedziemy do Wejherowa, niezbyt długa droga. Jednak porozmawiamy sobie szczerze. Tak szczerze, że bardziej już się nie da. Twój wuj z pewnością ucieszy się na wieść, że

daję ci minimalną, bardzo minimalną szansę. W dodatku nie tylko od ciebie zależeć będzie, czy ją wykorzystasz. Zależeć to będzie od mojego widzimisie, od złego lub dobrego humoru. Nie będziesz pewny następnej godziny, i tak aż do zakończenia śledztwa. Jeśli przypadkiem wstanę rano z łóżka lewą nogą, marny twój los. Zrozumiałeś?

— Tak.

— Nie, nic nie rozumiałeś, bo nie wiesz, co cię czeka. Ale nie jest mi cię żal, zasłużyłeś na Tempelhof. Chociaż, z drugiej strony może byłoby to dla ciebie wygodniejsze rozwiązanie?

Stary profesor uśmiechał się teraz pod wąsem, ale tak, aby siostrzeniec, broń Boże, nie zauważył jego poprawiającego się nastroju. Wiedział, że Braun postanowił naprawdę dać szansę siostrzeńcowi, to już było wiele. A jeśli lekkomyślnego młodzieńca spotka podczas tego osobliwego czyścica wiele przykrości (Puppe wiedział, że spotka), tym lepiej. Sigmund zasłużył przecież na wyrok więzienia.

— Panie profesorze, wybaczy pan moje zachowanie, ale w kontaktach z przestępcami zwykłem stosować środki adekwatne do okoliczności.

— Jasna sprawa — z groźną miną odpowiedział Puppe.

— A skoro mamy do czynienia z przestępcą, zapytam go, na rozgrzewkę, czy zabił Theodora Pratz.

Sigmund przełknął gorzką pigułkę w postaci „przestępcy” i odpowiedział, na ile było to możliwe, spokojnie, choć niezbyt wyczerpująco:

— Nie.



W pociągu kolei żelaznej

Jeszcze tego samego wieczoru dwaj mężczyźni usadowili się wygodnie w pustym przedziale pociągu kolei żelaznej. Z tym że określenie „wygodnie” należało wziąć w nawias. Ignaz Braun usiadł przy czyściutkim oknie, założył nogę na nogę, na stoliku obok położył batonik o smaku karmelowym z orzechowym nadzieniem i najnowszy numer „Berliner Beobachter”, tymczasem Sigmund von Mach, mimo wolnych pozostałych pięciu miejsc, zmuszony był stać przy drzwiach, wprowadzie nie na baczność, niemniej, jak poinstruował go inspektor, z zachowaniem norm przyjętych za oczywiste w kulturalnym towarzystwie.

W pięć minut od momentu, kiedy pociąg ruszył ze stacji Sopot, Sigmund, który spojrzał za siebie, wydał coś na kształt okrzyku zdziwienia. W korytarzu ukazał się bowiem we własnej osobie Georg Class. Wysoka, chuda sylwetka młodego pastora zbliżała się, wprowadzie z wolna i bez wyraźnego celu, w stronę przedziału zajmowanego przez berlińczyków.

— Panie inspektorze — zawołał zaaferowany młodzieniec — pastor Class tu jest.

— Który? — zapytał Ignaz, wstając szybko.

— Georg!

— Odsuń się! — zawołał Braun i zanim Sigmund zdążył zrobić miejsce, bezceremonialnie odepchnął go, wychodząc na zewnątrz przedziału.

— Pan inspektor Braun! — zdziwił się duchowny.

— Pastorze! Cóż za miła niespodzianka! Ale, ale, miał pan wracać z Królewca?

— W rzeczy samej, powracam stamtąd, z tym że trasa mojego pociągu akurat omija Wejherowo i musiałem dojechać aż do Gdańska, aby tam złapać połączenie do domu.

— Zdziwiający, że dane nam było spotkać się w takich okolicznościach — zauważył Braun — a skoro tak, zapraszam pana jak najserdeczniej do naszego przedziału, jeżeli oczywiście ma pan ochotę i nie ma pan żadnych zobowiązań towarzyskich.

Pastor ochoczo skinął głową.

— Oczywiście, że nie mam. Zaraz przyjdę.

Nie minęło kilka minut i Georg Class siedział już w przedziale obok Brauna i von Macha. Ignaz ledwie dostrzegalnym ruchem udzielił Sigmundowi dyspensy i młody człowiek z ulgą usiadł naprzeciw pastora.

Uwagę inspektora wzbudził bagaż podróżny nowo przybyłego. Składał się z jednej niewielkich rozmiarów wyświechtanej torby, która mogłaby uchodzić za wyposażenie niezbyt zamożnego pracownika gazowni. Marynarka i spodnie Georga doskonale korespondowały z bagażem — spodnie raziły zdefasonowanym kaniem i nie wyglądały zbyt świeżo, natomiast marynarka w okolicy prawej kieszeni miała zacerowane pole wielkości centymetra kwadratowego, poza tym jej krój wskazywał, że przedtem musiała należeć do starszego z pastorów, w dodatku w czasach, kiedy Georg nie myślał jeszcze o noszeniu marynarek.

Żółta cera i zapadnięte policzki świadczyły o tym, że młody pastor z taką samą nonszalancją, jak ubiór, traktuje również odżywianie.

W dodatku binokle duchownego były rozpaczliwie przechylone w dół z prawej strony, a mężczyzna poprawiał ich druciki z maniakalną częstotliwością.

Ignaz, uważnie taksując wygląd Georga i wysnuwając z niego wnioski co do cech charakterologicznych współpasażera, nie mógł jednak nie zwrócić uwagi na jego oczy. Były dziecięce i naiwnie dobre. Class z życzliwością patrzył na rozmówców, wyraźnie cieszyła go perspektywa, krótkiej co prawda, podróży w towarzystwie obu mężczyzn.

Tymczasem Braun zwrócił się do von Macha głosem tak słodkim, na jaki tylko potrafił się zdobyć:

— Drogi Sigmundzie, wieczór taki ciepły, w pociągu odczuwa się temperaturę z zewnątrz, czy z łaski swojej mógłbyś przynieść nam z wagonu restauracyjnego po szklaneczce lemoniady? Byłbym wielce zobowiązany.

— Tak jest! — nieco bardziej ochoczo, niż wypadało, von Mach zerwał się na równe nogi i już po chwili w przedziale siedzieli tylko inspektor i pastor.

— Jak miewa się pańska praca doktorska? — z życzliwością zapytał Ignaz.

— Bogu dzięki, dzieło posuwa się do przodu. Seminarium u profesora Wessela jest prawdziwym wyzwaniem, ogrom źródeł, precyzja, dbałość o stronę techniczną, rozumie pan, ale też satysfakcja, jeśli uda mi się zdobyć tytuł, będzie nieporównanie większa, niż gdybym był uczniem jakiegoś podrzędnego teologa, który stara się bez zbytej pasji dotrwać do emerytury.

Ignaz zgodził się z takim podejściem. Zapytał Georga o temat pracy. Pastor wyjaśnił, że od najmłodszych lat interesował go *Stary Testament*. *Pierwsza Księga Machabejska* była tym, co zafrapowało go szczególnie. Walka, powstanie, ziemską stronę istnienia Izraela, w doskonałej koegzystencji z planami Bożymi, oto, co miało stać się jego życiową pasją. I stało się, a profesor Wessel, mimo zewnętrznej oschłości, prezentowanej dla celów pedagogicznych, wyraźnie cenił młodego zapaleńca, czego dowody dawał Georgowi niejednokrotnie. Wymagając przy tym w dwójnasób.

— Jeszcze jakieś pół roku i wrócę do Wejherowa z tytułem doktora teologii, przynajmniej mam taką nadzieję — rozmarzył się duchowny.

— Zaiste, wspaniała wiadomość. Mam jednak do pana parę pytań dotyczących kwestii znacznie mniej przyjemnej i przykro mi, że brutalnie zmieniam temat.

— Ależ ja jestem przygotowany na rozmowę z panem komisarzem — pastor ze zrozumieniem pokiwał głową. — Przecież już wtedy, gdy starałem się u komisarza Renscha o zgodę na opuszczenie miasta mimo wcześniejszego wyraźnego zakazu, pan Rüdiger zapewnił mnie, że przesłuchanie i tak jest nieuniknione. Dlaczego zresztą miałbym być traktowany inaczej niż wszyscy?

— Nawet pan nie wie, pastorze, jak raduje mnie takie podejście — szczerze ucieszył się Braun. — Ileż razy musiałem tłumaczyć rozmaitym osobom, także niestety w Wejherowie, że rozmowa z nimi jest konieczna.

— Na mnie może pan liczyć — z mocą zapewnił Class.

— Doskonale, może mi pan w takim razie na początku powiedzieć, bo sądzę, że rozmowę moglibyśmy zacząć już teraz...

Ignaz nie dokończył. W drzwiach stanął bowiem Brunon Sychowski we własnej osobie.

— Ojczy! — z piersi policjanta wydarł się okrzyk zdumienia.

— A ja, drogi zięciu! Dla człowieka, który pracuje na kolei żelaznej, świat jest mały!

Tubalnemu głosowi pana Sychowskiego towarzyszyło wzięcie Ignaza w żelazne kleszcze ramion.

— Skąd ojciec wiedział, że jadę tym pociągiem?

— Oczywiście, że nie wiedziałem! Wsiadłem po prostu, jak Pan Bóg przykazał, na stacji w Chyloni, gdzie miałem pewne służbowe zadanie — Sychowski dumnie wyprężył pierś. — Idę do służbowego przedziału, rozglądam się, a tu mąż mojej szalonej córki, bo czy rozsądna młoda kobieta wyszłaby za policjanta?

Śmiech naczelnika stacji w Lęborku poprzedził ponowne uściśnięcie berlińskiego inspektora. Zaraz jednak pan Brunon spojrział na stojącego w pokornej postawie pastora, a raczej obrzucił nieufnym spojrzeniem jego wyświechtane ubranie.

— Pan jest pastorem! — wskazujący palec niemal wbił się w pierś speszonego Classa. — Czy towarzyszy pan w podróży mojemu zięciowi?!

— Owszem. Bardzo mi miło...

— Ja myślę! Przy okazji, młody człowieku: rozmawia pan z nadzieją cesarskiej policji, niech pan ma to na uwadze, kiedy będzie pan odpowiadał na pytania mojego zięcia!

Class speszył się, ale pan Sychowski zaśmiał się głośno.

— Żartowałem! Niech pan nie martwi się, jakby trafił na katolickie nabożeństwo. Dobrze powiedziałem?!

— W rzeczy samej — pospieszył z odpowiedzią Ignaz. — Mój szanowny teść lubi żartować...

— No tak. Żarty żartami, a ja tymczasem chciałbym spytać, czy już schwyciłeś tego łotra, który zabił biednego Theodora? Znałem pocziwca,

bardzo porządny człowiek.

— Śledztwo trwa, ojcze.

— Jeszcze trwa? Może brak ci towarzystwa mojej córki? Zawsze powtarzam, że kobieta pod bokiem dodaje policjantowi motywacji. Pamiętasz sprawę „Lisicy znad Szprewy”? Bernadeta doglądała cię wtedy, przynosiła ci ciepłe posiłki i prosię, śledztwo zakończyło się w cztery dni!

— Lisica była konwencjonalną morderczynią, która zostawiła mnóstwo śladów. Chociaż pozostaje faktem, że dzięki żonie było mi znacznie przyjemniej pracować.

— Otóż to! — krzyknął ojciec Bernadety. — A pan, młody człowieku? — wskazujący palec Sychowskiego znów celował w pastora. — Czy pan ma żonę?

— Jeszcze nie — wyszeptał Georg i posmutniał. — Bóg nie zdarzył.

— Na Boga należy liczyć, ale nie należy zapominać o własnej inicjatywie. Ja o moją Martę zabiegałem całe cztery lata. Uwierzycie, że bała się mnie jak diabła? Podobno byłem wybuchowy! Dacie wiarę?! Ja!

Pan Brunon wyprostował się, wziął pod boki i zaśmiał najgłośniej, jak tylko potrafił. W tym momencie do przedziału powrócił Sigmund i, zobaczywszy Sychowskiego, którego akurat tutaj nie spodziewał się ujrzeć, a którego opinii bał się, ponieważ podczas ich jedyne spotkanie w Berlinie został określony przez zasadniczego naczelnika stacji kolei żelaznej mianem fircyka, odruchowo cofnął się o krok. Pan Brunon kątem oka dojrzał von Macha i zanim ten zdążył uciec, poklepał młodzieńca po plecach, przypominając sobie ze śmiechem, że wyraził kiedyś niepochlebłą opinię o jego cechach charakterologicznych.

— Niech pan nie ma do mnie żalu, młody człowieku, u mnie, co w sercu, to i na języku. Ale nie życzę ludziom źle.

— Nie, nie, skądże, jakbym śmiał, pan naczelnik miał trochę racji.

— Nie przejmuj się pan, ludzie się zmieniają, pan już na pewno dojrzał, z pewnością pana kręgosłup moralny okrzepł i jest już kręgosłupem poważnego człowieka!

Ignaz tylko czekał na taką okazję i nagle ogarnął go gwałtowny atak kaszlu. Sigmund zrobił się mniejszy o dobrych kilka centymetrów. Jednak Braun zlitował się nad nim i poprosił speszonego młodzieńca o przyniesienie jeszcze jednej lemoniady, tymczasem swoją oddał teściowi, drugą wręczając pastorowi.

— Szkoda, zięciu — pokręcił głową Sychowski — chciałem sobie uciąć pogawędkę z tym młodym człowiekiem. Czy on także podróżuje w twoim towarzystwie?

— Tak, ojcze.

— Ale chyba nie jest o nic podejrzany?

— Nie ma na przegubach dłoni kajdanek — wykręcił się Braun.

— Rzeczywiście. Bo widzisz, ktoś, kto znajduje się w twoim towarzystwie, a nie należy do naszej rodziny, w moich oczach od razu nabiera cech przestępcy.

Na te słowa pastor uśmiechnął się, zdążył już bowiem nabrać do Sychowskiego sympatii, być może na zasadzie absolutnego przeciwieństwa. Pan Brunon obrócił się do Classa.

— Pastorze, jest pan z Wejherowa?

— Owszem. I, tak jak pan, znałem Theodora Pracza.

Oczy starszego mężczyzny rozbłysły gniewem.

— Staraj się, mój zięciu! W przeciwnym razie sam wezmę się za śledztwo! Masz już jakieś podejrzenia?

— Ojcze, nie mogę wyjawić nic ponad...

— Tak, wiem, tajemnica śledztwa, a niech to diabli! Powiedz mi przynajmniej, czy są jakieś widoki na zwycięstwo prawa? Bo widzisz, bardzo lubię, gdy prawo i sprawiedliwość triumfuje!

— Ja również — uśmiechnął się Ignaz. — Nie obawiaj się. Skoro nadkomisarz von Marburg zdał się na mnie, proszę cię o pójście w jego ślady!

— Skoro tak, już milczę!

Zachowanie milczenia nie było jednak najmocniejszą stroną pana Brunona. Zaczął wspominać fotografa, powiedział nawet z rozrzewnieniem, że przed laty, kiedy Bernadeta była jeszcze dzieckiem, poszli we trójkę do starego (choć wtedy jeszcze nieco młodszego) Theodora. Marta i Bernadeta zachowywały się nieco chaotycznie podczas pozowania do fotografii, a i on, przyznaje ze skruchą, nie był bez winy. Artysta wykazał się anielską cierpliwością, ale też zadziwił Sychowskiego podziwu godną spostrzegawczością.

— Kiedy dostrzegł na sukience Bernadety niebieską nitkę, a miał już wtedy na głowie tę komiczną czarną płachtę i patrzył w obiektyw, a przecież widzi się wtedy postaci do góry nogami, wrócił do mojej córki i zdjął tę nitkę! Co za oko!

— Zdumiewające — przytaknął Ignaz.

— Właśnie, a to jeszcze nie koniec!

— Nie koniec! — powtórzył Braun.

— Otóż moją żonę, kobiety są takie niecierpliwe, wiesz coś o tym, zaboląła ręka, czy raczej zdrętwiała, wszystko jedno, w każdym razie inaczej, ale dosłownie o centymetr, ułożyła dłoń. Stary Theodor znowu wychylił się spod płachty i zażądał powrotu dłoni do poprzedniego stanu! Bardzo profesjonalny człowiek, miał swoją wizję zdjęcia i trzymał się jej uparcie, a najmniejsze niedociągnięcie zauważył od razu!

Młody pastor wyraźnie zainteresował się opowieścią pana Brunona. Jego czoło zmarszczyło się, wreszcie odważył się odezwać i przywołał podobną sytuację, kiedy nie tak dawno wraz z ojcem pozował do fotografii zalecanej przez władze kościelne. Inspektor udał, że informacje te nie zrobiły na nim zbytniego wrażenia i skierował rozmowę na widoki za oknem przedziału.

A wieczór był nad wyraz urokliwy. W zachodzącym słońcu pradolina Redy nabierała tajemniczości, a znad rzeczki mającej w dole unosiły się pierwsze wieczorne mgiełki. Powietrze przestawało być przezroczyste, kontury drzew wprawdzie wyostrzały się, ciemniejąc na tle nieba, ale i one zdawały się nierzeczywiste, zupełnie jakby namalowane zostały przez jakiegoś nowomodnego paryskiego malarza.

— Ładnie tu — odezwał się Sigmund, który chwilę wcześniej przyniósł trzecią szklankę cytrynowej lemoniady i z podziwu godną usłużnością podał ją Ignazowi.

— Bardzo ładnie! — wykrzyknął Sychowski. — Gdybyś, młody człowieku, właściwie rozpoznał swoje powołanie i zatrudnił się na jakimś godnym stanowisku w kolejnictwie, doświadczałbyś takich widoków prawie dzień w dzień. Tylko nie mów, że nie mam racji!

— Ojcie, nie każdy może być tak oddany swojej pasji, jak ty — wtrącił Ignaz. — Pan von Mach, zaręczam ci z całym przekonaniem, ma rozliczne talenty i radzi sobie w ich szlifowaniu z podziwu godną błyskotliwością. Ostatnio...

Mówiąc to, Braun słodko, z miną ufnej pensjonarki, spojrzął w oczy Sigmunda, ten zaś, panicznie obawiając się kontynuowania tematu i nie zważając na zasady dobrego wychowania, przerwał Ignazowi w pół słowa i zapytał Georga o pracę naukową. Pastor ożywił się ponownie i zaczął powtarzać wszystko, co już wcześniej usłyszał Ignaz. Dla inspektora

natomiast kwadrans, który dzielił całą trójkę od przyjazdu do Wejherowa, z punktu widzenia przesłuchania Classa i von Macha wydawał się stracony. W ogóle Braun nie był zadowolony z dnia, który mijał. Krótko rozmawiał z Sigmundem sam na sam, a spotkanie pastora, jakże przypadkowe, nie mogło decydować o postępie śledztwa.

Kilka informacji ucieszyło berlińskiego policjanta, ale zdawał sobie sprawę, że zdobyłby je prędzej niż później. Gdyby nie wiedza, o którą stał się bogatszy w siedzibie gdańskiej policji... Dobrze i to, pomyślał.

Tymczasem młodzi mężczyźni zajęci byli ożywioną rozmową. Duchowny zadowolony był, że ktoś zainteresowany jest jego doktoratem, a Sigmund udawał, że nie dostrzega Brauna. Wiedział, że najgorsze dopiero przed nim, ale, co było bardzo ludzkie, odwlec chciał te uciążliwości choćby do następnego ranka.

— Nie wiesz oczywiście, kiedy wrócisz do Berlina? — retorycznie zapytał zięcia pan Brunon.

— W istocie, nie wiem, choć przyznać muszę, że termin wyjazdu z Wejherowa zależy w dużej mierze ode mnie.

Teść zaśmiał się tubalnie, zaraz jednak ściszył głos.

— Musisz najpierw wykryć sprawcę.

— Ojcze, wyjdźmy przed przedział.

Sychowskiemu nie trzeba było dwa razy powtarzać. Kilka razy zdarzyło się, że zięć powiedział mu nieco za dużo i nie żałował tego postępu, o którym za żadne skarby świata nie mógł się dowiedzieć nadkomisarz von Marburg.

— Widzisz, ojcze, mam do czynienia z bardzo trudnym przypadkiem.

— Nie żartuj!

— Jestem śmiertelnie poważny. Ileż razy stawała mi na przeszkodzie misterna, skomplikowana intryga, jakieś kłębowa powiązań, które

należało rozsypać! Przy moim talencie zawsze się udawało — Ignaz skromnie spuścił głowę. — Zawsze był też motyw. Prawda, z początku zakryty, ale od czego jest głowa? Od myślenia. Tak zawsze mówił pewien stary posterunkowy z Placu Poczdamskiego, który zjadł zęby na ściganiu kieszonkowców.

Uśmiech, który początkowo zagościł na twarzy naczelnika lęborskiej stacji, ustąpił miejsca marsowemu ściągnięciu brwi.

— I ty właśnie nie masz motywu, mimo upływającego czasu.

— Żadnego. Mam bardzo silne podstawy do przypuszczenia, że sprawca zbrodni obecny był na wieczorze, który odwiedził fotograf. Mniejsza o szczegóły. I nic. Żadnego punktu zaczepienia, żadnej ważnej przyczyny, dla której ktoś odważyłby się na dokonanie morderstwa.

Ale przecież ludzie, którzy byli tam wtedy, nie są białymi tablicami. Mają swoje życie, szczęśliwe lub nie, co więcej — łączą ich nici sympatii i antypatii, taki stan jest zresztą całkiem naturalny. Sychowski nie dawał za wygraną, ale podpowiadał Ignazowi takie wątki, które wcześniej były już rozpatrywane.

— Ojcie, twoje uwagi są cenne, ale przecież ja o tym wszystkim już myślałem, bez urazy. Ni stąd, ni zowąd, bo motywu nie znamy, ginie człowiek.

— Czy przesłuchałeś już wszystkich?

— Usiłowałem wziąć się za Sigmunda, ale dotychczas nie miałem okazji. Także młody pastor jest jeszcze przed przesłuchaniem. A jutro mam spotkanie z niejakimi Schrederami.

Braun zwięźle przedstawił teściowi sylwetki adwokata i jego żony. Pan Brunon słuchał niezbyt uważnie, zdając sobie sprawę, że z paru słów dotyczących dwojga ludzi nie wysnuje żadnych wniosków. Położył ciężką dłoń na ramieniu inspektora.

— Zięciu, wierzę w ciebie tak samo, jak w potęgę cesarskiej kolei żelaznej.

Uroczyste wyznanie zrobiło na Braunie wielkie wrażenie, nigdy wcześniej nie dostąpił ze strony teścia równie wielkiego zaszczytu.

— Nie zawiodę cię — powiedział z namaszczeniem.

— I nadkomisarza, i mojej szalonej, a nieposłusznej córki — dokończył Sychowski i zaśmiał się.

Ignaz sięgnął po papierośnicę i zamierzał poczęstować teścia papierosem, ten jednak, zdecydowanie preferując cygara, odmówił.

— Zięciu — mężczyzna nieznacznie się ożywił. — Przyszło mi do głowy coś zastanawiającego.

— Tak...?

Kto pobieżnie znał pasjonata kolei żelaznej, byłby zdziwiony przemianą, jaka się w nim dokonała. Tubalny głos, nieco rubaszne maniery, pewność siebie i wiara w postęp technologiczny — oto jak każdy przygodny rozmówca scharakteryzowałby najważniejsze cechy właściwe panu Brunonowi. Ale Ignaz, który z teściem przegadał niejedną długą wieczór i widywał go w rozmaitych sytuacjach, bez zdziwienia, za to z wielką uwagą przypatrywał się teraz ojcu Bernadety.

Sychowski pochylił się do przodu, jego oczy pod krzaczastymi brwiami zabłysły niczym drapieżnikowi na widok ofiary, a żyły na skroni pulsowały regularnie. Tylko idealnie łysa czaszka była nieruchoma, ale już wąż przesuwiał się co raz w lewo lub prawo, jak u żbika wężącego zapach kuropatwy.

— Nie dalej jak wczoraj pokazywałem znajomemu fragmenty mojej ukochanej kolekcji widokówek.

— Jest doprawdy wspaniała — szepnął Ignaz.

— I przyszło mi do głowy, kiedy tak patrzyliśmy na te wszystkie dworce, ratusze, przypadkowo uwiecznione ludzkie postacie...

— ?

— Że każda taka fotografia kryje jakąś historię. Historię architekta, robotników, kolejarzy, ale też pań idących z dużymi kosztami na targ, młodego cyklisty, który spieszy dokądś i zaraz zniknie za rogiem kamienicy.

Ignaz zapalił jeszcze jednego papierosa. Pociąg dojeżdżał do stacji Wejherowo.



Czym jest prowincjonalizm, czym jest smak

Braun obudził się wypoczęty, mimo trudów dnia poprzedniego. Starannie złożył w kostkę koszulę nocną, skorzystał ze świeżej wody, którą nieco wcześniej przyniósł chłopiec hotelowy Wilhelm, i naostrzywszy o stary pasek cokolwiek tępą po goleniu brzytwę, przypiął świeże mankiety do koszuli. Nie zapomniał również o doborze odpowiedniego kołnierzyka, nie biorąc pod uwagę taniego, plastikowego, otrzymanego od kolegów z Wydziału IV z okazji ostatnich urodzin. Przed spotkaniem z takimi osobami musiał zadbać o odpowiedni dobór garderoby.

Zszedł na śniadanie lekkim krokiem, który był w pewnym stopniu pozą, w pewnym zaś oznaką wewnętrznego przekonania, że klucz do tajemniczej układanki znajduje się zapewne tuż za drzwiami, na wyciągnięcie ręki. Trzeba jedynie zdjąć z oczu opaskę, a także odgadnąć, które to drzwi.

Nie zdziwił się, kiedy do jego stolika, zanim jeszcze kelner przyniósł śniadanie, podszedł niezawodny Alsleben.

— Najmocniej przepraszam, panie inspektorze — hotelarz ukłonił się, tak jak przed laty i ostatnio, z wyszukaną galanterią. — Nie zamierzam

pytać o wyniki śledztwa, chciałbym jedynie dowiedzieć się, czy nie ma pan inspektor jakichś specjalnych życzeń. Mój personel i ja jesteśmy nieustająco do usług.

— Przykro mi, proszę pana — odparł Ignaz, równocześnie gestem zapraszając hotelarza do zajęcia miejsca przy stoliku. — Nie wyciągnie pan ode mnie żadnych informacji.

— Ależ... — Alsleben ochoczo skorzystał z zaproszenia i usiadł.

— Natomiast, gdyby był pan tak miły i polecił przynieść do mojego pokoju, powiedzmy za pół godziny, butelkę eleganckiego koniaku, może być hennessy, oraz kilkanaście tych pysznych pasztecików, którymi uraczył mnie pan dwa dni temu. Zależy mi na oprawie wytwornej, a jednocześnie sympatycznej.

— Oczywiście — radość na twarzy hotelarza była najzupełniej szczerą. — Na ile osób przygotować serwis do kawy, domyślam się bowiem, że przyjmie pan gości?

— Dla trzech. Prosiłbym o Miśnię lub coś podobnego. I kawa, ma się rozumieć, powinna być etiopska.

— Właśnie o takiej pomyślałem.

— Widzi pan, odwiedzą mnie państwo Schrederowie, oni mają bardzo snobistyczne upodobania, co prawda i ja nie jestem od nich całkiem wolny. Chciałbym przyjąć ich tak, żeby wzbudzić zaufanie tej pary. Lepiej się wtedy rozmawia.

— Pojmuję wybornie — Alsleben konfidencjonalnie zniżył głos i czekał z nadzieją na dalsze szczegóły. Nie doczekawszy się ich, nastąpiła bowiem chwila kłopotliwego milczenia, podziękował Ignazowi za towarzystwo i zakomunikował, że idzie wydać stosowne dyspozycje.

Kiedy Braun został sam, zaraz pojawił się kelner z tacą. Na stół przywędrowało jajko na miękko, nieodzowny element śniadania

berlińskiego inspektora, szynka z cienkim plastrem tłuszczu, żółty ser i pachnąca kawa z gęstą śmietanką. Rogaliki zaś przyrumienione były jak należy i obsypane makiem. Na widok porannej rozkoszy Ignaz uśmiechnął się sam do siebie, starannie zawiązał pod szyją białą serwetę i zabrał się do jedzenia.

Po parunastu minutach skinął na kelnera i poprosił jeszcze o niewielki spodeczek konfitur.

Pokój pachniał świeżością. Braun, przed wyjściem na śniadanie, otworzył szeroko okno, równocześnie zapach krochmalonej pościeli (przybysz z Berlina każdej nocy musiał mieć świeżo krochmaloną pościel) nadal unosił się w powietrzu, łącząc się z zapachami lata w osobliwie miły sposób.

Gospodarz spojrzął w lustro, poprawił krawat i pomyślał, że goście z pewnością spóźnią się dobry kwadrans.

Schrederowie pojawili się punktualnie. Progi pokoju najpierw przekroczyła pani Antoinette, przystrojona w wielki, lecz zwiewny szal. Za nią cichym krokiem wszedł Ernest. Oboje skłonili się Braunowi z należytą kurtuazją i, otrzymawszy zaproszenie, usiedli.

Dzwonek na służbę, uruchomiony przez Ignaza, spowodował niemal natychmiastowe pojawienie się najlepszego z kelnerów pracujących w „Königlicher Hof”, który postawił przed trojgiem osób serwis i butelkę koniaku. Napełnił dwa kieliszki, trzecim natomiast, przeznaczonym dla pani Antoinette, zajął się sam Braun, przygotowawszy uprzednio kryształową karafkę zawierającą mocne i aromatyczne porto. Po chwili kelner wrócił z tacą pełną pasztecików.

— Co jak co, ale służbę mają tutaj wyćwiczoną — zauważył Schreder, gdy zostali sami. — Nie można narzekać. Prawie, jak w naszej Kolonii.

Polot i lekkość poruszania się pozostawia wprawdzie cokolwiek do życzenia, ale, jak na Wejherowo, jest całkiem niezłe.

— Erneście — zaoponowała żona — zawsze znajdujesz drobne uchybienia, nie wypada. Przecież wszyscy widzimy, że tu nie Paryż.

— Zauważą jednak państwo, że przed przyjazdem, idę o zakład, nie spodziewali się znaleźć tutaj tak profesjonalnej i dyskretnej obsługi?

Małżonkowie spojrzeli na siebie, jakby próbowali uzgodnić wspólną wersję w tak błahej kwestii.

— Jesteśmy zadowoleni z tutejszych standardów. Może nam pan jednak powiedzieć, inspektorze, dlaczego ten komisarz, i pan oczywiście, wydaliście zakaz opuszczania Wejherowa wszystkim, którzy widzieli u pani Neiss tego człowieka, którego potem zamordowano? Jako adwokat, stykam się z różnymi sytuacjami, byłbym nawet gotów zrozumieć powody takiego obostrzenia, ale w naszym przypadku?

— Rozumiem pana rozgoryczenie, łaskawy panie, niemniej, właśnie jako adwokat, powinien pan rozumieć, że istnieje stan wyższej konieczności, kiedy obywatel nie może stawiać się przed innymi i zwłaszcza ponad prawem.

Ernest Schreder zrobił nadąsaną minę. On właśnie zamierzał postawić siebie i swoją żonę ponad prawem, tymczasem ten oto policjant, cóż, że znany i mający pewne sukcesy, przypomina jemu, mecenasowi Schrederowi, o równości wobec prawa. Niesłychane!

— Nie chciałbym być niegrzeczny, inspektorze, ale czy nie nazbyt pochopnie stawia pan znak równości między osobami o dość mizernej kondycji społecznej, które zanurzone są w tutejszym światku i mogły mieć dziesiątki powodów, aby zabić tego nieszczęśnika, a nami, którzy przyjechaliśmy tutaj na parę lub paręnaście dni i spokojnie stąd

odjedziemy; a pana Pratza widzieliśmy, przecież nie jest to dla pana tajemnicą, tamtego wieczoru po raz pierwszy i ostatni?

Kieliszek w dłoni Brauna napełniony był do połowy. Inspektor spojrział na niego i delikatnie zmoczył usta, po czym ziewnął.

— Daruje pan, mecenasie. Theodora Pratza widziało wtedy po raz pierwszy kilka innych osób. Nie w tym jednak rzecz. Pan jest idealnym przykładem liberała, jakich setki zrodziły początki cesarstwa.

— Nie rozumiem...

— Otóż klasa średnia, która w lwiej części popierała kanclerza Bismarcka i dzięki której powstała obecna forma monarchii, kształtująca z kolei świadomość owej grupy, przypisuje sobie pewien irytujący aksjomat nieomyślności. Pan i ludzie panu podobni są szermierzami dojrzałej świadomości, tolerancji i postępu, natomiast kiedy przychodzi do odpowiedzialności za własne czyny, znika gdzieś demokracja i otwartość. Nagle okazuje się, że potraficie przemawiać, ale nie nauczyliście się słuchać. Wygłaszacie bardzo mądre tezy, ale was samych już nie dotyczy równość wobec prawa, tolerancja i tak dalej. Okazujecie na łamach waszych dzienników pogardę dla prostych ludzi. Nie ma tolerancji dla wrogów tolerancji, czyż nie tak? A kanony i zakres norm ustalacie wy sami. Skąd mandat, kto wam go dał?

— Chce pan mnie obrazić? Dalsza rozmowa nie ma sensu. Antoinette, podziękujemy panu inspektorowi za towarzystwo, prawda?

Wypowiedziawszy ostatnie słowa, Schreder niespiesznie wstał, patrząc znacząco na żonę. Kobieta jednak, zasłuchana i zaintrygowana, nawet nie zauważyła zachowania męża.

— Antoinette — z naciskiem powtórzył adwokat.

— Proszę się nie irytować — pojednawczo odparł Braun. — Byłem świadkiem pana dyskusji z pastorem Classem. Pańskie rozdrażnienie

potwierdza tylko moje zdanie: nie można stosować podwójnych standardów. Skoro pan używał o wiele mocniejszych argumentów i słów w stosunku do pastora, skądinąd porywczego, powinien pan przyjąć za nieuniknione, że spotyka pana drobna nieprzyjemność w postaci podobnych argumentów. Widzi pan, ja lubię dyskutować. Miałem wrażenie, a właściwie pewność, że pan również. Proszę przyjąć moją rękawicę i spróbować porozmawiać ze mną otwarcie, jak mężczyzna z mężczyzną, nie narażając przy tym uszu szanownej małżonki na zgorszenie. Ze swej strony obiecuję, że będę trzymał na wodzy mój temperament, a, jak twierdzą koledzy z Wydziału Zabójstw, posiadam takowy.

Schreder odchrząknął. Był zdezorientowany.

— Dalejże, w końcu jest pan adwokatem. Sądzę, że chociażby z nawyku zawodowego powinien pan skorzystać z mojej propozycji.

Nie było innego wyjścia. Mecenas postanowił zachować się jak na sali sądowej. Przycisnął się w fotelu, przybrał maskę życzliwej obojętności i delikatnie stuknął swoim kieliszkiem o kieliszek Brauna. Pani Antoinette odetchnęła z ulgą.

Paszteciki, wyglądające szalenie apetycznie, spełniły swoje zadanie, to znaczy powędrowały do ust osób obecnych w pokoju. Milczenie, spowodowane degustacją, nie było kłopotliwe, raczej rozładowało napiętą dotąd atmosferę.

— Ostrzegam pana, nie będę łatwym rozmówcą — ozwał się Schreder, kiedy już przełknął ostatni kęs trzeciego pasztecika.

— Spraw mi pan największą przyjemność, będąc sobą — skłonił się Ignaz. — A i do łaskawej pani będę miał kilka pytań. Kobiety ze swej natury są osobami spostrzegawczymi, przy tym potrafią dostrzec detale, które dla mężczyzn są nieistotne.

Pani Antoinette uśmiechnęła się do inspektora, szczęściem mąż nie zauważył zadowolenia na jej twarzy.

— Zaczniemy więc od najprostszej rzeczy i niejako od końca: wyszli państwo z wieczoru razem z panem Hamarenem.

— Owszem — sucho potwierdził Schreder.

— Kiedy się państwo z nim rozstali?

— W hotelu, mniej więcej kwadrans po opuszczeniu domu pani Neiss.

— O czym państwo rozmawiali podczas drogi powrotnej?

— Może ja opowiem — wyrwała się pani Antoinette. — Mąż prawie nic nie mówił.

— Ale wiem, czego dotyczyła rozmowa — adwokat nie dał za wygraną.

— Bardzo proszę, może państwo się zdecydują — Braun wyglądał na nieco rozbawionego i właśnie sięgnął po kolejnego pasztecika.

— Moja żona zasypywała tego śmiesznego Norwega pytaniami o najnowsze trendy w sztuce — Schreder nie potrafił ukryć irytacji, mimo założonego wcześniej stoicyzmu. — On zaś odpowiadał chętnie, zawsze w nawiązaniu do swojej twórczości, z której jest niesłychanie dumny.

— Tak — potwierdziła kobieta i poprawiła włosy. — Pan Hamaren pisze dramaty, maluje i właśnie kończy symfonię.

— Owszem, z tym że kończy ją już od kilku lat, o czym był uprzejmy poinformować nas godzinę wcześniej. Może nie słyszałaś?

— Widocznie stawia sobie wielkie wymagania — zauważył Braun. — Cóż, artysta. I później nie opuszczali już państwo swojego pokoju?

— Pokoi. My wynajmujemy pokoje — uściślił adwokat.

— Przepraszam. W takim razie, zdaniem państwa, pan Hamaren również udał się do siebie?

— Tak.

— I wróćę do momentu wcześniejszego. Czy państwa zdaniem podczas wieczoru u pani Neiss cokolwiek wskazywało, że nieco później może się wydarzyć tragedia?

— Co ma pan na myśli? — zdziwił się Schreder. — Oczywiście, że nie. Wyszliśmy z przeświadczeniem, że wieczór, choć nie wyróżniał się niczym spośród dziesiątek takich samych prowincjonalnych wieczorów, był stosunkowo udany.

Pani Antoinette delikatnie chrząknęła. Kiedy jej mąż nie zareagował, chrząknęła bardziej znacząco. Braun spojrzeniem zachęcił ją do mówienia.

— Mój mężu, daruj, ale ty zajęty byłeś niemal cały czas dyskusją z tym dzikim pastorem, ja natomiast miałam okazję do poczynienia pewnych obserwacji.

— Doprawdy? — adwokat z niedowierzaniem spojrzał na żonę.

— Tak. I muszę powiedzieć, że, mimo braku gustu u większości tych osób, ich zachowanie było nader interesujące.

— Doprawdy? — powtórzył adwokat.

— Otóż cały wieczór jawił mi się jako kombinacja rozmaitych współzależności uczuciowych. Georg, syn pastora, jak cielę wpatrzony był w głupiutką i złośliwą Elzę Neiss, ona z kolei słała ukradkowe spojrzenia temu antypatycznemu Ottonowi Meinhardowi. On okazywał jej zainteresowanie, ale w taki sposób, w jaki tygrys interesuje się krową. Typ brutala, nieco wykreowany.

— Ma pani wielki dar spostrzegawczości — szepnął Ignaz, na co mąż kobiety uśmiechnął się z politowaniem.

— Dziękuję. Sigmund von Mach wdzięcznył się jak jakaś małpka hodowana w ogrodzie zoologicznym do Eleonory Gephard, która wydała mi się istotą rozsądną i nawet sympatyczną, ona zaś bawiła się nim, ale w sympatyczny sposób. Nie pasują do siebie, ale będzie z nich para, czuję

to. Była jeszcze panna Dangel, która, pomimo swoich zaściankowych poglądów, rzucała oczami całkiem diabelskie błyski młodemu pastrowi. Georg nie zauważa jej zainteresowania, szkoda, mogliby razem klęczeć godzinami w kościele.

Ignaz zastanowił się nad sprzecznością między zwiewnością postaci pani Antoinette a jej ostrym, momentami plebejskim językiem. Znalazł wreszcie odpowiedź: „Właśnie, Francuzka...”.

— I co wynika z tych wszystkich konfiguracji według pani? Gdzie tu miejsce na zabójstwo?

— Panie inspektorze, moja żona zapędziła się nieco w ocenach gości pani Neiss — wtrącił adwokat. — Oczywiście jest, że w każdej grupie osób panują pewne stosunki. Antoinette jest może nieco przytłoczona prowincjonalną atmosferą. Zresztą tym ludziom rzeczywiście brakuje smaku, co w pewnych momentach staje się aż nazbyt widoczne.

— Wcale nie — zaperzyła się kobieta. — Moje obserwacje są całkiem obiektywne, a tutejszy, że tak powiem, styl nie ma tu nic do rzeczy.

Żeby udokumentować słuszność swojej wypowiedzi, pani Schreder wychyliła duszkiem połowę zawartości kieliszka i wyzywającym ruchem podała puste już naczynie mężowi, aby ten je napełnił.

— A jaka była przyczyna państwa przyjazdu do Wejherowa? Muszą się państwo straszliwie męczyć w tak ocenianym przez siebie środowisku.

— Przybyliśmy tutaj na osobistą prośbę hrabiego Henryka von Keyserlingka — z dumą odpowiedział adwokat. — Pan hrabia jest moim starym znajomym.

— I?

— Sporządza właśnie zapis spadkowy. Nie, żeby czuł się niedobrze, ale, rozumie pan, każdy, kto ma pewien majątek i określoną pozycję społeczną, musi kiedyś dokonać koniecznych formalności.

— Oczywiście.

— Henryk von Keyserlingk oczywiście skorzysta z usług tutejszego notariusza, pana Nowoczyna. Niemniej notariusz jest jedynie zleceniobiorcą, a wszelkie poważne porady są domeną wytrawnego prawnika, jakim niewątpliwie jestem ja.

— Mieszkają jednak państwo w hotelu. Czy tak powinna wyglądać gościna?

— Pan hrabia zaoferował nam pobyt w pałacu, ale mój mąż uznał, że nie należy nadużywać gościnności.

— Ponieważ Keyserlingkowie mają swoje życie, a ja mam z kolei moją dumę. Rozumie pan, inspektorze, jak wyglądałby pobyt na czymś garnuszkę? — wyrzucił z siebie Ernest Schreder.

Braun pomyślał, że adwokat jest w gruncie rzeczy człowiekiem zakompleksionym i wszelkie formy zależności od kogoś o wyższej pozycji społecznej sprawiają, że jego ranga (w subiektywnym mniemaniu) ulega obniżeniu. Kompleks zwyciężył ze snobizmem.

— Natomiast wynagrodzenie jest na tyle uczciwe, że pobyt w Wejherowie jest dla mnie intratny i traktuję go czysto zawodowo. Przyjaźń i interesy są jednak czymś osobnym.

— Doceniam pana profesjonalne podejście do tematu — pokiwał głową Ignaz. — Gdyby teraz chcieliby państwo zabawić się w detektywów i przeanalizować, kto z uczestników spotkania mógł mieć powód, aby zamordować Theodora Pratza, byłbym nieopisanie zobowiązany.

Śmiech adwokata, w odpowiedzi na pytanie, był szczery.

— Panie inspektorze, źle pan trafił!

— Dlaczego?

— Jestem adwokatem — znacząco powiedział Schreder. — Całe życie starałem się bronić moich klientów przed rozmaitymi zarzutami.

Oskarżanie nie jest moją specjalnością.

— Ale przecież — zauważyła pani Antoinette — musiałeś rozmawiać szczerze z oskarżonymi i z pewnością niejeden z nich w przypływie rozpacz, albo chociaż z wyrachowania, musiał przyznać się, że w istocie jest sprawcą czegoś złego. Znasz rozmaite motywy kierujące ludźmi. Nawet nie wiesz, jak ciekawi mnie twoja opinia...

Ostatnie słowa kobieta wypowiedziała przymilnie, niemal zalotnie, co wprawiło Schredera w jeszcze lepszy nastrój.

— Łaskawa pani wyjęła mi z ust ten argument — ucieszył się Ignaz i nalał kobiecie kolejny kieliszek gęstej, rubinowej nalewki.

— Jesteście niemożliwi, moja żona i pan, inspektorze. — Adwokat, który wcześniej obawiał się groźniejszych pytań i podejrzenia o zabójstwo, teraz wydawał się całkowicie rozluźniony i gotów był przyjąć wyzwanie do intelektualnej zabawy.

Lars Hamaren, według Schredera, był klasycznym typem psychopaty, żyjącego w urojonym świecie, który nie wahałby się przed popełnieniem zbrodni, gdyby ktoś ugodził w jego poczucie własnej wartości. Fotograf mógł, na przykład, odezwać się do Norwega podczas pozwania do zdjęcia w sposób nieuprzejmy — i już!

Gertruda Dangel również mogła być psychopatką, żyjącą w urojonym świecie teologicznych przesądów. Może Pratz zgorszył ją jako autor fotografii uznanej przez przyszłą diakonisę za objaw próżności człowieczej? Można zakładać, że dziewczyna w ogóle nie cierpi takich spotkań. Albo, kto wie? Wykonał niedawno jakiś akt, na którym znalazł się ktoś, kogo dotąd Gertruda ceniła? I w takim wypadku również uznała fotografa za gorszyciela? A że jest kobietą, w dodatku wątłą? Jakaż to sztuka wbić ostry nóż w ciało staruszka?

— Eleonory Gephard chyba nie podejrzewasz — wtrąciła pani Antoinette.

— Dlaczegoż nie? — zdziwił się adwokat. — Nie znam motywacji, która mogłaby skłonić ją do morderstwa, a pan, inspektorze, najlepiej wie, że takie osoby, w dodatku sprawiające wrażenie rozsądnych i trzeźwo myślących, bywają niezwykle niebezpieczne. Zresztą mówiła do Pratza „wujku”, usłyszałem mimochodem, pewnie miała jakieś realne widoki na spadek. Czyż nie jest on pięknym motywem? Sigmund von Mach, o, ten człowiek jest chyba potężnie zadłużony i liczy na małżeństwo z Eleonorą. Motyw ten sam, co w przypadku dziewczyny.

Ignazowi wydawało się, że co do Classów, o których właśnie zapytał, Schreder będzie miał kłopot. Tymczasem adwokat bez namysłu odpowiedział, że przyczyny zabójstwa mogły być identyczne, jak u panny Dangel. Poza tym mężczyźni znali się doskonale i z pewnością rolę odgrywały jakieś zaszłości.

W przypadku Meinhardów wątpliwości było jeszcze mniej, a motywów cała paleta. Począwszy od zamięłowania znudzonych mieszczan do zbrodniczych wyczynów, historia kryminalistyki zna takie przypadki okrutnego zblazowania, poprzez zamiar przechwycenia jakichś wartościowych zbiorów, co jednak nie udało się, ponieważ Pratz nie miał przy sobie kluczy do mieszkania, o czym wspomniał inspektor nie dalej jak przed dwoma kwadransami, aż do chęci zaimponowania Elzie, dziewczynie pustej, zepsutej i zafascynowanej ponurymi typami w rodzaju Ottona.

— Natomiast Elza i pani Wilfrida?

— One mogły zabić w celu pogrążenia któregoś z gości. Kto wie, jakie relacje miały z zebranymi? Starsza dama wygląda mi na sprytną i niebezpieczną kobietę. Dlaczego zaprosiły tak przypadkowe grono osób? W jakim celu?

— Znakomicie! Doprawdy, znakomicie — pokiwał głową Braun. —
Siebie i czcigodną małżonkę wyklucza pan oczywiście?

— Oczywiście — z udaną bezradnością westchnął Ernest Schreder
i sięgnął po kieliszek z koniakiem.



Dwaj młodzi mężczyźni

Ignaz Braun w pośpiechu zjadł obiad. Bardzo nie lubił takich sytuacji, niemniej jako funkcjonariusz elitarnego wydziału doskonale zdawał sobie sprawę, czym jest służba. Czekala go rozmowa, ważna rozmowa z młodym pastorem.

Na miejsce spotkania inspektor zaproponował wzniesienie przy kościele Trzech Krzyży. Kiedy kończył posiłek, w drzwiach hotelowej restauracji pojawił się zdyszany Sigmund von Mach.

Ignaz wyjął z kieszonki marynarki swojego tissota, otworzył go, spojrzal na cyferblat i znaczącym wzrokiem obrzucił młodzieńca.

— Masz szczęście. Byłbyś pożałowania godnym lekkoduchem, gdybyś nie przyszedł na czas, choć, przyznam ci się w zaufaniu, byłoby mi cię żal. Nie wiesz nawet, do czego zdolny jest zirytowany policjant.

— Przepraszam, panie inspektorze — von Mach na wszelki wypadek wyraził skruchę, choć nie było do niej powodu.

— Zapamiętaj, że „przepraszam” powinno być najczęstszym słowem, jakie od ciebie usłyszę. A teraz chodźmy stąd, nie mam zamiaru dłużej pokazywać się z tobą w eleganckim miejscu.

Mężczyźni wyszli z hotelu i skierowali się Rynkiem, później ulicą Lęborską w stronę poczty, minęli znany dobrze Ignazowi gmach gimnazjum, wreszcie po prawej zamajaczył przed ich oczami budynek dworca, którego wejście przekraczał każdy, kto z daleka przyjeżdżał do Wejherowa.

— Powinieneś zadumać się nad swoim losem — Braun wskazał dłonią dworzec. — Nie jest przesądzone, czy wyjedziesz stąd sam, czy też w asyście policyjnej.

— Oby sam... — błagalnie szepnął Sigmund.

— Nie trzeba było kłamać, oszukiwać i dokonywać przekupstwa. O domniemanym zamordowaniu fotografa nie wspominając.

— Jak pan może! — jęknął młodzieniec. — Musi pan uwierzyć, że ja nie...

— A podaj mi powód — przerwał Braun — dla którego miałbym wierzyć w choć jedno twoje słowo.

Wypowiedziawszy jakże słuszną uwagę, Ignaz wzruszył ramionami i ruszył w dalszą drogę, nie oglądając się na skamieniałego Sigmunda, który dopiero po dłuższej chwili otrząsnął się z tego, co usłyszał. Pospieszył za swoim dręczycielem, którego jeszcze parę dni wcześniej bardzo lubił.

Kościół Trzech Krzyży bielił się w popołudniowym, czystym słońcu niczym morski ptak na tle bezkresu wody. Otaczały go drzewa, mniejsze i większe, a każde zielone radością lata, szumiące, skrywające w swoich gęstwinach śpiewających mieszkańców.

Ignaz zdziwił się, ujrawszy młodego pastora, bowiem Georg Class zachowywał się w sposób odbiegający od zasad przyjętych w odniesieniu do ludzi dorosłych. Zwłaszcza duchownych i przyszłych doktorów.

Dłoń pastora zagłębiona była w czeluść na pozór pękniętej ściany na tyłach kościółka. Mężczyzna wyjął i znów włożył dłoń, tym razem

z nadgarstkiem i całym przedramieniem, do środka. I zaczął śmiać się w głos.

— Niewiarygodne! A ja myślałem...! Niewiarygodne!

Sigmund nagle zapragnął rzucić Braunowi jakąś kąśliwą uwagę na temat stanu umysłowego pastora, ale zaraz przypomniał sobie, w jakiej sam znajdował się sytuacji, i pomyślał, że lepiej będzie nie odzywać się wcale.

— A cóż jest niewiarygodnego w szczelinie, szanowny panie? — donośnym głosem zawołał Ignaz, znajdując się tuż za plecami Classa.

Chuda, wysoka postać podskoczyła, co jeszcze bardziej podkreśliło jej chudość i wzrost.

— Ależ mnie pan wystraszył, inspektorze — jeszcze zmieszany Georg potrząsnął dłonią inspektora. — O, i pan Sigmund — ucieszył się na widok von Macha, który stał nieśmiało kilka kroków za swoim przewodnikiem. — Niewiarygodne! Tak, podtrzymuję moje zdanie. Czy pan imaginuje sobie, że ja aż do dzisiaj nie wierzyłem, że budowniczy tego kościoła zaprojektowali szczelinę w murze na pamiątkę rozdarcia zasłony w świątyni podczas śmierci Chrystusa? Czytałem gdzieś na ten temat, ale nie dawałem wiary.

— Nie sprawdził pan nigdy?

— Nie uwierzy pan inspektor, ale nie. A przecież teologia krzyża i Męki Pańskiej tak jest przez nas, ewangelików, doceniana! Powinienem już dawno odwiedzić to miejsce. Proszę sobie wyobrazić, że ojciec nigdy nie pozwalał mi tutaj przychodzić.

— Papistowskie czary? — odezwał się ze zrozumieniem Sigmund, któremu w dzieciństwie nie pozwalano bawić się z katolickimi dziećmi i ostrzegano go, aby pod żadnym pozorem nie zbliżał się do katolickiej świątyni, w przeciwnym bowiem razie porwie go diabeł.

Pastor ochoczo potwierdził.

— I nigdy nie miał pan ochoty spróbować zakazanego owocu? Z czystej ciekawości albo chociażby na przekór ojcu? — zdziwił się Braun.

— Nigdy — z równym zdziwieniem, szczerze odpowiedział Class. — A później nie miałem okazji do zbyt częstej rekreacji. Wciąż książki i książki, nie zapuszczałem się tak daleko. Przejść się po najbliższej okolicy zboru, w pobliże pałacu, pospacerować Rynkiem lub Lęborską, owszem, ale aż tutaj?

Nieśmiała uwaga Ignaza, że przecież jeździ aż do Królewca, nie zrobiła na młodym pastorze wrażenia.

— Panie inspektorze, ja nigdy nie myślałem o moich podróżach do Królewca w kategoriach turystycznych. Po prostu tam mieści się mój Wydział Teologiczny. Właściwie w ogóle nie patrzyłem przez okno, nie miałem czasu na podziwianie widoków. Zagłębiałem się w rozprawach, traktatach, a ostatnio skupiłem się na poprawianiu mojej pracy. Nie ma pan pojęcia, ile, nawet po krótkim czasie od napisania, znajduję błędów i nieścisłości w poszczególnych rozdziałach.

Ignaz spojrział kątem oka na Sigmunda, który stał obok niego.

— Panie von Mach — rzekł suchym tonem — proszę przespacerować się do okolicznych drzew. Za kwadrans proszę dostarczyć mi tutaj spis najczęściej występujących gatunków.

— Słucham?

— Mówię wyraźnie. A tutaj ma pan kartkę i ołówek. Deszcz, o ile widzę, nie pada, więc pismo się nie rozmaże.

— Oczywiście — potulnie wyszeptał Sigmund.

— Nie muszę nadmieniać, że pożądane byłoby, aby spisowi towarzyszył choć jeden liść z każdego gatunku. Może pan odejść.

Nastąpiła chwila konsternacji. Von Mach oddalił się szybkim krokiem, nerwowo spoglądając na zegarek, tymczasem pastor w niemym zdumieniu

przypatrywał się scenie. Kiedy zostali sami, zamierzał spytać Brauna o cel przedsięwzięcia, ale inspektor obrócił ku niemu tak niewinną i jasną twarz, że pytanie zawisło gdzieś w czeluściach strun głosowych duchownego.

— I nie ciekawiły pana widoki za oknem? — Ignaz powrócił do przerwanej rozmowy.

— Nie bardzo. Pracy było tyle...

— Nie jest pan więc człowiekiem ciekawym doczesnego świata? — niewinnie spytał Braun.

— Moim zadaniem jest uzyskanie jak najstaranniejszego wykształcenia teologicznego.

— A jednak... Jednak jest coś, a raczej ktoś, kto ma ci panu spokój duszy, jakże potrzebny do uzyskania doktoratu.

Po twarzy pastora przemknął cień. Mężczyzna przygarbił się i uciekł wzrokiem od rozmówcy, wpatrując się, możliwie jak najdłużej, w Sigmunda próbującego dosięgnąć dość nisko zawieszony gałęzi młodego dębu.

— Przed policją nic się nie ukryje.

— Drogie pastorze, proszę uwierzyć: nie trzeba być policjantem, aby zauważyć pańskie uczucie do panny Neiss.

Duchowny był oszołomiony.

— Naprawdę widać, że ja...

— Ślepy by zauważył.

— Cóż, przyznaję się do mojej słabości. Panna Elza jest dla mnie bardzo ważna. Pan, inspektorze, jest katolikiem i z pewnością ma inne zapatrywania niż ewangelicy na kwestię celibatu, ale musi pan przynajmniej przyznać, że, będąc pastorem, nie robię nic zdrożnego, myśląc poważnie o panie Elzie.

— Rzecz jasna — Ignaz uśmiechnął się życzliwie. — Tym bardziej że do ręki Elzy jest daleka droga.

Okulary z nosa duchownego powędrowały do rąk; ruchy chusteczką były nerwowe i nieregularne.

— Ma pan na myśli zachowanie Elzy podczas tamtego wieczoru, prawda? Ale ona bywa inna. Bywa dobra, życzliwa i miła.

— Jak często? — Braun postarał się, aby zadać ostatnie pytanie możliwie łagodnym tonem.

— Zbyt rzadko — pokiwał głową Class. — Widzi pan, ilekroć znajdujemy się w większym gronie osób, w Elzę jakby wstępował zły duch. Jak gdyby chciała popisać się przed innymi władzą nade mną.

— A nie próbował pan przypadkiem, choć to raczej kobieca sztuczka, udawać wobec niej obojętności? Moja żona mówiła, że metoda jest nad wyraz skuteczna.

Pastor próbował, ale spotkało go coś, co w czarnych barwach malowało przyszłość jego uczucia. Dziewczyna była zachwycona! Z ulgą przyjmowała brak zainteresowania ze strony mężczyzny i dopiero wtedy było ją stać na obojętną życzliwość wobec niego.

— Właściwie dlaczego pyta pan inspektor o tak intymne sprawy? — w duchownym obudziła się czujność i pewien rodzaj instynktu samozachowawczego.

— Każde pytanie podczas naszej rozmowy ma swój sens — Braun zbył pastora powiedzeniem zasłyszonym na letnim obozie szkoły policyjnej.

— Przywraca mi pan świadomość mojej sytuacji, inspektorze — smutno uśmiechnął się pastor. — W ostateczności pan jest przesłuchującym, a ja przesłuchiwanym.

— Nie upraszczajmy — Braun zdobył się na pobłażliwość. — Tak się składa, że i pan, i ja, dążymy podczas wykonywania swoich profesji do

zwycięstwa prawdy. Działamy w różny sposób, ale cel jest ten sam.

Georg Class zadumał się nad słowami inspektora. Potem spojrzął wysoko w niebo i chciwie łowił uszami ptasie trele i szum drzew. Pozwalał, by promienie łagodnego słońca muskały jego twarz.

— Dobrze, że tu jesteśmy — powiedział wreszcie.

— Mówi pan, jak apostoł przed Ostatnią Wieczerzą.

— Rzeczywiście.

Dla pastora przebywanie w takim miejscu było nowością. Zaczął mówić, najpierw wolno, z rozwagą, potem pozwolił, aby jego myśli swobodnie przemieniały się w słowa.

Nigdy dotąd nie przyszło mu na myśl, aby marnować czas na podobne błahostki. Kiedy po całym dniu wykonywania obowiązków duszpasterskich i, ostatnio, pracy nad doktoratem miał nieco czasu dla siebie, ze zdziwieniem spoglądał na zegarek i konstatował, że najwyższy czas zagłębić się w pościeli i zasnąć, aby nabrać sił na następny, podobny do wszystkich poprzednich, dzień.

— Może dlatego urzekła pana Elza? Jest tak inna od wszystkiego, w czym pan wzrastał i trwał.

— Może... Jej reakcje bywają tak niespodziewane, tak... niemieszkańskie, a gdyby pan usłyszał, co ma do powiedzenia na temat naszej świętej wiary ewangelickiej! Wprawdzie jest pan katolikiem, więc z pewnością łatwiej byłoby panu przyjąć jej słowa.

— Rozumiem pana zgorszenie, pastorze.

Duchowny jednakże nie rozumiał sam siebie. Słuchał niewybrednych żartów panny na temat luteranizmu i, o zgrozo, jego założyciela, musiał nawet przełykać takie wypowiedzi, w których panna Neiss chwaliła co poniektórych księży katolickich. A jednak słuchał jej chciwie, łowił każde

słowo, dobre czy złe, i jak żebrak błagał milcząco o każdą minutkę, podczas której mógł być blisko dziewczyny.

Rozmowę przerwał Sigmund, który stanął nieśmiało przed inspektorem. Jego jasny garnitur w kilku miejscach był przybrudzony. Tył marynarki nosił wyraźne brązowo-zielone ślady gwałtownego kontaktu ze ściółką leśną. Na dotąd zawsze starannie zaczesanej grzywie uważny obserwator mógłby odnaleźć nitki pajęczyny. Młodzieniec, zadyszany i zaczerwieniony od wysiłku, wyciągnął w kierunku Brauna prawą dłoń, w której trzymał ołówek i zmiętą kartkę. Druga dłoń delikatnie trzymała ogonki liści.

— Gdyby nie to, że wróciłeś zbyt szybko, co stawia pod znakiem zapytania wartość twojej nikomu niepotrzebnej pracy, pochwaliłbym cię może. Jednak w takiej sytuacji... Najpierw schowaj liście do kieszeni, kartkę też, ołówek możesz mi oddać. Liście pod żadnym pozorem nie mogą się zgubić.

— Rozumiem! — wykrzyknął von Mach.

— Mam nadzieję. Teraz obejdź dookoła kościół Trzech Krzyży.

Sigmund, aby tylko znaleźć się jak najdalej od swojego kata, ruszył w kierunku świątyni, jednak zaraz dogonił go zimny głos Brauna:

— Masz tak chodzić półtora kwadransa. Jeśli zakręci ci się w głowie, możesz zmienić kierunek. Nie jestem małosłowny.

— Może jednak zdradzi mi pan, inspektorze, po co to wszystko? — spytał pastor, kiedy już zostali sami. — Z chrześcijańskiego punktu widzenia...

— Zapewniam pana — znów niewinnie odparł Ignaz — że postępuję po chrześcijańsku. Zresztą, mógłbym temu młodemu człowiekowi kazać biegać dookoła kościoła z siodłem na plecach. Coś na kształt końskiej gonitwy. Właściwie byłoby to najbardziej wskazane.

Ciekawość Classa nie trwała długo. Miał umysł praktyczny i zdawał sobie sprawę, że nie uzyska odpowiedzi. A jednak co raz spoglądał na Sigmunda okrążającego świątynię.

— Przepraszam, że zadam takie pytanie, drogi pastorze — nieśmiałość Ignaza w sposób zadziwiający kontrastowała z jego uprzednim zachowaniem. — Czy nie przeszkadza panu świadomość, że panna Neiss jest osobą, by tak rzec, lubującą się w przyjemnościach towarzyskich, i, owszem, interesuje się mężczyznami, z tym że raczej takimi, którzy są gruboskórni?

— Przecież nie zna pan Elzy — zaperzył się Georg, ale równocześnie przygarbił się. Jakby przybyło mu lat za dotknięciem różdżki złej wróżki. Nie był już beztroskim, ufnym w miłosierdzie Pańskie duchownym. Nie był już małym chłopcem.

— Jestem jak ksiądz katolicki — z zakłopotaniem odparł Braun. — Wiele w życiu słyszałem, jeszcze więcej widziałem. Niekiedy jeden przykład, wyimek rzeczywistości, skrawek, potrafi powiedzieć o człowieku wszystko.

— I sądzi pan, że na wieczorze u pani Neiss...?

Ignaz delikatnie dotknął ramienia pastora i skinął głową. Przecież nie widział dziewczyny nigdy wcześniej. Zauważył usilne i mało dyplomatyczne zabiegi Ottona Meinharda, jego nonszalancję w stosunku do Elzy, zadowolonej z takiego obrotu sprawy.

— Wtrącam się w pana życie, mam tego świadomość, ale czy naprawdę nie może pan spojrzeć na pannę Neiss bardziej obiektywnie? Zdaję sobie sprawę, że proponuję panu coś niby nieosiągalnego, ale niekiedy ziarnko gorczycy sprawia niespodziankę, której efekty są błogosławione.

— Dlaczego pan to robi?

— Czy nie przyszło panu na myśl — Ignaz zignorował pytanie — że w pańskim świecie jest wyjątkowo mało miejsca na pannę Elzę? Że gdyby została pana żoną, męczyliby się państwo ze sobą straszliwie?

— Tak pan sądzi?

— Niech pan zauważy: wokół jest tyle do zrobienia! Skoro przez całe życie samodoskonalił się pan, warto w tym trwać. I jeszcze jedno: proszę dobrze się rozejrzeć. Przecież musi gdzieś być dobra dusza, która jest panu przeznaczona. Ktoś, kto myśli tak samo jak pan, kto czeka na pana miłość, na pana uporządkowany świat. Jeśli ufa pan Bogu, nie może pan zwątpić w Opatrzność.

Twarz pastora z początku wyrażała konsternację, zaraz jednak Class zaczął badawczo przyglądać się Ignazowi.

— Gdybym nie wiedział, że mam do czynienia z policjantem, pomyślałbym, że stoi przede mną swat. Brakuje tylko imienia osoby, którą mi pan swata.

— Cieszę się, że wraca panu dobry humor, pastorze. Zaręczam jednak, że moje słowa podyktowane były wyłącznie życzliwością wobec pana. Zachęcam raz jeszcze: proszę patrzeć uważnie. Czasami nie dostrzegamy czegoś, co jest na wyciągnięcie ręki. Za oknem, za ścianą, w kościele.

— Chciałbym, aby pan miał rację. Widzi pan, inspektorze, cała tamta noc była dla mnie niespokojna. Może ma pan trochę racji?

Georg posmutniał, wpadając równocześnie w irytację. Nie mógł zrozumieć, jak inteligentna, pogodna i niewinna panna z wielką ochotą przystaje na towarzystwo tak gruboskórnego człowieka, jakim był Otto Meinhard. Opowiadał anegdotki z życia studentów w Heidelbergu, w których aż roilo się od nieświeżej bielizny, kobiet o podejrzanym moralności i diabelskiego nektaru, absyntu, a ona śmiała się i prosiła o jeszcze. Mówił o pojedynkach typu amerykańskiego, sprawiedliwych lub

nie, jak kto woli, a ona zapytała, czy kogoś poranił; jeśli tak, to ile razy i jak mocno. Kiedy wspomniał o antychrześcijańskich demonstracjach masonów w Rzymie, gdzie bawił podczas swoich licznych wojaży, z wielkim zajęciem zapytała o treść transparentów.

— Nie, żebym bronił papieży, a do Piusa X miałbym kilka osobistych krytycznych uwag dotyczących reformy liturgicznej, ale żeby takie rzeczy wykrzykiwać pod murami świątyń?

Wyzywające, lubieżne spojrzenia Ottona doprowadzały pastora do obłędu. Elza natomiast odpowiadała na nie śmiałym wzrokiem, podejmując wyzwanie. Kiedy Meinhard wspomniał, niby mimochodem, o pewnej kobiecie, której miłością wzgardził, ponieważ jej bogobożność nużyła go niezmiernie, Elza uśmiechnęła się tak, żeby pod żadnym pozorem nie można jej było posądzić o bogobożność.

— Czy tylko dlatego nie lubi pan Ottona? — uśmiechnął się Ignaz.

Pastor spojrzał na Ignaza zdziwiony.

— Właściwie nie mam innych powodów. Nic o nim nie wiem. Zdaję sobie sprawę, że jako duchowny powinienem traktować go tak, jak innych ludzi, z miłością. Ale istnieje pewien rozdziew między moimi oczekiwaniami względem własnej postawy a uczuciem. Przykro mi.

— Dziękuję za szczerość — odparł Braun i spojrzał na zegarek, dostrzegł bowiem Sigmunda powracającego od strony kościoła. Von Mach zataczał się, jakby był po kilku mocnych piwach.

— Postój tutaj i odpocznij — litościwie powiedział Ignaz do młodzieńca. — Przed tobą jeszcze dziś parę zadań.

Wreszcie padło pytanie, które inspektor zmuszony był zadawać wszystkim przesłuchiwanym. Georg odparł, że od razu po wyjściu z wieczoru udał się, wraz z ojcem, prosto do domu. Nie byli w najlepszych humorach. Franz Class cały czas mówił o bezczelności Ernesta Schredera,

natomiast Georga rozboleła głowa, niewątpliwie wskutek zachowania Elzy. Kiedy obaj dotarli na miejsce, żaden z nich nie miał ochoty wydłużyć dnia i udali się do swoich łóżek. Młodszy z duchownych słyszał potem, jak ojciec jeszcze z pół godziny kasłał w swoim pokoju, co oznaczało, że niewątpliwie znajdował się u siebie. On zaś, Georg, długo przewracał się z boku na bok, nie mogąc zasnąć.

— Niestety, chyba nie potrafiłem pomóc panu inspektorowi. Gdyby pytania dotyczyły Starego Testamentu, byłbym bardziej kompetentny.

— Ależ drogi pastorze, każda rozmowa ubogaca policjanta — grzecznie skłonił się Braun i podał dłoń Classowi. — Sigmundzie, proszę za mną — powiedział z kolei do von Macha i skierował się w stronę kapliczek rozciągających się na wcześniejszych etapach kalwarii.

Duchowny ruszył w przeciwnym kierunku, w dół, ku miastu.

— Proszę pamiętać o mojej radzie! — dogonił go jeszcze głos Ignaza.



Niespodzianki

Przed ratuszem, gdzie doszli dwaj berlińczycy, stał komisarz Rüdiger Rensch. Stał jednak jedynie o tyle, o ile utrzymywał się na dwóch nogach. Całe jego ciało znajdowało się bowiem w ruchu. Przechodząca obok korpulentna niewiasta w sile wieku, kołysząca szerokimi biodrami, nie zrobiła na nim żadnego wrażenia; gorzej, właśnie potrącił ją łokciem i nie zauważył tego. Dama, która oczekiwała bezskutecznie na przeprosiny, odeszła z gniewem.

Komisarz mówił głośno, wyrzucając z siebie potok słów, nie zawsze cenzuralnych. Jego rozmówcą był posterunkowy Bochentin. Ignaz myślał z początku, że Rensch krzyczy na Bochentina, okazało się jednak, że posterunkowy jest jedynie słuchaczem. Kiedy bowiem ten ostatni zauważył nadchodzącego Brauna, uśmiechnął się i skłonił ze spokojem. Rensch odwrócił się i uścisnął mocno dłoń berlińczyka. Nie zdążył odezwać się do von Macha; temu ostatniemu Braun kazał oddalić się na co najmniej godzinę.

— Wybacz pan, komisarzu, ciekawość, ale widziałem pana zdenerwowanie.

— Zdenerwowanie? Ja jestem wściekły — podniósł głos Rensch. — Chociaż nie tylko! Jestem podekscytowany i skonsternowany! Proszę na komisariat, kochany inspektorze. Tak! Podekscytowany i skonsternowany!

Ignaz zasiadł wygodnie w szerokim skórzanym fotelu. Arno Bochentin stał obok fotela i nerwowo bębnił palcami w parapet okna wychodzącego na Rynek, wystukując bliżej nieznaną rytm. Na tle obu mężczyzn odznaczał się komisarz. Od razu napełnił trzy kieliszki koniakiem. Do pełna. Zaczekał, aż kieliszki inspektora i posterunkowego trafią do ich ust, a potem wychylił duszkiem zawartość swojego, po czym powtórzył całą operację. Uspokoił się nieco, odwrócił do ściany i spojrzał prosto w oczy Wilhelmowi II.

— Miłościwy, najmiłościwszy panie! Twoje troski wydają się niczym w porównaniu z moimi. Tak. Gdyby tak twój majestat natchnął mnie rozpoznaniem dobrego i złego. Milczysz! Cóż!

— Panie komisarzu? — nieśmiało wtrącił Ignaz, mimowolnie patrząc na portret cesarza odzianego w śnieżnobiały mundur. Ta twarz, ze starannie wypięłgnowanymi wąsikami zadartymi do góry!

Rensch szybko odwrócił się w stronę Brauna. Jego binokle opadły na biurko, ale zaraz powróciły na swoje miejsce.

— Ma pan rację. Tak. Zachowuję się, jakbym był niespełna rozumu.

— Nie, skądże — z przekonaniem odparł inspektor.

— Niepotrzebna kurtuazja, niepotrzebna — westchnął gospodarz. — Ale, jeśli pan wysłucha tego, co mam do powiedzenia, przyzna pan, że moje zachowanie jest w pewnym stopniu usprawiedliwione.

— Z pewnością. Zamieniam się w słuch — Braun stwierdził, że koniak podany przez Renscha ma wcale nie najgorszy smak.

Posterunkowy Bochentin, który wiedział już, co zamierza powiedzieć komisarz, opanował chęć dalszego bębnienia w parapet i usiadł skromnie na

krześle. Uzyskawszy nieme pozwolenie przełożonego, z lubością zaciągnął się papierosem o ostrym, gryzącym smaku.

— Ile razy — zaczął komisarz — zdarzyło się panu, kochany inspektorze, że jednego dnia kilka osób przyznało się do popełnienia zbrodni? Dodam, że chodzi o tę samą zbrodnię, przy czym osoby te zaręczają, że dokonały jej samodzielnie.

— Chyba nie chce pan powiedzieć, że chodzi o sprawę Theodora Pracza?

— A gdybym zasugerował taką możliwość? — Rensch uśmiechnął się, był to uśmiech właściwy początkowym stadium szaleństwa.

— Ma pan jeszcze odrobinę tego smacznego koniaku? — wyszeptał Ignaz.

Kiedy na zegarze w gabinecie komisarza wybiła dwunasta, lokator gabinetu właśnie wpatrywał się w okrągłą srebrną tarczę. Pracownicy firmy Adler przed kilkunastoma dniami wnieśli do gabinetu i zawiesili na ścianie, naprzeciwko portretu cesarza, zgrabny, choć nie najmniejszy zegar z kukułką. Od tego czasu Rensch z wielkim zainteresowaniem, jeśli przebywał akurat u siebie, wpatrywał się w wyskakujące co godzinę drewniane stworzenie, przypominając sobie szczęśliwe czasy dzieciństwa i podobny zegar w domu dziadków. Oczywiście nie wypowiedział na głos, jakim sentymentem darzy zegar.

Wraz z wybiciem godziny dwunastej w drzwiach gabinetu pojawił się Lars Hamaren. Nie zapukał nawet, po prostu wpadł jak burza i usiadł, jakby nigdy nic, przed komisarzem. Wbił dziki wzrok w gospodarza, a potem wyciągnął obie dłonie i potrząsnął nadgarstkami:

— Proszę mnie aresztować! To ja zabiłem tego fotografa!

W pierwszym odruchu komisarz chciał wezwać Hansa albo posterunkowego Kandzorę, aby zatrzymali Norwega, jednak opanował się i poprosił o szczegóły. Hamaren był niemal obrażony, że od razu nie zakuto go w kajdanki, zaczął jednak mówić.

Rozmawiał z fotografem o sztuce. Przegadali ze dwa kwadranse i wcale nie było tak, że zajmował się jedynie kobietami. Kiedy ma przed sobą kogoś wrażliwego, rozmiłowanego w sztuce, rozmówca od razu zyskuje w jego oczach niepomiarne. Okazało się, że w posiadaniu Pratza znajdował się zbiór heliograviur Awita Szuberta z wiedeńskiej drukarni Paulssena obrazujących Tatry i Pieniny. Wijące się niespokojnie i kapryśnie wodospady, ciemne chmury wokół ostrych, nieregularnych szczytów, wybujala dzikością roślinność, czego jeszcze było potrzeba, aby wzbudzić w sobie natchnienie, konieczne do ukończenia symfonii? Hamaren poprosił o wypożyczenie heliograviur, które, widywane w katalogach wystaw, podobały mu się od dawna. Fotograf nie zgodził się, nie miał również czasu, jak stwierdził, aby pilnować Norwega, który w atelier pod wpływem górskich widoków tworzyłby muzykę. W akcie rozpaczony artysta zaproponował, że kupi od Pratza heliograviury, z tym że zapłaci za nie dopiero po ogłoszeniu symfonii, pierwszych koncertach i uzyskaniu godnych tantiem. Oczywiście wejherowski fotograf wyśmiał Hamarena.

— Kupy się to nie trzyma. Nie byłoby najprościej, gdyby ten szaleniec kupił sobie w składzie księgarskim dobry album z reprodukcjami obrazków? — zapytał Bochentin.

— Teoretycznie macie rację, posterunkowy — odparł komisarz. — Powiedziałem mu to samo. Spojrzał na mnie jak na jakiegoś ignoranta i stwierdził, że dla prawdziwego artysty reprodukcje nic nie znaczą. On, Lars Hamaren, koniecznie musiał mieć przed sobą oryginały.

— Pan mu uwierzył? — zapytał Braun.

— Skądże! Tak. Ale musiałem jego zeznania zaprotokołować. Takie są procedury.

— Rzecz jasna.

— Otóż to! Nie pozostało mi nic innego, jak zamknąć go w areszcie na trzydzieści sześć godzin. Kompletne szaleństwo!

— Chyba rzeczywiście — pokręcił głową posterunkowy.

— Jednak na tym nie koniec. Minęła równo godzina, gdy Heinz wprowadził Gottlieba Meinharda. Tak. Myślałem, że niesie kawę, której chwilę wcześniej zażądałem, a on wchodzi z tym człowiekiem.

— Który przyznał się do zamordowania Theodora Pratza — dodał Ignaz.

— Jakby pan zgadł, kochany inspektorze — kwaśno uśmiechnął się Rüdiger Rensch i zapalił grubą aspasię; jej gęsty dym od razu zapełnił gabinet.

Stary Meinhard wyglądał na zdeterminowanego. Jego siwe włosy sterczały w nieładzie, zwalista sylwetka wykonywała kanciaste i nieskoordynowane ruchy. Siadał i wstawał parę razy, wreszcie komisarz kazał mu usiąść na dłużej i zirytowany zażyczył sobie spokojnych, jasno sformułowanych wyjaśnień.

Sumienie nie pozwalało Gottliebowi Meinhardowi dłużej ukrywać zbrodni, której dokonał. Nie, nie znał wcześniej Theodora Pratza osobiście. Ściślej, poznał go w dzień lub dwa po przyjeździe do Wejherowa. Przyszedł po prostu do zakładu fotograficznego, aby kupić na pamiątkę kilka widokówek obrazujących charakterystyczne miejsca najbliższej okolicy. Miał taki zwyczaj. Stary fotograf, jako osoba towarzyska, wypytywał przybysza o to i owo, a Meinhard, który miał akurat nieco wolnego czasu i również lubił rozmawiać, chętnie usiadł na wygodnym krześle, został

poczęstowany kruchymi ciasteczkami i odpowiadał na pytania gospodarza, sam też był ciekawy rozmaitych spraw związanych z Wejherowem.

Następnego dnia Gottlieb Meinhard także odwiedził staruszkę, a rozmowa przebiegała w równie przyjaznej atmosferze. Tym razem jednak zaszło coś zgoła niespodziewanego. Pratz w pewnym momencie zdradził swojemu rozmówcy, że podczas kampanii francuskiej powołany był do służby w oddziale propagandy. To był TEN Theodor Pratz! Meinhard, którego nazwiska Pratz najwidoczniej przy pierwszym spotkaniu nie dosłyszał, upewnił się, że w sierpniu 1870 roku fotograf przebywał, będąc wysłany przez swój macierzysty wydział, do dokumentacji fotograficznej działań VI Regimentu Piechoty w nadreńskim miasteczku Brühl. Traf chciał, że w regimencie tym służył brat Gottlieba, Ludwig Meinhard. Fotograf wykonał zdjęcia Ludwiga, gdy ten bił francuskiego jeńca, niezwykle bezczelnego i ubliżającego w swej jenieckiej nietykalności pruskiemu oficerowi. Pratz niby nie zamierzał robić z tych fotografii użytku, niemniej Ludwig grzecznie poprosił tamtego o zniszczenie odbitek. Pratz, jako pasjonat fotografii, jak stwierdził, a może i z innych powodów, nie zgodził się.

Ludwig, który nie chciał, aby wyszło kiedykolwiek na jaw jego postępowanie niezgodne z konwencjami wojennymi, w akcie rozpaczki wyzwiał fotografa na pojedynek. Był pewny siebie, należał w końcu do elitarnego regimentu, walczącego od początku w samym centrum teatru wojennego, i fatalnego poranka nonszalancko wymierzył pistolet w Pratza. Równie nonszalancko wystrzelił, raniąc jedynie przeciwnika w lewe ramię. Theodor Pratz podszedł do Ludwiga na kilkanaście kroków i z zimną krwią wystrzelił. Brat Meinharda nie mógł się bronić, reguła pojedynku zakładała bowiem, że w pistolecie znajdować się miała tylko jedna kula. Ludwig był

zbyt dumny, aby uciekać przed fotografem, poza tym do końca nie wierzył, że tamten zdecyduje się na morderstwo. I Pratz zabił oficera!

— A sekundanci? — zdziwił się Braun — Przecież musieli tam być sekundanci! Patrzyli, i nic?

— Byli! Tylko że oni także nie wierzyli w podłość Pratza. Tak. Później natomiast stchórzyli. Pojedynki podczas działań wojennych były zakazane, a oni nie chcieli się mścić. Nie wiedzieli też, gdzie ukryć ciało, a co dopiero dwa! Ryzyko byłoby jeszcze większe. Tak, teren był patrolowany, nie zdążyli nawet zakopać ciała Ludwiga. Zresztą w paręnaście minut później nastąpił alarm i cała jednostka wyruszyła w kierunku Miluzy. Oni jeszcze przez jakiś czas nie wierzyli, że nikt nie zauważył pojedynku.

— Skąd więc Meinhard dowiedział się prawdy?

— Po parunastu latach jeden z sekundantów, kapitan Bertold von Meyen, który był śmiertelnie chory i na łożu śmierci pragnął wyznać całą prawdę, napisał do Gottlieba list, szczegółowo opisujący tamto zajście. Nasz Meinhard pojechał nawet do kapitana, a tamten wszystko potwierdził. Nie udało się jednak Gottliebowi odnaleźć Pratza, a później wzmożone obowiązki i opieka nad bratankiem nie pozwoliły naszemu podejrzanemu na dalsze poszukiwania. Teraz jednak, gdy stanął oko w oko z mordercą, nie wytrzymał napięcia, powróciły wspomnienia i po zakończeniu wieczoru u pani Neiss dokonana się zemsta. Nie muszę chyba dodawać, że Meinharda również musiałem zatrzymać.

Braun nie wiedział, jak odnieść się do wszystkiego, co usłyszał. Oba zeznania równie dobrze mogły być prawdziwe (nie takich „spowiedzi” już wysłuchiwał), jak i fałszywe, podyktowane jakimś interesem, który znajdował się poza horyzontem wiedzy cesarskiej policji.

— Jestem pod wrażeniem, komisarzy — słowa wypowiedziane przez Ignaza świadczyły o tymczasowej bezradności.

— Kochany inspektorze! — Rensch z całej siły uderzył pięścią w blat masywnego dębowego biurka, aż kieliszki zadźwięczały. — Gdybyż na tym zakończył się ten wariacki dzień!

Posterunkowy zaśmiał się cynicznie, ale oficerowie nie usłyszeli go.

— Nie dalej, jak o piętnastej Heinz wpuścił tutaj Gertrudę Dangel.

— Czyżby i ona?

— Ależ oczywiście! Te baby, to znaczy głównie Elza, miały rację. Dangel jest stuknięta! Tak. Kompletna wariatka! Pozwoli pan, że poczęstuję koniaczkiem?

Słaby protest inspektora ustał, zanim okazany został Renschowi. Ignaz uznał zresztą, że w takiej sytuacji następna pięćdziesiąteczka jest potrzebna, a nawet konieczna. Bochentin również nadstawił swój kieliszek, a w komisarzu zanikły wszelkie przesady hierarchiczności i przywiązanie do ustalonego porządku rzeczy.

— Mimo przeżyć ostatnich godzin, wytrzymałem do końca. Tak, Jestem z siebie dumny, nie wydarłem się na nią i nie próbowałem wygnać do stu diabłów, chociaż, Bóg mi świadkiem, miałem wielką ochotę.

— I cóż powiedziała panna Dangel?

— Nasza świątobliwa diakonisa na samym początku oświadczyła, że zamordowała Theodora Pratza i chce ponieść tego konsekwencje. Tak. W tej jednej chwili miałem ochotę ją zabić.

Rüdiger Rensch zaraz się zmitygował.

— Jestem w końcu policjantem, opanowałem się i kazałem jej opowiedzieć wszystko po kolei.

Panna Gertruda znała fotografa od zawsze, to znaczy od urodzenia, a przynajmniej od czasów, kiedy nauczyła się chodzić i mówić. Z żyjącymi jeszcze wtedy rodzicami nieraz chodziła do miasta, zaglądali wtedy do rozmaitych sklepów, robili zakupy. Zwyczajna rzecz. Widywała Pratza na

ulicy, jak przemykał spieszny krok z swoim przenośnym warsztatem pracy. Kiedy chodziła do szkoły elementarnej, tak zwanej zamkowej, bo usytuowanej przy dobrach hrabiostwa Keyserlingków, fotograf zapraszany był systematycznie w mury szkolne w celu wykonywania pamiątkowych zdjęć dzieci z nauczycielami. Ostatni lata Gertruda kilka razy udawała się osobiście do zakładu Theodora Pratza, aby odebrać czyjeś fotografie, raz nawet z Eleonorą Gephard dała sobie zrobić pamiątkowe zdjęcia na tle planszy przedstawiającej górski strumyk.

Pewnego dnia, proszona przez sąsiadkę o wywołanie odbitek z konfirmacji wnuka, zaszła do starego fotografa. Ten był nienaturalnie ożywiony. Śmiał się, mówił dowcipy, zaproponował Gertrudzie szklanę selterki. Upał był wtedy wielki, w maju zdarzają się takie dni, więc chętnie przyjęła poczęstunek.

W pewnym momencie Pratz stwierdził, że już dawno nie pozowała do jego fotografii, ostatnio właśnie w towarzystwie Eleonory. Gertruda nie miała ochoty na uwiecznienie swojej osoby dla potomności, ale czuła, jak w jej głowie pojawiają się szумы, a nogi odmawiają posłuszeństwa. Zauważyła jeszcze, jak fotograf podszedł do niej, bacznie przyjrzał się słabnącej dziewczynie, a wreszcie zaczął przygotowywać aparat do wykonania zdjęcia. Wtedy straciła przytomność.

Obudziła się wreszcie. Siedziała, pólżąc, na krześle nieopodal blatu w przedniej części zakładu. Za oknem panował już mrok. Fotograf stał metr od niej i z troską przyglądał się pannie otwierającej oczy. Zapytała o trwogę, co się z nią działo. Odparł, że zasłała, najwidoczniej wskutek upału.

Otumaniona jeszcze Gertruda pożegnała fotografa i niepewnym krokiem ruszyła w kierunku domu. Dopiero wtedy zauważyła swoje odbicie w wystawie sklepowej. Włosy miała w nieładzie, a bluzka była krzywo

zapięta. Już w domu zorientowała się, że jej bielizna była zdejmowana, a gorset zawiązany tak, jakby kazano wiązać go pięcioletniemu dziecku. Była przerażona. Nie znalazła jednak żadnych śladów gwałtu.

— Dlaczego nie zawiadomiła policji?

— Kochany inspektorze! Jeżeli akurat było tak, jak zeznała, całkowicie ją rozumiem. Tak. Choć, rzecz jasna, nie pochwalam. Kobiety, zwłaszcza na prowincji, są przekonane, że ewentualna wina będzie i tak zawsze po ich stronie. Mężczyzna się wybroni. Tak myślą. Ona wtedy nie przekroczyłaby dobrowolnie progów komisariatu! Tak. A co by się stało, gdyby o wszystkim dowiedział się superintendent? Mogłaby się pożegnać ze stanem, jaki zamierzała obrać. Czy byłaby winna, czy nie, to już kwestia drugorzędna.

— Ma pan rację, komisarzu — przytaknął Braun. — Czy próbowała jednak dowiedzieć się od fotografa, co działo się z nią po wypiciu selterki?

Nie próbowała. Chciała wyprzeć z siebie to, czego nawet nie była świadoma. Przez kilka dni myślała się nieustannie, nie mogła spojrzeć sobie w oczy, nie odważyła się na ponowne odwiedziny u Theodora Pratza. A przecież ryzykowała, ponieważ nie była pewna, czy mężczyzna nie wykonał jakichś kompromitujących ją fotografii. Wstręt był silniejszy od niepewności. Minał jakiś czas, niestety zbyt krótki. Widmo fotografa pojawiło się przed nią na wieczorze u pani Wilfridy. Nie mogła znieść widoku Pratza. Powrócił wstyd i upokorzenie. On zachowywał się jakby nigdy nic.

Nie myślała logicznie. Pragnęła zemsty. Nie chciała czekać każdego dnia na ponowne, nawet przypadkowe spotkanie z fotografem.

— Czy ją też pan zatrzymał? — niespodziewanie miękko zapytał Ignaz.

— A czy miałem inne wyjście? — Rensch rozłożył ręce, ale zaraz uśmiechnął się znacząco. — Chyba, żebym nie przyjął zeznań, nie kazał ich

zaprotokołować...

— I dlatego panna Dangel jest już w domu?

— Zgadza się!

— Jest pan rycerski w stosunku do dam. Zresztą na pewno zapragnął pan, przed podjęciem proceduralnych kroków, skonsultować się z kolegą z Berlina?

— Genialny! Jak zawsze, genialny! — komisarz napełnił trzy kieliszki i wzniosł niemy toast, zaraz jednak podrapał się po głowie. Na jego twarzy odmalowała się troska.

— I co my teraz zrobimy? Tak, co my teraz zrobimy?! Nadmiar szczęścia!

— Podobno jednak od przybytku głowa nie boli, ale potrójne szczęście w karierze policjanta podczas jednego popołudnia to już zdecydowanie za wiele — Ignazowi, mimo żartobliwej formuły, również nie było do śmiechu.



Szatan

Wieczór był spokojny. Po całym dniu spędzonym na prowadzeniu śledztwa Braun z przyjemnością zapalił wonne cygaro, siedząc na werandzie po wewnętrznej stronie „Königlicher Hof”. Przyjemny był moment przykładania do cygara zapalanej zapalniczki i obserwowanie, jak ulatuje pierwszy obłoczek błękitnego dymu, jak stopniowo nabiera śmiałości i zaleca się fantazyjnymi kształtami. Przyjemnie było też poczuć w ustach mocny aromat. Dobrze było zasiąść w chłodzie nad kieliszkiem likieru migdałowego (z nutką wanilii) i słuchać szmeru przepływającego nieopodal Cedronu.

Cała reszta była już tylko obowiązkiem. Rutynowym dążeniem do wykrycia mordercy. Wszystko układało się od pewnego momentu po myśli inspektora. I nagle te zeznania!

Czy Theodor Pratz mógł być ofiarą Norwega? Tak, szaleńcy gotowi dla posiadania dzieła sztuki popełniać zbrodnie zdarzali się w historii wcale nierzadko.

Czy Theodor Pratz mógł podstępnie zabić Ludwiga Meinharda? Mógł, wojna wyzwala w spokojnych dotąd ludziach najgorsze instynkty, a zemsta

brata nie jest niczym niezwykłym, rodowe atawizmy bywają bardzo silne.

Czy Theodor Pratz mógł dokonywać czynów lubieżnych na Gertrudzie? Mógł. Był artystą, tacy mają niezwykle pomysły, zresztą na pewno obcował z aktami, być może lubieżność zagnieździła się w jego umyśle właśnie pod wpływem widywanych fotografii? Z kolei ona mogła go zabić. Jest osobą zdecydowaną, posiada silną, dominującą osobowość, a pod wpływem wyznawanych wartości przykłada większą niż inne młode kobiety wagę do czystości cielesnej. „W dodatku ten starotestamentowy przechył u luteran”, pomyślał Braun. Kara za grzechy, jak najbardziej doczesna; roi się od takich sytuacji w Biblii, począwszy od ksiąg mojżeszowych.

Ignaz usłyszał szybkie kroki, których stukot stawał się coraz głośniejszy. Wiedział, kto nadchodzi, więc leniwie odwrócił głowę w kierunku przybysza.

— Dobry wieczór, panie inspektorze — karnie uklonił się Sigmund von Mach.

— Jesteś wreszcie.

Przybyły otworzył zegarek i bezradnie spojrzał na Brauna.

— Nie spóźniłem się...

— Nie powiedziałem, że się spóźniłeś. „Wreszcie” oznaczało niewysłowioną tęsknotę, z jaką cię oczekiwałem. Mówiliśmy już dziś zresztą o punktualności.

Kpiarski ton Brauna jeszcze bardziej zmieszał Sigmunda.

— Panie inspektorze, zrobiłem, co w mojej mocy. Diabelnie szybko, przepraszam, bardzo szybko działałem i dzięki kontaktowi w Gdańsku dowiedziałem się istotnej rzeczy.

— Znakomicie. Zasługujesz więc na ścięcie, a nie na dożywotnie galery. Porozmawiam w swoim czasie z katem, obiecuję, że będzie działał sprawnie i kulturalnie.

— Panie inspektorze...

— Dobrze, mów.

— A więc Theodor Pratz podczas wojny, wiem to od Heinricha Mossa, którego poznałem podczas... podczas wyścigów w Sopocie, a który w gdańskim garnizonie ma dostęp do kopii archiwaliów wojskowych, rzeczywiście służył w dziale propagandy i miał dokumentować działania wymienionego przez pana regimentu.

— Osobliwe. Gdybyś nie był skończonym łotrem, dochrapałbyś się w policji znaczącego stopnia, może nawet posterunkowego.

Von Mach, nie zważając na ironię Brauna, po raz pierwszy od wielu godzin uśmiechnął się blado. Był zziajany i odruchowo przysiadł na krześle obok inspektora.

— Czy pozwoliłem ci usiąść?

— Nie.

— Więc wstań.

Młody człowiek wyprężył się jak struna.

— Teraz możesz usiąść.

— Dziękuję. Przejrzałem, oczekując na informacje od Mossa, prasę ogólnoniemiecką w tutejszej bibliotece. Ostatnie dwa lata. I było tam wiele artykułów, może raczej notatek o współczesnych artystach. Wszystkie niezbyt pochlebne. Podstawowy zarzut: piją. Narkotyzują się opium, wzbudzają w sobie dziwaczne wizje poprzez picie absyntu. Preferują wolne związki z kobietami, zazwyczaj tymi o podejrzanym reputacji, ale też uwodzą niewinne mężatki i dorastające panny. Nie chodzą do zboru czy kościoła.

— Sam słyszałem o ich obyczajach. Co z przestępstwami?

— Otóż to — Sigmund był z siebie dumny. — Przez te dwa lata, chociaż mogłem coś przeoczyć, nazbierało się osiem morderstw,

dziewiętnaście kradzieży i sto trzy fałszerstwa dzieł sztuki. Kradzieże dotyczyły również dzieł sztuki. Nasz Norweg, gdyby zabił Pratza, nie odstawałby zbytnio od normy, jaka wyłania się z doniesień prasowych.

— Mam jednak nadzieję, że przejrzałeś również prasę liberalną? Rozumiesz, konserwatywni dziennikarze mogli być stronniczy.

— Oczywiście! Na fotografów nie starczyło już czasu, więc zgromadzeniem danych statystycznych nie mogę się pochwalić.

— Trudno.

— Jednak przy okazji zerkalem i na to. Cóż, w prasie przeważają reklamy zakładów fotograficznych i doniesienia o technologicznych nowinkach, jedynie dwa razy widziałem coś, co mogłoby pana inspektora zainteresować. W Tuluzie miejscowy fotograf skazany został na dwanaście lat za wykorzystywanie dziewcząt, fizyczne i, że tak powiem, artystyczne, natomiast drugi przypadek dotyczył fotografa zdradzającego żonę z modelami męskimi. Było ich wielu. Obrzydlistwo, ale podali to w formie ciekawostki.

— Dobrze. Gwałty?

Młodzieniec stracił entuzjazm.

— Nic nie rzuciło mi się w oczy. Przepraszam.

Reakcją Brauna był szczerý śmiech.

— Ze społecznego punktu widzenia to znakomita wiadomość. Dlaczego się zmartwiłeś?

— Pomyślałem, że pan inspektor będzie sądził, iż nie dość uważnie przeglądałem prasę.

Ignaz z ukrywaną sympatią spojrział na Sigmunda, zaraz jednak przybrał srogi wyraz twarzy.

— Uczysz się reguł i stajesz się posłuszny. Szkoda, gdyby nie twoje uczynki, byłyby z ciebie pożytek. Żyłbyś jeszcze z kilkadziesiąt lat. Szkoda.

Nastało milczenie. Dookoła mężczyźni słychać było słowicze trele. Koniki polne zamieszkałe hotelowy ogród ożywiły się i chwilami dominowały nad słowikami. Powietrze było świeże, pierzchno gdzieś zmęczenie miasta całodziennymi zabiegami o zwyczajne sprawy.

Księżyc oświetlał niepełną tarczą ogród, taras i bryłę budynku. Ignaz umoczył usta w alkoholu, odetchnął pełną piersią i chciał powiedzieć coś stosunkowo ważnego dla dalszego przebiegu śledztwa.

Nie zdążył. Od strony wyjścia dało się słyszeć mocny stukot butów i oto przed inspektorem stanął Georg Class. Dyszał ciężko, jego twarz czerwieniła się chorobliwym rumieńcem. Zawsze gładko przyczesane włosy, sterczały kilkoma rogami ułożonymi na różne strony. Duchowny nie miał na nosie binokli, dopiero stanąwszy przed Braunem wyszarpnął je z kieszeni i nałożył krzywo na nos.

— Panie inspektorze! Pragnę natychmiast złożyć zeznanie.

— Dotyczące Theodora Pracza? — zdumiał się Ignaz.

— W samej rzeczy — Class nerwowo spojrzał na von Macha, ten zaś zwrócił wzrok na Brauna.

— Młodzińcze — szybko syknął Ignaz — proszę zostawić nas samych. Proszę udać się do pokoju i czekać w pogotowiu na moje wezwanie.

— Oczywiście — Sigmund, jak to miał ostatnio w zwyczaju, ukłonił się i odszedł bezszelestnym krokiem.

Braun niemal ze współczuciem spojrzał na zdenerwowanego Georga.

— Proszę usiąść, pastorze.

— Dziękuję, wolę mówić na stojąco — odparł duchowny, po czym od razu usiadł.

Chciał zacząć, ale zabrakło mu oddechu. Roztrzęsionymi dłońmi próbował poprawić uczesanie, ale efekt był jeszcze gorszy od

poprzedniego. Przyjąwszy od Brauna papierosa, zaciągnął się i zakrztusił.

— Przepraszam. Nigdy jeszcze nie paliłem. Panie inspektorze, chcę z całą mocą i odpowiedzialnością powiedzieć, że zamordowałem Theodora Pratza. Okłamałem pana podczas naszej przedpołudniowej rozmowy. Jestem całkowicie, ja i tylko ja, winny zbrodni. Chociaż — dodał ciszej — ten człowiek zmusił mnie swoim postępowaniem.

Ignaz westchnął. Próbował sobie wyobrazić mimikę twarzy komisarza Renscha, gdyby ten usłyszał wyznanie rzucone właśnie przez duchownego.

— Proszę się uspokoić. I mówić jedynie o tym, co jest zgodne ze stanem faktycznym.

— Dziękuję, panie inspektorze. Już się uspokoiłem. Bałem się dziś rano. Wcześniej też się bałem, strasznie lękałem się o moją przyszłość, o doktorat, o ojca, o cały mój świat. Niech Bóg mi przebaczy ten strach. I tę zbrodnię.

Georg mówił coraz spokojniej.

Sam nie podejrzewał siebie o taki talent do ukrywania prawdy. Przedtem brzydził się kłamstwem, tymczasem od momentu zamordowania fotografa odkrywał w sobie niezliczone pokłady fałszu i obserwował zanik sumienia. W końcu jednak dzisiaj odezwało się w nim ze zdwojoną siłą i sprawiło, że przyszedł tutaj, do inspektora prowadzącego śledztwo, aby wbrew sobie, wbrew wszystkiemu przyznać się do popełnienia morderstwa.

— Cała historia zaczęła się jakieś trzy tygodnie wcześniej. Pamiętam, był ciepły wieczór, taki jak dzisiaj. Kończyłem właśnie jeden z kluczowych rozdziałów mojej pracy i nie chciałem marnować czasu na spacer.

Mogło być po dwudziestej drugiej. Do drzwi wejściowych ktoś energicznie zapukał. Georg, chcąc nie chcąc, poszedł otworzyć. Przed nim stał blady i roztrzęsiony Theodor Pratz. Zapytał o ojca, chciał się koniecznie z nim widzieć.

— Powiedziałem mu, że ojciec tego popołudnia wyjechał do Ostródy na trzydniowe zebranie tamtejszego konsystorza. Zmartwił się bardzo, obdarzył mnie niepewnym spojrzeniem i zapytał, czy naprawdę piszę doktorat z teologii. Potwierdziłem, a wtedy on zapytał, czy mógłby ze mną porozmawiać o bardzo poważnej kwestii.

— Zgodził się pan — dopowiedział Ignaz, kiedy pastor zapalił drugiego papierosa, po którego sam wyciągnął dłoń.

Pratz siadł na kanapie w pokoju Georga, nerwowo rozejrzał się na wszystkie strony i zniżył głos. Dwa dni wcześniej wykonywał zlecenie pewnego urzędnika pocztowego. Urzędnik życzył sobie, aby sportretować jego i żonę. Fotografia miała być zrobiona w mieszkaniu urzędnika, ściślej: w przestronnym salonie, niezbyt jasnym, ale ozdobionym ładnymi meblami i nie najgorszymi obrazami.

— Kiedy następnego dnia Pratz w swojej ciemni wywołał fotografię, zmartwił — duchowny nie po raz pierwszy ściszył głos. — Oprócz urzędnika i jego żony, siedzących na kanapie, był tam ktoś jeszcze.

— Proszę mówić. Dlaczego pan przerwał?

— Ponieważ pan inspektor nie uwierzy.

— Wierzę w wiele rzeczy.

— Na zdjęciu był szatan! Szatan, rozumie pan?! Stał pośrodku, nad kanapą, nad tymi ludźmi!

— Skąd pan wie, że to był szatan?

— Ma pan słuszość, ja w pierwszej chwili też nie uwierzyłem Pratzowi. Kto by uwierzył? Kiedy jednak wyjął z kieszeni zdjęcie i podał mi, odruchowo wypuściłem je z ręki. Potworne wrażenie!

Braun badawczo przyglądał się pastorowi. Ten nie sprawiał wrażenia szalonego, choć był zdenerwowany.

— Przecież powstaje mnóstwo fotografii astralnych, których autentyczności nikt przy zdrowych zmysłach nie jest w stanie bronić. Ektoplazma, i właśnie postaci pojawiające się na zdjęciach, a których wcześniej nie było. Przecież zna pan takie motywy, pastorze.

— Znałem też Pratz — zachnął się Class. — Nie był typem człowieka, który robi pseudognostyczne sztuczki. Pratz należał do wymierającego gatunku osób uczciwych.

— I dlatego pan go zabił? Bo nadal podtrzymuje pan tę wersję?

Przez usta pastora przeszło coś na kształt bolesiwego, ale i upiornego uśmiechu. Zabił fotografa!

Tamtego wieczoru, a właściwie przez całą noc rozmawiał z Theodorem Pratzem na temat fotografii. Staruszek miał zaczerwienione oczy, zapadłe policzki, a ręce trzęsły mu się, jakby miał o dziesięć lat więcej. Kilka bezsennych nocy spędził na rozmyślaniach i wpatrywaniu się w potworną postać. Wreszcie zdecydował się na poinformowanie najwłaściwszej instancji, czyli duchownego. Przyznał, że miałby większe zaufanie do doświadczonego Franza, ale skoro Bóg postawił na jego drodze Georga, ostatecznie również pastora...

— Muszę panu przerwać. Czy ma pan tę fotografię?

Duchowny bez słowa wyjął z kieszeni marynarki kopertę i podał ją Ignazowi. Braun szybkim ruchem wyjął zdjęcie. Jego oczom ukazały się dwie zażywe osoby w średnim wieku, siedzące na solidnej, ciężkiej kanapie, ubrane dostаточно i z mieszczańską elegancją. Nad nimi, pośrodku, tak jak opisał Class, widniała głowa.

Rysy oblicza były nijakie. Gdyby Ignaz miał je opisać w kwadrans po obejrzeniu fotografii, poradziłby sobie, w końcu oficer policji musi odznaczać się spostrzegawczością i pamięcią do twarzy. Niech będzie kilka godzin, nawet doba. Ale po dwóch? A jeśli nawet odtworzyłby w pamięci tę

twarz, opis nie nadawałby się do sporządzenia portretu pamięciowego. Niczego charakterystycznego, jak gdyby rozmyty symbol, z którego dopiero artysta, rzeźbiarz, malarz, mógłby uformować żywy byt.

Jednakże w twarzy było coś, co zastanowiło Ignaza. Po chwili wiedział, co. Właśnie przeraźliwa pustka, brak wyrazu niespotykany u nikogo. To nie była ludzka twarz! Należała do kogoś, kto nie ma żadnej nadziei, kto dotknął wszystkiego, wie wszystko, wie też, że nic dobrego go nie spotka. Żaden człowiek, nawet umierający lub bardzo nieszczęśliwy, nie ma tak smutnych, poprzez bezbarwność, oczu, tak doskonale martwych ust.

Braun już wiedział, dlaczego pastor od razu uwierzył fotografowi. Zakładając, że mówił prawdę.

Oddał zdjęcie duchownemu i dopił zawartość kieliszka. Class, poczęstowany, odmówił, natomiast zapalił trzeciego papierosa.

— Zdjęcie rzeczywiście robi wrażenie. Niestety, nie jest dowodem. Badania laboratoryjne wyjaśnią wszystko, ja natomiast chciałbym zapytać, jaki związek ta twarz ma z morderstwem?

— Niestety, zasadniczy. Panie inspektorze, sam przed chwilą powiedziałem, że Pratz był człowiekiem uczciwym.

— W istocie.

— Nie mogę negować jego uczciwości. Zwłaszcza teraz, kiedy sumienie odezwało się we mnie ze zdwojoną siłą. Etyka zawodowa i uczciwość przeważały w Theodorze nad rozsądkiem, rozważą i dobrem ogółu. On chciał... Chciał opublikować, ujawnić, chciał, żeby cały świat zobaczył szatana!

— A pan, jako duchowny, nie mógł dopuścić do czegoś, co może przynieść skutki trudne do przewidzenia, prawda?

Duchowny ochoczo przytaknął. Wstał, wyprostował się, spojrzął dookoła, jakby właśnie miał mówić kazanie. Ucichły nagle słowiki i koniki

polne, a księżyc przykrył niewielki, lecz ciemny obłok.

— Wszystko było w rękach tego uczciwego szaleńca! Nie był zresztą może szaleńcem, myślał prosto, nawet prostodusznie. I kiedy przyszedł do mnie, jeszcze się wahał. Opowiadał, że podczas wojny, kiedy był korespondentem w jakimś wydziale propagandy, nauczył się jednej rzeczy: portretować i oddawać rzeczywistość taką, jaka jest.

— Nie przekonał go pan?

— Niestety. Używałem różnych argumentów. Staralem się wytłumaczyć Pratzowi, że rozgłos towarzyszący takiemu zdjęciu może spowodować rozmaite konsekwencje. U niektórych może wzbudzić niezdrową fascynację złem i skierowanie się ku okultyzmowi, a w konsekwencji doprowadzić do oddawania czci duchowi ciemności. Przecież w dzisiejszych czasach nowe ruchy artystyczne wprost odwołują się do demonów. Słyszał pan o Przybyszewskim? Szalony Polak! Oni mają w sobie coś destrukcyjnego. Ale większość ludzi byłaby zgorszona. Pojawi się zwątpienie w moc Bożą! Jeszcze inni zlekceważą szatana, który, według nich, wyglądać ma tak niepozornie, po prostu nie zauważą w jego obliczu tej straszliwej pustki, jaką zauważył pan i ja. Poza tym sensacja mogłaby ściągnąć do Wejherowa żądnych sławy żurnalistów, amatorów ciekawostek i zwyczajnych oszustów, którym Bóg wie co może przyjść do głowy.

— I zamieszanie wśród teologów — dodał Braun.

— I zamieszanie wśród teologów, ma pan rację. Iluż to narodziło się w ostatnich latach sekciarskich egzegetów Biblii, za którymi idą tłumy nierozumnych ludzi! Konsekwencje mogły być niewyobrażalne.

Opowiadający zamilkł i sam zamyślił się nad tym, co powiedział. Zza chmury powrócił księżyc, tylko koniki polne i słowiki nie wiedziały, co począć po usłyszeniu tak zatrważających prognoz.

— I przez cały ten czas walczył pan z fotografem na argumenty?

— Nie mogłem spać ani jeść. Kiedy dwa tygodnie temu musiałem jechać do Królewca, każdej minuty drżałem na myśl, że Pratz w tym czasie roześle kopie zdjęcia do gazet. Na szczęście nie rozesłał, ale na dzień przed wieczorem u pani Neiss przyszedł do mnie i powiedział, że jego decyzja jest ostateczna. Następnego dnia po wieczorze miał zawieźć pierwszą kopię do „Danziger Tageblatt”.

— A jeśli by się rozmyślił? — Ignaz był sceptyczny.

— Pokazał mi kopertę ze zdjęciem, był bardzo zdeterminowany. Widzi pan, znałem Pratza od zawsze; jeśli mówił poważnie, wszyscy wiedzieli, że nie rzuca słów na wiatr.

Uwaga Brauna, że na wieczorze u pani Wilfridy duchowny nie sprawiał wrażenia zajętego czymś innym, niż uczucie do Elzy, nie zrobiła na duchownym większego wrażenia.

— Ja jestem pastorem. Do moich obowiązków należy powściąganie, kiedy to konieczne, wszelkich emocji. Nie mogę pozwolić sobie na epatowanie bliźnich własnymi nastrojami. Zaręczam jednak, inspektorze, że wewnątrz cały się gotowałem.

— I po zakończeniu spotkania...

— Szczegółów panu oszczędzę. Ojciec zasnął prędko, wymknąłem się z domu, sądząc, że zastanę Pratza u siebie. Tymczasem on był gdzieś jeszcze, wracał i zastałem go na podwórku. Proszę o aresztowanie.

Ignaz spojrzał prosto w oczy młodego pastora. Malowało się w nich zdecydowanie, upór i odwaga. Inspektor pomyślał, że w Georgu kłębią się wszelkie możliwe uczucia, oprócz żalu za popełnioną zbrodnię. A przecież taki, według Classa, był powód jego wieczornych odwiedzin.

Człowiek, który poświęcił się, popełnił morderstwo dla dobra ogółu...

Dotknięty dłonią inspektora dzwoneczek hotelowy przywołał boja Wilhelma.

— Mój chłopcze, zawołaj tutaj pana von Macha. Z pewnością jest w swoim pokoju.

— Tak jest! — ochotczo powiedział Wilhelm, obrócił się na pięcie i pobiegł wykonać polecenie.



Skomplikowane ludzkie charaktery

Berliński inspektor miał niejasną świadomość, że z chwilą, kiedy pojawił się przed nim Georg Class, wieczór miał się dopiero rozpocząć. Nigdy nie lubił prowadzić śledztwa w nocy, ale wiedział też, że niekiedy okoliczności zmuszają funkcjonariusza do robienia tego, co nie jest mu w smak.

W domu komisarza Renscha panowała wyjątkowa cisza. Pani Katarzyna kończyła właśnie wyszywanie monogramu na nowej chusteczce, którą zamierzała podarować swojej serdecznej przyjaciółce, Adelajdzie Horn. Kiedy zajęta była robótkami, wymagała od męża spokoju i niewchodzenia do saloniku, który zajmowała. Komisarz udawał, że martwi go niezwykle taki stan rzeczy, w skrytości ducha zacierał jednak ręce i sięgał po lekturę, ostatnio zajmowały go *Opowieści niesamowite* Edgara Allana Poe. Wieczorami na ogół miewał mroczne zamyślenia literackie.

Kończył właśnie ostatnie strony *Berenice*, gdy oto donośne pukanie do drzwi spowodowało, że jego żona krzyknęła z saloniku, by sprawdził, kogo diabli niosą do porządnego domu o tak późnej porze.

— Panie komisarzu, pokornie przepraszam, że niepokoję, ale sprawa jest niecierpiąca zwłoki — nieśmiało odezwał się Sigmund von Mach na

widok marsowej miny szefa wejherowskiej policji.

— A co pan, u licha, ma mi do powiedzenia?

— Ja nic, nie śmiałybym — spuścił głowę młodzieniec. — Ale inspektor Braun prosi pana komisarza do siebie, do „Königlicher Hof”. — Von Mach zniżył głos. — Oczywiście chodzi o morderstwo. O Theodora Pratzka.

Posterunkowy Bochentin siedział w kuchni. Trzymał przed nosem *Najcelniejsze dowcipy o stróżach prawa* autorstwa Ottona Lischkego, które poprzedniego dnia pożyczył mu Heinz. Z książeczką naturalnie nie należało obnosić się w pracy, więc Arno oddawał się lekturze w chroniącym prywatność domu.

Żona posterunkowego wprowadziła człowieka, którego policjant, jak zresztą nikogo innego, nie spodziewał się ujrzeć późnym wieczorem. Nie słyszał pukania do drzwi, zajęty zabawną lekturą. W dodatku okoliczności ze wszech miar nie sprzyjały przyjmowaniu gościa, zwłaszcza pochodzącego z dość wysokiej sfery. Arno Bochentin moczył bowiem nogi w wielkiej emaliowanej misce. Ubrany był w rozpiętą domową koszulę ze stójką i białe kalesony, co nie licuje z godnością funkcjonariusza cesarskiej policji, nawet jeśli posiada on jedynie stopień posterunkowego.

— Pan Sigmund von Mach?! — krzyknął gospodarz, jakby chcąc się upewnić, że wzrok go nie myli.

— Tak — cicho odpowiedział intruz. — Najmocniej przepraszam pana posterunkowego, ale komisarz Rensch... I inspektor Braun...

— Znowu cię wzywają? Wiedziałam, że tak będzie, na długo przedtem nim za ciebie wyszłam — wtrąciła pani Bochentin.

Mąż przewidującej kobiety był jednak mile połączony sposobem, w jaki zwracał się do niego von Mach. Tak zwracano się w jego obecności jedynie do komisarza.

— Niechże pan się uspokoi — powiedział protekcjonalnie. — Proszę zaczekać w korytarzu, za chwilę będę gotowy.

Taras hotelu, tak niedawno będący świadkiem wyznania pastora Classa, stał się miejscem policyjnej narady. Trwała ona niedługo. Nieco dłużej, na samym początku, inspektor Braun tłumaczył komisarzowi i posterunkowemu, co spowodowało zaproszenie ich o tak nietypowej porze.

Stamtąd policjanci udali się do atelier Theodora Pratza, uprzednio zabierając z komisariatu klucze do królestwa fotografa. Spędzili tam pracowite dwie godziny, przetrząsając wszystko, co tylko się dało. Tym razem ich poszukiwanie miało konkretny cel — znalezienie teczki z fotografią przedstawiającą szatana.

Posterunkowy Bochentin nieraz zaklął przy pracy, komisarz Rensch klął w głos, paląc cygaro za cygarem, co nie przeszkadzało mu w sprawnym przerzucaniu stert zdjęć, kalotypów, heliograviur i wszystkiego, co mogło zagradzać drogę do wymarzonego znaleziska. Braun szukał znacznie spokojniej i nie okazywał rozczarowania, gdy każda kolejna wyspa fotograficznych zbiorów okazywała się nie zawierać tego, co należało.

— A jeśli pastor był tutaj po zabójstwie Pratza i zabrał dowód? Na wszelki wypadek, aby nikt nie ujrział zdjęcia? — zapytał wreszcie inspektor.

— A jakby wszedł? Wyobraża go pan sobie z wytrychem? Dlaczego zresztą, u licha, miałby pana okłamać w takiej sprawie, skoro przyznał się do zabójstwa? — przytomnie odparł posterunkowy.

— Ponieważ dusza ludzka jest skomplikowana. Może chciał oczyścić swoje sumienie wyznaniem, ale tak, aby nie znaleziono dowodu na jego prawdomówność. W takim wypadku byłby uniewinniony. Nikt nie chce

siedzieć w więzieniu. Przyznać się, a nie być ukaranym! A wytrych? Nie znacie możliwości ludzi zdeterminowanych?

Komisarz, gasząc resztkę cygara, zaśmiał się nerwowo.

— Sugeruje pan więc...?

— Tak, zrobimy rewizję w mieszkaniu pastora.

— Czy pan wie, na co się decydujemy? — zapytał Rensch, a zaraz potem dodał: — Chodźmy więc! Tak, chodźmy!

Franz Class, obudzony równo o godzinie drugiej w nocy, wyglądał na otumanionego. Długo nie mógł zasnąć. Wiedział już, że jego syn znajduje się w areszcie i nie spodziewał się, że choć na chwilę zmruży powieki. Sen okazał się silniejszy.

Na widok policjantów pastor pomyślał, że czeka go długie i przykre przesłuchanie. Stało się jednak coś znacznie gorszego. Komisarz Rensch pokazał mu nakaz przeszukania. Pastor nie zdążył nawet zaprotestować, a już posterunkowy Bochentin znajdował się w pokoju należącym do Georga. W jego ślady poszli oficerowie. Po dobrych paru minutach Franz Class ryknął:

— Jak śmiecie! Pan starosta wywali was na zbity pysk z Wejherowa! Pana i tego posterunkowego! A ty, młody człowieku — oskarżycielskim gestem wbił palec wskazujący w powietrze tuż przed Braunem — nie wiesz jeszcze, że znam w Berlinie generała von Zellten!

— Cieszę się, że teraz już wiem. Zaraz poproszę o okazanie nam również swojego pokoju i gabinetu.

— Jakim prawem?!

— Nakaz obejmuje całe mieszkanie. Tak — nieśmiało odparł komisarz, który powoli zaczynał żałować, że zgodził się na szaleńczy pomysł Brauna. Inspektor w końcu odjedzie do swojego Berlina, gdy tymczasem on,

Rüdiger Rensch, zostanie sam na sam z pastorem i starostą Keyserlingiem, oddanym przyjacielem duchownych ewangelickich.

Kiedy szef wejherowskiej policji dopowiadał ostatnie słowa, posłyszał za sobą delikatne, lecz przenikliwe gwizdnięcie. Obejrzał się. Za nim stał Ignaz Braun, trzymając w dłoni plik kartek opakowanych banderolą z usztywnionego, zdobionego papieru.

— Co to jest? — równocześnie zapytali komisarz i posterunkowy.

— *Wyborowy zbiór fotografii astralnych zadziwiających a prawdziwych.* Nakład: osiem tysięcy, drukarnia Eugena Kamnitza z Lipska. Kilka z nich przedstawia duchy podobne do wypchanych prześcieradeł, dwa z nich mają nawet kajdany na nogach. Jest jedna czarna dama i kilkoro dzieci umarłych we wiośnie życia. O, tutaj medium wydziela z siebie ducha Napoleona. Nie lubię Napoleona. Ach, byłbym zapomniał, są też dwie podobizny szatana. Każda inna...

Braun z niewinną miną podał widokówki wejherowskim funkcjonariuszom, którzy chciwie rzucili się na znalezisko.

— Tego już za wiele! — wrzasnął pastor. — Co wy sobie myślicie! Mój syn i podobne bzdury?! O co tu właściwie chodzi?

— Proszę posłuchać — ostrym tonem odparł Braun. — Właśnie znalazłem dowód niewinności pańskiego syna, pastorze. Najście było konieczne i może pan nam być wdzięczny. Choć nie wiem, czy dotrze to do pana przed upływem tej nocy. Potem syn wszystko panu wytłumaczy.

Komisariat zdawał się całkowicie uśpiony. Heinz, który miewał kłopoty ze snem, często przyjmował nocne dyżury, dające przywilej dodatkowego przydziału węgla w okresie zimowym. Tak było i tym razem. Obok niego siedział Anton Myszk, który, z uwagi na liczbę osadzonych, zmuszony był towarzyszyć koledze. Heinz grał sam ze sobą w szachy, natomiast Myszk

drzemał, oparty łokciami o wysłużone biurko, nad którym paliła się lampa naftowa.

Nadejście oficerów i posterunkowego Bochentina z początku nie zbudziło Antona, gdy jednak Heinz zaczął w dość ożywiony sposób tłumaczyć przełożonemu, że przerażony Lars Hamaren pragnie złożyć kolejne zeznanie, Myszk zbudził się.

— O, pan inspektor — ucieszył się poczciwy policjant.

Heinz wprowadził Norwega. Potomek wikingów rzeczywiście wyglądał na roztrzęsionego. Nogi ugiwały się pod nim, broda drżała, a dzikie oczy ślizgały się niespokojnie po zgromadzonych.

— Panie komisarzu, panie inspektorze — starał się mówić spokojnie. — Chciałbym odwołać poprzednie zeznanie.

— Czyżby jednak nie zamordował pan Theodora Pratza? — zdziwił się Braun. — A komisarz przesłał już stosowne akta do prokuratury. Rozprawa odbędzie się szybko, to kwestia miesiąca. Proszę nie utrudniać...

— Błagam, skończmy z tym! — krzyknął Norweg.

— Pan zaczął. Tak. Zdaje się, że mam rację? — komisarz był napuszony jak paw. Niekiedy lubił czuć władzę nad aresztantami.

Pięść Hamarena, który poderwał się nagle, głucho uderzyła w ścianę.

— Jakim ja jestem idiotą — wyszeptał.

Arno Bochentin uśmiechnął się pod nosem. Gdyby przybysz z Północy dojrzał uśmiech funkcjonariusza, mógłby czuć się cokolwiek urażony.

— Panowie — westchnął Norweg. Jego twarz wyrażała prawdziwą mękę. — Jak wiecie, jestem artystą. Możecie mi uwierzyć lub nie, ale potrzebuję takiego natchnienia, jakiego nie daje przyroda, miłość i nienawiść. Chciałem, wzorem wielu moich poprzedników, doświadczyć, czym jest pusta cela i groźba kary śmierci.

— Carravaggio... — zamyślił się Braun.

— Właśnie. Nie mogę skończyć tej przeklętej symfonii. Wymyśliłem koszmarną bajeczkę o reprodukcjach. Myślałem, że gdy znajdę się w areszcie, wszystkie zmysły zaczną inaczej pracować, że moja dusza wzniesie się na nieznane dotąd poziomy udręki i ekstazy!

— Ładnie powiedziane. Jednak kontakt z rzeczywistością...

Więzień głęboko westchnął.

— Ta kasza i kawa zbożowa! Boże! A czy pan wie, jak zimno jest w celi?

— Nie palimy — grzecznie odparł komisarz. — Tak. Jest lato.

— Grube mury, winne są grube mury — artysta pociągnął zakatarzonym nosem. — W dodatku poprosiłem o zeszyt z nutami, ale posterunkowy, ten blondyn o twarzy hodowcy świń, powiedział, że nie da się nic zrobić. Zresztą gdybym nawet mógł posłać po nuty, on nie ma prawa przynieść mi lampy. Ani nawet świeczki. Obrzydliwa kreatura — rzucił na koniec pod adresem Heinza, który ze stoickim spokojem przysłuchiwał się powyższym wyznaniom.

„Od dawna podejrzewałem, że ci nowomodni artyści są zgrają idiotów” — z satysfakcją pomyślał komisarz Rensch.

Kiedy Lars Hamaren został zwolniony przy zachowaniu minimum procedur, przed policjantami stanął młody pastor. Georg Class, w odróżnieniu od Norwega, zachowywał się godnie. Jego oczy utkwione były w nieokreślonej dali. Oddychał spokojnie, pogodzony już z losem i zdecydowany na najgorsze.

— Znowu się spotykamy — wesoło zaczął Braun.

— Nie oczekiwałem niczego innego — beznamiętnie odparł duchowny.

— I liczył się pan z procesem zakończonym karą śmierci? Tak. Z karą śmierci — komisarz wziął się pod boki.

— Tak.

Inspektor sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął z niej plik pocztówek.

— Muszę więc pana rozczarować. Dylematy skazańca, jego troski i obawy, są już w pana przypadku przeszłością.

— Skąd, skąd pan to ma?! — pastor sięgnął po pocztówki, które Ignaz podał mu bez oporu.

— Pan chyba wie najlepiej, pastorze, gdzie schował ten jakże ważny dowód w sprawie — ironia była tym, co Braun kochał od zawsze.

— Przepraszam. Chciałem dobrze.

Cygaro w dłoni komisarza zajarzyło się płomyczkiem. Ogień podał posterunkowy Myszk.

— Nie wątpię — kontynuował inspektor. — Proszę nam jednak powiedzieć, co skłoniło pana do tak, wybaczy pan, idiotycznego ruchu?

Pastor wziął głęboki oddech, zaraz też zaczerwienił się jak pensjonarka.

— Panowie będą się śmiać. Otóż... Gertruda, panna Dangel, przedwczoraj poprosiła mnie o rozmowę. Była bardzo zdenerwowana. Kiedy usiadła przede mną, jej pierś falowała niespokojnym oddechem.

— Pan chyba czyta nie tylko traktaty teologiczne. Tak. Ale i romanse! — niecierpliwiał się Rüdiger Rensch. — Do rzeczy!

— Spojrzała na mnie jakoś dziwnie i powiedziała, że zabiła Theodora Pratza. Sądziłem, że wystąpiły u mnie jakieś omamy słuchowe, ale nie, ona powtórzyła to samo.

— A pan?

— Pomyślałem, że oszalała. Gertruda jednak uspokoiła się i, patrząc na mnie przenikliwie, znacząco, powiedziała po raz trzeci, że zabiła pana Pratza. I że mam być spokojny o jej duszę. Przyzna się do wszystkiego w imię uczuć wyższych. Potem z płaczem wybiegła z mojego pokoju, zostawiając mnie samego z takim wyznaniem.

— W imię uczuć wyższych, mówi pan — wtrącił Ignaz.

— Tak. Zastanawiałem się nad tym i zastanawiałbym się dłużej, ale należało szybko działać. Przecież nie mogłem dopuścić, aby ona przyznała się do morderstwa. Nie wierzyłem, że je popełniła.

— I pan, pastorze, poświęcił się dla niej?

Poświęcił się. Znał ją od dziecka. Bawili się w chowanego, rozmawiali godzinami o wszystkim i o niczym, potem opowiadała mu o bólu po stracie rodziców, on zaś szukał u niej pocieszenia po śmierci matki.

— Przecież ona jest dla mnie taka ważna! — wykrzyknął duchowny. — Miałaby iść na szafot?!

— Heinz, proszę posłać po pannę Dangel — uroczyście oświadczył inspektor Braun, a komisarz potwierdził polecenie skinieniem głowy.

Po upływie pół godziny do gabinetu komisarza wprowadzono Gertrudę. Stała jak wryta, widząc przed sobą Georga. W pomieszczeniu znajdowali się jeszcze Braun i Rensch. Panna zauważyła ich, stojących nieco w cieniu, mimo gęstych oparów dymu.

— Przepraszamy panią za tak nietypową porę, ale okoliczności są nadzwyczajne — ozwał się Ignaz.

— Jeśli miało się zostać diakonisą, trzeba być przygotowanym do wstawania w nocy. Nie przeszkadza mi żadna pora.

— Dlaczego pani mówi w czasie przeszłym?

— Ponieważ zabiłam Theodora Pratza i poniosę karę — odparła dziewczyna, spojrzawszy przelotnie na pastora.

Komisarz Rensch w paru niezbyt grzecznych słowach powiedział Gertrudzie, że duchowny złożył fałszywe zeznanie, obciążające go, żeby ratować właśnie ją, okazało się jednak, że jest niewinny.

Na twarzy panny wykwitł mocny rumieniec. Nieśmiało odwróciła wzrok w stronę Classa.

— Georg?

— Słucham... — wyszeptał.

— Zrobiłeś to dla mnie?

— Dla ciebie.

— Dlaczego?!

— Nie potrafiłem znieść myśli, że mogłabyś trafić do więzienia. Albo... gdzie indziej. Nie mogłem do tego dopuścić.

— Chciałeś się dla mnie poświęcić? — zachwyt w głosie dziewczyny był bardzo źle ukrywany.

— Chciałem! Kiedy powiedziałaś mi, że zamordowałaś tego biednego fotografa, od razu wiedziałem, bez względu na to, co o tobie wtedy pomyślałem, że muszę dać ci wolność. Nieważne, jakim kosztem.

— Dlaczego?! — powtórzone pytanie było na wpół natarczywe, na wpół zalotne.

— Dlatego, że cię kocham — pastor najwidoczniej zapomniał, że w gabinecie są policjanci.

— A... Elza?

— Daj spokój. Ostatnią osobą, która usłyszała o moim zainteresowaniu Elzą, był inspektor Braun. Ale, przepraszam, inspektorze, wprowadziłem pana w błąd, aby ukryć moje nowo odkryte uczucie. Wtedy prawdziwy powód mojego przyznania się do winy pozostawał tajemnicą.

— Przepraszam, że wtrączę się do tej idylli — huknął komisarz. — Czy jednak nie zapomnieli państwo, że panna Dangel przyznała się do zabójstwa? Czy nadal pani podtrzymuje tamto zeznanie? Czy też może dołącza pani do galerii szkodników, którzy dla zabawy wprowadzają w błąd cesarską policję? Tak, stanowczo domagam się wyjaśnień!

Gertruda bez słowa wyjęła z dużej torebki kopertę i podała ją komisarzowi. Ten chciwie wyjął z niej kartkę i zaczął czytać na głos:

Georg Class zabił Theodora Pratzę. Dowody są w rękach policji. Nie wszystkie jednak. Jeśli chce pani poznać całą prawdę, proszę przyjść w poniedziałek na Rynek i stanąć pod pomnikiem cesarza o godzinie 13.45.

— Poszła pani? — zdezorientowany Rensch spojrział na dziewczynę.

— Za kogo pan mnie uważa? — oburzyła się. — Od razu poprosiłam Georga o spotkanie. Jeśli był winny, chciałam mu okazać, chociażby nie wprost, co do niego czuję. I że Bóg mu przebaczył, zsyłając ratunek. Jeśli natomiast był niewinny, tak jak ja, liczyłam na przenikliwość policji. Powiedziałam, że to ja zabiłam pana Pratzę. Że to wersja ostateczna. I wybiegłam.

— Miała pani szczęście — zauważył Braun. — Swoją drogą, historia niezwykle romantyczna. Zechciałby pan okazać mi ten list, komisarzu?

Cztery zdania, które mogły wyrządzić krzywdę pastorowi lub pannie Gertrudzie, złożone były z liter wyciętych z najróżniejszych gazet. Nie było możliwości zidentyfikowania nadawcy.

— W tej sytuacji możecie państwo iść sobie do domu — nastroszył się Rüdiger Rensch. — I proszę zapamiętać: komisariat policji nie jest miejscem odgrywania ról w amatorskim teatrzyku. Ani firmą zajmującą się swataniem — dodał odrobinę cieplejszym głosem.

Panna Gertruda i pastor jakby na rozkaz spuścili głowy, ale ich żal był udawany. Marzyli tylko o tym, aby wyjść z gabinetu i znaleźć się sam na sam.

Nie musieli długo czekać. Po kilku minutach, na Rynku, spojrzeli na siebie z czułością. Wokół nich panowała mgła, nigdzie nie było żywej duszy. Duchowny słusznie uznał, że może pocałować niedoszłą diakonisę.



Zbiorowa fotografia i coś, co ukradziono

Po wyjściu Classa i panny Dangel policjanci spojrzeli na siebie i wybuchnęli śmiechem. Był to śmiech nerwowy i charakterystyczny dla osób zmęczonych wyczerpującą pracą.

— Właściwie nie okłamał nas jedynie Gottlieb Meinhard — zauważył Ignaz. — Przynajmniej w zakresie służby wojskowej Pratza. Wiedział o niej, więc samo istnienie i śmierć brata jest możliwa. Jaki miał motyw, przyznając się? Bez względu na „drobiazg”: zabił czy też nie?

— Diabli wiedzą — komisarz zapalił kolejne cygaro.

Zamierzał właśnie nalać sobie, a także gościowi z Berlina, kieliszeczek czegoś mocniejszego, gdy nagle otwarcie drzwi gabinetu, niepoprzedzone pukaniem, zakłóciło brutalnie odwieczny obyczaj panujący w relacjach przełożony — podwładny. Przed oficerami stanął podekscytowany posterunkowy Bochentin.

— Przepraszam, panie komisarzu, ale właśnie przyszła panna Gephard. Twierdzi, że ma coś bardzo interesującego do powiedzenia. Wprowadzić?

— Tak! Albo nie, najpierw ją zabij. Zaduś, zastrzel, jesteś w końcu policjantem, wiesz, jak takie sprawy się załatwia. Tak, wprowadź!

Do gabinetu weszła pewnym krokiem Eleonora. Jej wyprostowana sylwetka, chwilowy brak dołków w policzkach i skupienie, wszystko to zrobiło na policjantach duże wrażenie.

— Panowie, być może nie wypada o świcie nawiedzać panów, ale moja wizyta podyktowana jest troską o wyjaśnienie zagadki zabójstwa wujka Theodora. Pana Pratza — poprawiła się. — Spodziewałam się, że zastanę tutaj jedynie dyżurnego policjanta, ale jeśli panowie oficerowie obaj są na miejscu, znaczy to, że Opatrzność czuwa.

Ignaz wyjrzał przez okno. Rzeczywiście, świtało. Pierwsze nieśmiałe światłocienie wbijały się miękko w nocną ciemność.

— Prosimy — Braun pochylił się do przodu, jakby miał dzięki temu lepiej słyszeć.

— Otóż w środku nocy zaalarmowana zostałam przez znajomą, mieszkającą tuż nad atelier, że z dołu dochodzą odgłosy włamania. Jakieś głosy, przekładane szuflady, słowem, znajoma była przerażona. Pobiegłam razem z nią i rzeczywiście, ze środka dosłyszałam tajemnicze odgłosy, nie mówiąc już o blasku lampy. Nie odważyłam się jednak wejść do środka.

— Zaczekała więc pani na górze, aż wszystko ucichło. I kiedy zobaczyła pani, że opuszczamy atelier...

Panna Eleonora uśmiechnęła się nieznacznie. Tak, w zakładzie fotograficznym znajdowali się policjanci. Zaraz po ich wyjściu, które obserwowała z okna, zeszła do atelier, aby sprawdzić, co się tam stało. Miała klucze, o czym zresztą policja wiedziała już wcześniej.

— Zastałam pobojowisko. Tak musiały wyglądać obozy francuskie po klęskach doznanych od nas za kanclerza Bismarcka. Czy panowie nie

mogliby sprzątać po takich rewizjach? Skoro naród ma mieć do was zaufanie?

— Do rzeczy, moja panno — komisarz nie zamierzał polemizować z dziewczyną na temat obyczajów niemieckiej policji.

Porządkowanie mogło zająć ładnych parę godzin. Jednak Eleonora, jako osoba praktyczna i pracowita, nie załamywała rąk. Od razu wzięła się do roboty. Minęło może pół godziny, kiedy dotarła do szuflady z chaotycznie poprzekładanymi przez któregoś z trzech policjantów płytkami gotowymi do wywołania. Zamierzała ułożyć je tak, jak miał w zwyczaju zmarły, a więc według symboli, nieznanym funkcjonariuszom.

— Wujek Pratz zagubiłby się w tych swoich zbiorach, gdyby nie przyjął jakiegoś systemu. Tylko ja wiedziałam, jak określał płytki według czasu wykonania i tematów. Moją uwagę przykuła ta oznaczona symbolem AL 15.6.05. WN.

— Rzeczywiście, jakieś litery i cyfry widzieliśmy, ale strasznie skomplikowany ten system — powiedział komisarz.

— Może. Ale ja wiem, jak go czytać. AL oznacza „wieczór, zbiorowa fotografia”. Potem jest data, na końcu inicjały gospodyni. Proste?

— Kiedy pani rozjaśniła sytuację, proste — uśmiechnął się Ignaz. — I co dalej?

Eleonora wiedziała, co dalej. Stała przed policjantami z płytką zawierającą zdjęcie z tamtego wieczoru. Właśnie TO zdjęcie.

— Czy na komisariacie jest ciemnia? — z nadzieją w głosie zapytał inspektor.

— Niestety...

— Tę fotografię mogę panom wywołać w ciągu godziny — nonszalancko wzruszyła ramionami panna Gephard, ale widać było, że zżera ją ciekawość. — Wystarczy tylko wrócić do atelier.

Dwaj mężczyźni pochyleni byli nad kartą. Czerwone oświetlenie ciemni sprawiało, że wyglądali jak upiory. Ściany pracowni przywodziły na myśl wnętrze jakiejś czerwonej oberży, gdzie systematycznie morduje się gości. Pośrodku stała dziewczyna. Koniuszek jej języka wystawał spomiędzy czerwonych teraz zębów, a dołki w policzkach zdawały się nie tak urokliwe, jak przy jasnym świetle.

Czerwone szczypczyki przytrzymały czerwoną kartę. Zaraz jednak wszyscy troje opuścili złowrogie wnętrze i znaleźli się w jasnym, przestronnym pokoju, w którym paliła się lampa elektryczna.

Trzy pary oczu wpiły się w fotografię i, rozbiegane, starały się jak najszybciej zapoznać z każdym centymetrem kwadratowym. Przyszła kolej na szczegóły, detale, które mogłyby wskazać coś osobliwego.

Nie szukali długo. Komisarz zaklął, nie zważając, że znajduje się w towarzystwie młodej damy. Młodej damie zadrżały dłonie, a Braun poczuł, jak cała krew napływa mu do głowy. Jednocześnie przetarł ręką czoło. Było zimne i zroszone potem.

Elza Neiss była zanadto wesoła. Pani Wilfrida oschła i dostojna. Franz Class miał skwaszony uśmiech. Jego syn również. Ernest Schreder patrzył w obiektyw z wyraźną pobłażliwością. Pani Antoinette poruszyła akurat głową i jej twarz była zamazana. Hamaren zdawał się nieobecny myślami, a Gertruda smutna. Eleonora nie pomyślała o analizie fotogeniczności własnej osoby. Nie zastanawiała się też nad kamienną fizjonomią doktora Paschinskiego i wystudiowaną pozą Ignaza Brauna, symbolizującą niezaprzeczalnie godność cesarskiego urzędnika.

Wzrok Eleonory powędrował w stronę, gdzie obok siebie, dotykając się ramionami, stali pochyleni komisarz i inspektor. Teraz zauważyła, że w czerwonym świetle wyglądają jak wampiry. Ale nie byli wampirami. Byli wygłodniałymi zwierzyny myśliwymi, którzy wreszcie poczuli posokę.

Oni również, tak jak dziewczyna, widzieli już, co jest na fotografii. A raczej, kogo na niej nie ma.

— I mamy klucz. Tak. Mamy klucz do wszystkiego. Do kroćset, chyba się nie mylę, kochany inspektorze? — Rensch nie sięgnął po chusteczkę. Otarł mokre czoło dłonią o grubych palcach.

— Chyba tak. Na pewno. Pozostaje pytanie, dlaczego?

— Ależ wystarczy ich teraz przycisnąć. Zaręczam panu, że potrafię!

Eleonora triumfalnie podniosła głowę znad zdjęcia, któremu znowu się przyglądała.

— Jak dobrze, że znam ten system oznaczania płytek! I dobrze, że umiem wywoływać zdjęcia.

— Jest pani bezcenna, panienko — zgodził się Braun. — I nigdy nie zapomnimy o pani pomocy. Teraz jednak przed nami zadanie, które wykracza poza pani kompetencje. I mamy do czynienia prawdopodobnie ze sprawcami. Proszę zrozumieć... Proszę wrócić do domu. Wydarzenia tej nocy, przynajmniej na razie, muszą pozostać w tajemnicy. Niech pani nie zdradza się ze swoją wiedzą przed nikim. Naprawdę przed nikim. Chodzi o bezpieczeństwo.

Dla rezolutnej dziewczyny sprawa była oczywista. Zdobyła się nawet na uśmiech, choć dołki w policzkach nadal nie prezentowały się w czerwonym świetle zbyt powabnie.

Cesarscy policjanci odprowadzili pannę Eleonorę pod drzwi domu. Potem gdy znikła już za solidnymi dębowymi drzwiami kamienicy, spojrzeli na siebie. Byli bardzo zmęczeni. Nawet myśliwi mogą odczuwać zmęczenie.

— Czy nie sądzi pan, że powinniśmy zdrzemnąć się choć ze dwie godzinki? Rano zabierzemy się za nich.

— Poza tym pani Katarzyna byłaby chyba zdziwiona, że nie było pana komisarza w domu przez całą noc... — uśmiechnął się Ignaz.

Dookoła panowała doskonała cisza. W małym mieście niemal o każdej porze słyhać coś lub kogoś, jednak o czwartej nad ranem sytuacja zazwyczaj przedstawia się zgoła inaczej. W takiej oto ciszy, w odpowiedzi na słowa Brauna, dało się słyszeć szmer westchnienia wydobywający się z płuc komisarza.

— Tak. Pani Rensch nie omieszkałaby zakomunikować mi, co o tym myśli. Nie, żebym miewał jakieś epizody z niewiastami o rozłożystych kształtach, bo takie, między nami, lubię najbardziej, czego pan zapewne się nie domyślał...

— O, rzeczywiście, kto by przypuszczał — wtrącił Ignaz tonem bardzo autentycznego zdziwienia.

— Otóż to. Ale widzi pan, ona uważa, że mężczyzna na stanowisku w nocy grzeje pierzynę w sypialni, a nie ugania się za przestępcami. Że od tego mam tych moich posterunkowych. A Katarzyna nie skończyłaby na jednym zdaniu.

Przybysz z Berlina porozumiewawczo skinął głową i uściśnął dłoń komisarza. Mieli się spotkać na komisariacie o ósmej rano. Nim się położą, a pewnie nie zasną tak szybko, choć kto wie, przed wyjściem trzeba się umyć, ogolić, dobrać odpowiedni kołnierzyk do koszuli. Mało czasu, jakby nie patrzeć. Właśnie, finał sprawy Theodora Pratza wymagał godnej oprawy. Byli co do tego zgodni. Ignaz od czasu, kiedy zatrzymał przy próbie kolejnego morderstwa słynnego „Muzealnika z Görlitz” (był wtedy, dla potrzeb operacyjnych, przebrany za wędrownego sprzedawcę patelni), odczuwał głęboki niesmak do podobnych okoliczności. Zatrzymanie przestępcy to jednak święto. A i komisarzowi żona ciągle przypominała, że do pracy musi iść wypoczęty i w dobrze skrojonym garniturze oraz

wyglansowanych butach. „Pamiętaj, Rüdigerze, jak cię widzą, tak cię piszą”.

Łóżko Brauna zatrzeszczało delikatnie. A więc już jutro? A właściwie dzisiaj... Wtulił się w sztywną, nakrochmaloną aż do przesady pościel, jaką lubił najbardziej. Zniknęła gdzieś zapalczywość myśliwego. Pojawiło się przyjemne oczekiwanie. Takie, jak przed wakacyjnym wyjazdem na wędrówki po Karkonoszach, czy jak w dzieciństwie, kiedy odliczał dni do pierwszej wigilijnej gwiazdki.

I niepostrzeżenie nadszedł mocny, choć krótki sen.

Przebudzenia Ignaza Brauna, z nielicznymi wyjątkami, bywały niemal identyczne. Ledwie świadomość bycia na jawie pojawiała się nie wiadomo skąd, wiedział, że musi wstać. Wystarczyła odrobina silnej woli. Moment, w którym należało podnieść ciało ociężałe od snu, naprawdę nie był długi. Później było już tylko lepiej.

Przez moment miał żal do siebie, że pierwsza myśl nie dotyczyła Bernadety. Nie, gdy się przebudził, przed oczami stanęła mu fotografia, na której ich nie było. Dopiero później, gdy golił się świeżo naostrzoną brzytwą nieznaną mu dotychczas firmy „Gerlach”, żona całkowicie zawładnęła jego wyobraźnią. Niekiedy przez uchylone drzwi łazienki obserwowała, jak się golił. Potem wchodziła do środka i ścierała z jego twarzy resztki mydła. Pachniała wtedy lenistwem i sennością niedawno minionej nocy. A on czuł się wówczas znacznie szczęśliwszy niż kilkanaście minut wcześniej, gdy podnosił się z łóżka.

Znów odgłosy życia za oknem. Wóz przejeżdżający po kocich łbach, nawoływania jakichś przechodniów, trzask zamykanych drzwi niedaleko od hotelu. Dzień budził się z niezmienną determinacją.

Niespiesznie zjadł śniadanie. Jajko na miękko w hotelowej restauracji było jak zawsze w sam raz. Szynka miała może zbyt wąski pasek tłuszczu, za to kawa pachniała kenijskimi plantacjami. Tak sobie często powtarzał w myślach, gdy napar bardzo mu smakował. Trzy plasterki masdamera, tego również potrzebował. Rogalik — bez zarzutu. Bez względu na okoliczności, porannemu posiłkowi trzeba poświęcić tyle czasu i uwagi, ile należało.

Gdy już miał wychodzić z „Königlicher Hoff”, usłyszał za sobą głos dyrektora Alslebena.

— Halo, drogi panie inspektorze!

— A, dzień dobry — odpowiedział ze źle skrywanym zniecierpliwieniem.

— Dobrze, że pana widzę — Alsleben skłonił się z niejaką dwornością. — Jest tu od pół godziny pani Neiss...

— Pani Wilfrida? — zdziwił się Braun.

— W rzeczy samej. Została w kawiarni, zaproponowałem jej bowiem, żeby spoczęła wygodnie w oczekiwaniu na szanownego pana inspektora.

Ignaz niezwłocznie poprosił hotelarza, aby ten zaprowadził go do kobiety. Tak, kawiarnia o tak wczesnej porze, pusta i spokojna, stanowiła najlepsze miejsce do rozmowy. Jeśli Wilfrida odwiedza go o tak nietypowej porze, musi mieć do powiedzenia coś ważnego. A równocześnie nie chce, aby rozmowa miała miejsce na komisariacie. Zagadkowe...

Alsleben, choć zapewne niechętnie, oddalił się zaraz po tym, jak z wyszukaną uprzejmością zaprowadził Ignaza aż do stolika, przy którym siedziała Wilfrida Neiss.

Kobieta natomiast, gdy hotelarz znalazł się krok za Braunem i, całkiem słusznie, zamierzał opuścić pomieszczenie, wstała ociężale, co nie

pasowało do jej zazwyczaj energicznych gestów i całej sylwetki, suchej i kościstej.

— Pani Neiss? — Ignaz skłonił się nieznacznie. — Miło mi niezmiernie...

— I jest pan jednocześnie ciekaw, z czym przychodzę całkiem rano i w dodatku do hotelu.

Blady uśmiech zagościł na świeżo ogolonej twarzy urzędnika cesarskiej policji.

— Zamieniam się w słuch, łaskawa pani. Proszę jednak spocząć. Jest pani moim gościem. Czy zamówić kawę?

— Dziękuję — westchnęła Wilfrida. — Niestety, nie przyszedłam na pogaduszki. Szkoda, że nasza znajomość zawężała się do spraw natury kryminalnej, ale cóż... — dodała łagodniejszym głosem.

— Mnie również żal — odparł Braun głosem, który miał wzbudzić w kobiecie poczucie wzajemności.

Usiedli oboje. Pani Neiss omiotła wzrokiem salę i upewniwszy się, że są sami, westchnęła głęboko.

— Gdyby przyszedł kelner, proszę go odprawić i nakazać, żeby nam nie przeszkadzał. Muszę powiedzieć panu o czymś ważnym. Nie wiem, czy ma to związek ze sprawą Theodora Pratz. Ale stało się coś, co każe mi się zastanowić. I nie będę ukrywała, jestem przybita.

— Zamieniam się w słuch.

Gdyby w tamtej chwili jakiś malarz chciał uwiecznić na płótnie personifikację sluchu, byłby zadowolony z Ignaza jako modelu.

— Otóż musi pan wiedzieć, iż jestem... osobą dość majątną — Wilfrida Neiss, mimo że przybita, wyprostowała się nieznacznie. — I właśnie tej kwestii chciałabym poświęcić naszą rozmowę. Bo widzi pan, inspektorze, wczoraj wieczorem zauważyłam, że zostałam okradziona.

Braun delikatnie pochylił się w kierunku kobiety. Gdyby nie byłaby tak skupiona na wszystkim, o czym zamierzała opowiedzieć, zauważyłaby, że inspektor przytaknął ze zrozumieniem. W dodatku spojrzał na nią z nutką, trudno uwierzyć, wdzięczności. Zaraz też odprawił ruchem dłoni kelnera, chcącego zapytać, czy gościom czegoś nie potrzeba.

— Elza miała dość zamożnych dziadków, a moich rodziców. Pochodzili z niewielkiego miasta w Saksonii, z Zittau. To Łużyce. Mój ojciec wyjechał do Lubeki, tam zaczął jako urzędnik w kantorku kupieckim. Ale lubił swoją pracę, miał pociąg do handlu, pasjonowały go zamorskie krainy. Z czasem usamodzielniał się i dorobił na handlu kawą i korzeniami z Indiami Zachodnimi. Zostawił niezgorszy spadek, a rodzice Elzy nie zmarnowali majątku. Może dlatego, że młodo zmarli, w każdym razie Elza i ja posiadamy, na mocy testamentu, niemałe walory w papierach wartościowych, obligacjach... i tak dalej. A wszystko w Hannover Banku, a więc z gwarancjami cesarskiego ministerstwa skarbu.

— Gratulowałbym, gdyby nie podejrzenie, że właśnie te walory... — szepnęła Ignaz i delikatnie założył nogę na nogę. Tak, już wiedział, już wiele wiedział.

Jak każdy, kto ma jakiś skarb, a przynajmniej coś, co albo przechodzi z przodków na potomków, albo stanowi zabezpieczenie na przyszłość, lub też wreszcie zwyczajnie cieszy oczy, pani Neiss lubiła niekiedy otworzyć sekretarzyk. W nim, nie w żadnej ukrytej szufladzie stanowiącej podwójne dno, ale zwyczajnie, pod dwoma plikami rachunków, leżała czarna chińska szkatułka ozdobiona postaciami z kości słoniowej. W środku zazwyczaj spoczywały papiery wartościowe Hannover Banku.

Zazwyczaj. Dotąd. Do tamtej pory. Ignaz przez moment bawił się niuansami lingwistycznymi.

— I wczoraj stwierdziła pani, że papiery zniknęły.

— Właśnie — kobieta tym razem zgarbiła się. — De facto, jesteśmy teraz bankrutkami.

— Jest aż tak źle? Proszę wybaczyć pytanie, ale, sama pani pojmuje, jestem policjantem; czy oprócz tych walorów nie posiadają panie niczego, co choć tymczasowo zapewniłoby godziwy byt?

Jakieś procenty od kapitału, trochę biżuterii. Wartościowe precjoza, prawda, ale nie da się na nich budować przyszłości. A Elza miała dobrze i bogato wyjść za mąż.

— Żeby bogato wyjść za mąż, trzeba mieć pieniądze — zgodził się Braun, nie do końca słysząc paradoksalność własnej wypowiedzi. — Czy ma pani jakieś podejrzenia?

— Tak.

— Żadnych wahań w głosie, no, no... Słucham więc.

— Ktoś z gości na moim wieczorze. Wtedy gdy ten nieszczęśnik...

Rola adwokata diabła nigdy nie była w guście przybysza z Berlina, niemniej dla dobra śledztwa musiał się w nią wcielić.

— Skąd ta pewność? A służba? A, dajmy na to, włamanie podczas pań nieobecności? Ostatecznie, dobry, chciałem powiedzieć: doświadczony złodziej potrafi wkraść się do mieszkania w nocy, gdy domownicy śpią, i nie zostawić po sobie żadnych śladów. Żadnych.

Wilfrida była pewna. Do służby miała zaufanie. Kucharkę przywiozła jeszcze z Lubeki. Siedemdziesięcioletnia kobieta nie miała krewnych. W grę nie wchodził żaden amant. Ani jednego nałogu, bezgraniczne oddanie pani i panience. Najmniejszych wymagań od życia. Umysł płaski jak kartka papieru, ale szczerzy i dobry.

Dwoje służących. Margareta i Edwin. Wyznawcy Kościoła Jezusa Chrystusa Dni Ostatnich. Ostatnią rzeczą, jaką byliby w stanie zrobić, to ukraść. Zabić z przyczyn religijnych, owszem, ale ukraść, nie.

— Czy pani usłyszała swoje słowa? — ożywił się inspektor. — Potrafiliby zabić? Theodor Pratz został zamordowany. O ile mnie pamięć nie myli.

Rozmówczyni popatrzyła na Brauna, nie wiedząc, czy przypadkiem nie żartuje. Zorientowała się, że nie.

— Absurd, ale w gruncie rzeczy miał pan prawo zadać takie pytanie. Przecież pan ich nie zna, a ja użyłam niefortunnnych słów.

— Niemniej ma pani świadomość, że będziemy musieli ich przesłuchać?

— Oczywiście. Choćby zaraz.

— Z zaskoczenia? Bardzo dobra myśl — ucieszył się Ignaz. I zaraz spytał o ewentualność kradzieży dokonanej przez zwykłego włamywacza.

— Po pierwsze, zapomniałam dodać, że wyciągałam papiery na kilka godzin przed tym fatalnym wieczorem. Zwykle sprawy bankowe. I wszystko było na swoim miejscu. A teraz sprawa włamywacza. Mniej więcej rok temu ktoś okradł mnie na ulicy. Torebka, w niej trzymałam kilka rzeczy, w tym dowód wpłaty na schronisko, w którym kiedyś wychowywał się dzisiejszy król wejherowskich złodziei, zwany Siegfried Pfennig.

Ignaz pokiwał głową. Słyszał o Siegfriedzie Pfennigu. Wszyscy w mieście o nim słyszeli, wielu policjantów spoza Wejherowa również. Tymczasem kobieta kontynuowała.

Stała się rzecz niespodziewana. Złodziej, wbrew obiegowym opiniom, chwalił sobie dzieciństwo w przytułku. Tam nikt go nie bił, jak przedtem w domu. Miał co jeść. I, najważniejsze, poznał kolegów, którzy nauczyli go obecnego fachu. Jak tu nie być wdzięcznym losowi? Jeszcze tego samego dnia pani Neiss otrzymała anonimowe pismo z przeprosinami i torebkę w nienaruszonym stanie. Autor anonimu oświadczył, że wzruszony jest

hojnością damy na rzecz schroniska i obiecuje, że nigdy żaden z jego podopiecznych nie narazi jej na podobne przykrości.

— A komisarz Rensch powiedział wtedy, bo rozmawialiśmy o tym dziwnym człowieku, że żaden samotny złodziej nie może w mieście palcem kiwnąć. Ci, którzy tu są, należą do „cechu”. Obcy nie przyjeżdżają. Wszystko jest pod kontrolą Siegfrieda. A więc nie złodziej zawodowy, rozumie pan? Nikt obcy nie zakradł się do mojego domu.

— Tak, szajki mają władzę i swój honor. I chyba ma pani rację — zgodził się Braun. — Wobec tego jeszcze przesłuchajmy pani służbę.



Kto zabił Theodora Pratzę?

Kucharka, jak również Margareta i Edwin, należeli do tego gatunku osób, które niełatwo byłoby skłonic do kradzieży, a tym bardziej zabójstwa. Po wielekroć mniej byliby skłonni sami wpaść na pomysł z rodzaju wspomnianych. Nie tylko umysł kucharki był płaski jak kartka papieru. Małżeństwo z powodzeniem jej dorównywało.

Braun, któremu przesłuchanie trójki „domowników” pani Wilfridy zajęło łącznie jakieś czterdzieści pięć minut, już po dwudziestu ze spokojem spojrzął na swojego ukochanego tissota i cieszył się na prędkie spotkanie z komisarzem Renschem.

Gdy obaj z posterunkowym Bochentinem wyszli z domu okradzionej kobiety, niższy stopniem policjant nie mógł się powstrzymać przed dorzuceniem do całości swoich trzech groszy.

— Panie inspektorze, ja rozumiem, że należało ich przesłuchać, ale z powodzeniem mogłem sam się tym zająć. Szkoda czasu panów oficerów. Panowie oficerowie mogli już iść do tamtych...

— Bez was? Zresztą widzicie, Bochentin — Ignaz uśmiechnął się na wspomnienie dopiero co zakończonych przesłuchań — i panowie

oficerowie potrzebują niekiedy porannej gimnastyki.

— Może... Ale kto to właściwie są ci wierni Kościoła Jezusa Chrystusa Dni Ostatnich? Sądząc po tamtych, prorokuję sekcje niedługi żywot.

— Jesteście katolikiem, Bochentin?

Posterunkowy wyprostował się z dumą.

— Jak i pan inspektor, panie inspektorze!

— A więc należy zdać sobie sprawę, że Bóg dopuszcza do powstawania takich wspólnot w jakimś celu.

— Tak, ale w jakim? — Bochentin rozłożył ręce.

Braun, naśladując kolegę po fachu, również rozłożył ręce.

— Nie za bardzo wiadomo. Ale należy mu zaufać. Wie, co robi. I kropka.

— No tak... — odpowiedź zainteresowanego kwestią Kościoła Jezusa Chrystusa Dni Ostatnich była równie wyczerpująca, jak ta wcześniejsza, wypowiedziana przez inspektora.

Korytarz hotelowy był naładowany wcieloną energią elektryczną. Stało w nim bowiem czterech policjantów. Doświadczonych i zdeterminowanych. Jeden pochodził z Berlina, drugi był tutejszy. Ten drugi miętosił w ustach niezapalone cygaro. I wcale nie myślał o niewiastach posiadających obfite kształty. Nie w takiej chwili. Pozostali przystanęli nieco z tyłu. Nawet nie myśleli o spodziewanej premii. Oni także przejęci byli nastrojem krótkiego już oczekiwania. Być policjantem... Kto wie, gdyby nie pochodzili z ubogich rodzin, może byłoby ich stać na zdobycie średniego wykształcenia i potem rozpoczęcie nauki w szkole oficerskiej? Trudno. Ale im także należała się cicha radość. I satysfakcja.

Drzwi z numerem „18”. Pokój, w którym znajduje się odpowiedź na pytanie, kto zabił Theodora Pratzę.

Mocne pukanie komisarza Renscha. Drzwi uchyliły się szybciej niż przypuszczał. Przed nim stał Otto Meinhard.

— O pan komisarz! O, i inni panowie? Czym mogę służyć?

Nie było czasu na zastanowienie się, czy w głosie młodszego z Meinhardów brzmiała nutka lęku. Rensch bowiem zdecydowanym gestem odepchnął gospodarza i cała czwórka wtoczyła się do pierwszego z pokoi.

Przy stole stał Gottlieb. W jednej ręce trzymał numer „Frankfurter Zeitung”, w drugiej dymiące cygaro.

— Co to ma znaczyć? — wyszeptał.

— Stryju, panowie zaraz muszą się wytłumaczyć! — Otto ochłonął już i przeniósł wzrok z Gottlieba na komisarza.

Rensch tylko na to czekał. Czuł, że tym razem on jest głównym aktorem widowiska. I poczuł zew krwi. Wiedział, że bezceremonialnością góruje nad Braunem. „Tak. Teraz potrzeba mojej brutalności”.

— Panowie, w imieniu cesarza Niemiec i króla Prus przedstawiam ten oto nakaz rewizji!

Tamci spojrzeli na siebie, ale mając przed oczami pismo z urzędową pieczęcią, nie bardzo mogli cokolwiek uczynić. Gottlieb opadł na fotel przy stoliku, Otto skulił się jak dziki kot gotowy w razie potrzeby do skoku.

Bochentin i Myszki bez chwili zwłoki przystąpili do przetrząsania apartamentu. Oba pokoje i łazienka dosłownie zatrzęsły się od czynności operacyjnych. Furkotały walizki, sekwojaże, elementy garderoby, papiery. Posterunkowi zaglądali pod łóżka, za obrazy, dosłownie wszędzie. Czuło się w ich pracy jakąś nienaturalną zawziętość i determinację. Tak, jakby mścili się za sam fakt umiejscowienia Meinhardów na wyższym szczeblu drabiny społecznej. Ale to nie było to, a przynajmniej nie tylko. Uczestniczyli w wyjaśnieniu dużej sprawy. I cieszyli się tym doniosłym wydarzeniem całą mocą prostych i szczerych serc.

Zapał posterunkowych nie malał, ale efekty ich pracy polegały na przewróceniu do góry nogami całego apartamentu. Gottlieb i Otto, w pierwszym momencie zdezorientowani, powoli zaczynali odzyskiwać zwykłą pewność siebie. Od czasu do czasu pozwalali sobie nawet na jakąś kąśliwą uwagę. Wreszcie młodszy z Meinhardów podszedł do Brauna.

— Panie inspektorze! Co się tu właściwie, u licha, dzieje?! Pokazaliście nam nakaz rewizji, ale nie usłyszeliśmy żadnego zarzutu, nawet żadnego pytania.

Inspektor z Berlina nie odpowiedział. Gestem dłoni powstrzymał komisarza, który z dość agresywnym zamiarem stanął przed Ottonem.

— Panowie dobrze wiedzą, czego szukamy. Proszę o jeszcze chwilę cierpliwości. Nikt jeszcze nie ukrył prawdy przed Ignazem Braunem.

Posterunkowi w ferworze działań nawet nie zorientowali się, że Meinhardowie zaczęli sprawiać wrażenie, jakby to oni dyktowali warunki. Myszk właśnie rozpruwał kołdrę Gottlieba, a Bochentin rozrywał ramę obrazu przedstawiającego boginię Dianę w kąpieli, podglądaną przez rozkochanego w niej Akteona.

Po wypowiedzeniu formuły, której w odpowiednich chwilach lubił używać, Ignaz odsunął młodszego z Meinhardów i podszedł do stolika, pod którym leżały dwa kapelusze należące do mężczyzn, a porzucone przez posterunkowych po pobieżnym obejrzeniu i wygnieceniu. Wyjął z pugilaresu malutki, ale bardzo ostry nożyk.

Wystarczyło kilka wprawnych, szybkich jak cięcie chirurgiczne ruchów. Dłoń Brauna sięgnęła pod wierzch główki kapelusza.

Zaokrąglone kształty papierów wartościowych ukrytych przez kilka dni w kapeluszu, wyjęte spod podwójnej warstwy główki, leżały na wyciągniętej w geście oskarżenia, ale i triumfu, dłoni Ignaza Brauna.

Nim ktokolwiek zdołał zareagować, inspektor powtórzył całą operację z drugim kapeluszem. Efekt był identyczny.

— Do kroćset! Tak! Geniusz! — Rensch zapomniał, że to on miał być pierwszoplanowym bohaterem dnia.

— Panowie, oskarżam was o okradzenie pani Wilfridy Neiss w dniu, w którym przebywaliście u niej na wieczorze towarzyskim — metaliczny głos inspektora nie wygłaszał oskarżenia, ogłaszał po prostu wyrok. — I o zamordowanie Theodora Pratz!

Otto i jego stryj przygarbili się jak na komendę i cofnęli o pół kroku. Jednak Otto zaczerpnął nieco powietrza i podniósł głowę.

— Może nas pan oskarżać o kradzież, ale co to ma wspólnego z Pratzem? No, panie inspektorze? Zabrakło panu słów?

Dla posterunkowych, którzy w końcu zauważyli, że coś się zmieniło, i przyglądali się, zdyszani, całej scenie, było jasne, że chwila pognębienia przestępców właśnie nadeszła.

Komisarz uśmiechnął się z triumfem. On również wiedział, co nastąpi za moment. Zwrócił jednak uwagę, że w oczach stryja tliła się jeszcze iskra nadziei. Nie miał ochoty na zapalenie cygara; wpatrzony był w obu mężczyzn i czekał.

W dłoni inspektora pojawiła się fotografia.

Starszy z Meinhardów spojrzał na bratanka. W jego twarzy nie było już ani cienia zwyczajnej zuchwałości. Nagle się postarzał.

— Nie ma panów na tym zdjęciu. Zrobił je Theodor Pratz. I wywołałby. A wtedy wydałoby się, że na kilka chwil zniknęliście z salonu. Obaj nie mogliście iść naraz do toalety. To nie byłoby żadne tłumaczenie. Powód musiał być inny. Jeden czatował, drugi kradł. Skądinąd, nikt z nas nie zauważył waszej nieobecności... Owszem, ale zdjęcie zostałoby w końcu wywołane. I pani Neiss zorientowałaby się prędzej niż później, że została

okradziona. Należało więc zamordować staruszka. Taki błąd: przeprowadzać akcję w momencie, „dzięki” któremu możecie zostać odkryci. Dlaczego wtedy? Tak, tylko wtedy panował rozgardiasz. Myśleliście, że zdążycie przed wykonaniem zdjęcia! Tym gorzej potem dla was, że Pratz, wyszedłszy wcześniej, zdążył odnieść kliszę do atelier. I miał system, według którego wszystkie klisze odkładał. A wy nie znaliście tego systemu. W torbie nie miał dowodu waszej winy, a w atelier nie potrafiliście go znaleźć. Wytrych nie wystarczy, trzeba było znać system biednego Pratza!

Zaległa cisza. Gottlieb spojrzął po obecnych i zatrzymał wzrok na Ignazu.

— Tak. Wszystko skończone. Moje życie skończone. Wszystko robiłem dla Ottona. On jest niewinny.

— A to się jeszcze okaże — wtrącił Rensch.

— Panowie muszą mi uwierzyć. Błagam!

— Słuchamy...

— Theodor Pratz rzeczywiście musiał zginąć. Ta jego potworna aparatura!

Wszystko, co robił Gottlieb, miało tylko jeden cel: dobro Ottona. Od najmłodszych lat bratanek znajdował się pod opieką mężczyzny. Stryjłożył na jego kształcenie, ale też sam opierał i żywił chłopca, gdy niekiedy brakowało funduszy na pokojówkę i stołowanie się w lokalach o w miarę przyzwoitym standardzie. Długie godziny spędzał na odrabianiu z dzieckiem, a potem dorastającym młodzieńcem, lekcji. Zabierał go do opery, na rozmaite koncerty, podsuwał mu lekturę, starannie dopasowaną do wieku i potrzeb.

— Nigdy nie miałem z nim kłopotów wychowawczych. Było w Ottonie coś niepokojącego, buntowniczego, ale zawsze potrafiłem skanalizować

jego temperament w rozmaitych zajęciach. Gimnastyka, podróże, nauka! Czego się dotknął, osiągał sukcesy. Również na studiach. Tak, dopiero tam prawdziwie zabłysnęły jego talenty. Byliśmy nierozłączni i pochlebiamy sobie, że Otto zawsze przedkładał towarzystwo moje nad obecność rówieśników.

Jednak pewnego dnia nastąpił krach na giełdzie. Oszczędności, które Meinhardowie posiadali w kilku bankach, nie mówiąc już o lokatach w papiery fabryk tekstylnych, przepadły z kretesem. Kancelaria prawna stanowiła niezgorsze źródło dochodów, jednakże niestabilnych i zależnych od szczęścia i dopływu klientów, a te były nieregularne.

— Nasze podróże kosztowały dużo. Przyzwyczailiśmy się do nich, poza tym utrzymywanie domu na określonym poziomie kosztuje, a bez czegoś takiego trudno o znajomości i szacunek wśród elity, która była naszym zbiorowym chlebodawcą.

— Od Sigmunda dowiedzieliśmy się o istnieniu Elzy i jej ciotki — po raz pierwszy odezwał się Otto. — Panna, jak i Wilfrida, jest bogata, choć nie afiszuje się z tym. Na miejscu, poprzez rozmaite źródła, informacja o majątku potwierdziła się.

— Tak, Otto według mojego planu miał rozkochać w sobie dziewczynę i ożenić się z nią. Posag, posag był naszym celem, ale nie chcieliśmy krzywdzić panny Neiss. Mój bratanek byłby dla niej dobrym mężem. Niestety, okazało się, że Elza jest bardzo złą i pustą dziewczyną. Kokietowała Ottona, ale zapowiedziała mu, że jej ambicje sięgają jakiegoś arystokraty. I zachowywała się wobec mojego bratanka bardzo pogardliwie. Mimo nieustannej wyzywającej kokieterii.

— A skąd dowiedzieliście się, gdzie przechowują papiery?

Odpowiedź była bardziej prozaiczna, niż policjanci mogli przypuszczać. Pewnego dnia, gdy Otto bawił u Elzy, przez niedomknięte drzwi, dzięki

lustro ustawionemu pod odpowiednim kątem, dostrzegł Wilfridę otwierającą sekretarzyk. Reszta była kwestią czasu i wyboru dnia. Włamanie podczas nieobecności pań nie wchodziło w grę, w tym czasie zawsze ktoś ze służby przebywał w domu. A rozgardiasz, jaki panuje podczas wieczoru towarzyskiego...

Gottlieb skurczył się. Cichym głosem powiedział, że jest umierający. Zostało mu kilka miesięcy życia. Postanowił poświęcić się dla dobra bratanka, gdy zorientował się, że mogą zostać zdemaskowani, i zabić Theodora Pratza.

— Jeszcze jedna kwestia — odezwał się Ignaz. — Czy prawdą jest, że Theodor Pratz zabił przed laty pańskiego brata?

— Nie. W czasie wieczoru powiedział mi, gdzie był podczas wojny. Potem pomyślałem, że jeśli przyznam się do morderstwa, wymyślając fałszywy powód, a policja zorientuje się, że nie mówiłem prawdy, zawsze wymyślę przyczynę, dla której wprowadziłem panów w błąd. Przecież nie będzie dłużej podejrzewać się człowieka, który dla fanaberii już raz przyznał się do popełnienia rozpracowywanego przestępstwa. Trochę psychologii — Gottlieb Meinhard uśmiechnął się ze smutkiem. — A mój brat rzeczywiście wtedy zginął w pojedynku.

Wszystko skończone. Apartament opustoszał. Za kwadrans przyjdą dwie pokojówki, aby zlikwidować nieład, jaki pozostał po policjantach i wyprowadzonych przez nich gościach hotelowych.

Drzwi za komisarzem Renschem, który jako ostatni opuszczał pokój Ignaza Brauna, zamknęły się. Inspektor uznał, że powinien wychylić kolejny kieliszek czegoś mocniejszego. Gdy już poczuł w nadgarstkach przepływ alkoholu zmieszanego z krwią, zadzwonił na boja hotelowego.

Wilhelm, wypoczęty i pełen energii, z uśmiechem na pyzaty obliczu, pojawił się po dwóch minutach.

— Proszę zawiadomić pana von Macha, że chcę go widzieć u siebie.

— Tak jest, proszę pana — ochoczo powiedział Wilhelm i już go nie było. Ignaz nie zdążył nawet wręczyć mu markówki.

Młoda ofiara własnych machinacji i cesarskiego inspektora pojawiła się szybko. Sigmund w pośpiechu zaniechał starannego ubrania się, nie mówiąc już o porannym kontakcie z brzytwą.

— Dzień dobry, panie inspektorze.

— Możesz usiąść. Albo nie, postój jeszcze. Leżałeś przecież w łóżku kilka godzin.

— Oczywiście. Chętnie postoję.

— Bardzo słusznie. A teraz odwróć się.

Rozkaz został wykonany. I wtedy von Mach poczuł na pośladkach solidnego kopniaka.

— Wybaczam ci. Idź teraz do panny Gephard. To uczciwa dziewczyna i zrobi z ciebie człowieka. Nie zapomnij też pochwalić mnie doktorowi Puppemu. Miłosierny ze mnie inspektor!



Epilog

Pan Alsleben był niepokieszony. Radował się oczywiście, jako praworządny obywatel, że śledztwo zakończyło się sukcesem, zdążył się jednak przyzwyczać do obecności pod swoim dachem berlińskiego inspektora.

— Nalegam stanowczo, aby zaszczyił mnie pan, możliwie jak najprędzej, swoją osobą. Proszę przyjechać z czcigodną małżonką, koniecznie.

— Zdaje pan sobie sprawę, w jakich okolicznościach zazwyczaj przebywam w Wejherowie... — nieznaczny uśmiech towarzyszył słowom Brauna. — Nie chciałby pan zapewne, żeby znowu tu kogoś zamordowano, nieprawdaż?

— W żadnym razie! — Hotelarz ukazał w całej okazałości garnitur białych, równiutkich zębów. — Wiem jednakże, że z racji związków rodzinnych również zdarzało się panu inspektorowi bywać w naszym mieście. O! Proszę bardzo, zdaje się, że idzie do nas pana czcigodny teść. W takim razie przywitam się tylko i uciekam do swoich obowiązków.

Zanim Ignaz zdążył zdziwić się brakiem zwykłej u Alslebena wścibskości, hotelarz skłonił się rozmówcy i uścisnął wielką dłoń Brunona Sychowskiego, po czym odszedł w stronę pomieszczeń służbowych.

Po kwadransie teść i zięć siedzieli nad filiżankami aromatycznej kawy i ciastem migdałowym.

— Ty, młody człowieku — naczelnik stacji w Lęborku swoim zwyczajem skierował palec wskazujący w stronę Ignaza — znowu rozwiązałeś zagadkę. Chwali się, chwali się. Jeszcze trochę, a mógłbyś pracować na kolei. Tam potrzeba inteligentnych i odpowiedzialnych mężczyzn.

— Nie wiem, co by powiedziała Bernadeta. Przywiązała się już do roli żony policjanta. Bacznie śledzi postępy w sprawach, które prowadzę na miejscu, a i zdarzyło się, że była przy mnie podczas kilku spraw.

— Z pewnością masz rację, ale jako żona kolejarza miałyby okazję poznać wiele ciekawych miejsc. A staremu ojcu przywoziłaby widokówki!

Ignaz zaśmiał się głośno.

— „Stary ojciec” jest tak kwitnący, że setki pocztówek kupi sobie sam.

Oczy pana Brunona nagle posmutniały.

— Widzisz, chłopcze, nikt nie jest wieczny. Moja siostra wprawdzie całe życie chorowała, ale nigdy nie podejrzewałbym, że umrze przede mną. Drzewo, które mocno skrzypi, ma przecież mocne korzenie. Tymczasem stało się, jak się stało. Nikt nie jest pewien dnia ani godziny.

— Masz rację, ojczu. Swoją drogą, dziękuję ci, że znalazłeś czas, aby mnie pożegnać. I nie mów, że akurat przebywałeś służbowo w Wejherowie.

— Przed policjantem nic się nie ukryje — z udawaną troską powiedział Sychowski. — Mam jednak do ciebie prośbę.

— Słucham?

Starszy mężczyzna wyprostował się i podkreślił wąsa.

— Kiedy będziesz już w domu, w Berlinie, dbaj o to, żeby twoja żona przypadkiem nie schudła. Kobieta musi mieć te parę kilo, zapamiętaj moje słowa. Dobra tusza jest oznaką zdrowia. Podczas ostatnich świąt odniosłem wrażenie, że nie przytyła przez dłuższy czas tyle, ile by należało!

Droga z „Königlicher Hof” na dworzec, mimo że Ignaz pokonywał ją już kilka razy, nadal wydawała mu się interesująca. Tym razem nie musiał się spieszyć, ponieważ do odjazdu pociągu, w momencie wyjścia z hotelu, pozostawało półtorej godziny. W dworcowej restauracji mieli jednak czekać na inspektora komisarz i dwaj posterunkowi, więc należało wyjść odpowiednio wcześniej.

Ulice skąpane były w letnim słońcu. Przechodnie snuli się leniwie, jakby nie dręczyły ich żadne codzienne sprawy, jakby wszelkie sprawunki odłożyli na później lub byli już tego dnia całkowicie zwolnieni z mniejszych i większych obowiązków.

— Tak, byłem przekonany, że kochany pan inspektor w mig upora się z morderstwem — powiedział komisarz, ocierając wąsy z piany urbocka, którego oszronione kufle stały przed trzema policjantami.

— Nie do końca tak było, komisarzu. Przecież z całą tą sprawą wiązało się kilka innych zgoła niespodziewanych. Działaliśmy po omacku. I pan, i ja. Nie ma co ukrywać. A pewne wskazówki były, a jakże. Podczas seansu hipnotycznego doktor Paschinski powiedział, że fotograf, z racji zawodu, widział wiele i wiedział wiele. Zwłaszcza że mój teść opowiedział mi o spostrzegawczości Pratz na podstawie własnego i rodziny pozwania do zdjęcia. Stwierdził też, że każda fotografia kryje jakąś historię. Tyle pośrednich sygnałów!

— Tak, ale nacisk, nacisk i presja z naszej strony powodowały, że część osób zaczynała zachowywać się irracjonalnie! I to powoli prowadziło nas

do prawdy! — Rüdiger Rensch bronił pozycji swojej i Brauna.

Arno Bochentin przysłuchiwał się wymianie zdań z pobłażliwym uśmiechem. „Inspektor nie musi koloryzować przebiegu śledztwa, ma ustaloną pozycję. A mój szef musi. Emerytura wkrótce. Dodatki i tak dalej. I dobrze, może w nagrodę dostaniemy z rejencji jakieś premie”.

— Swoją drogą — zamyślił się Braun — będzie pan musiał dość szybko przycisnąć Meinhardów. Żadnych dowodów, żadnych poszlak, że Gottlieb sam popełnił morderstwo! Obaj dokonali kradzieży, oczywiście, ale morderstwo jest jeszcze zagadką. Milczą jak grób, już od półtorej doby! Rozumie pan, jak bardzo mój wydział i jego lokalne oddziały wyczulone są na kompletne i wyczerpujące raporty.

— Jasna sprawa. Dobrze, że pani Neiss odzyskała swoją własność. Ale Meinhard to twarda sztuka... I rzeczywiście jest chory. Nie ma żadnych szans na przeżycie więcej niż miesiąc lub dwa. Tak. Wcale mu się nie dziwię, że chroni Ottona, jeśli ten jest winny.

— Sam bym tak zrobił — pokiwał głową posterunkowy Bochentin. Myszk spojrział na niego, a potem na komisarza, którego twarz w mgnieniu oka zaczerwieniła się.

— A ciebie nikt, Bochentin, nie upoważnił do wypowiedzania takich niepraworządnych opinii — nasrożył się Rensch i skosił podwładnego wzrokiem, który wypracował sobie przed lustrem, gdy nikt go nie widział.

— Ciekaw jestem, czy jeszcze kiedyś się spotkamy — Ignaz zmienił temat, aby rozmowa nie nabrała wymiaru dyskusji etycznej z niewspółmierną przewagą jednej ze stron.

Rüdiger Rensch, z delikatną pretensją w głosie, wypomniął Braunowi, że ten, będąc kilka razy w Wejherowie, nie odwiedził komisariatu.

— Bo też okoliczności były wysoce niesprzyjające — sumitował się przybysz. — Raz byłem jedynie przez trzy godziny, później pan komisarz,

kiedy przyjechałem, przebywał z panią Katarzyną na wywczasach w Alzacji. Innym razem byłem tu incognito, kiedy prowadziłem sprawę „Grabarza z Cewic”. Ciebie, też, Anton, nie udało mi się zobaczyć ani razu. Nawet teraz nie zdołałem cię odwiedzić, choć padła z mojej strony obietnica.

Kufel znajdujący się w ręku posterunkowego Myszka powędrował na stół. Mężczyzna wyprostował się, spojrzął na Brauna i rzucił jakże głębokie:

— Co prawda, to prawda.

— Obawiam się — dopowiedział Ignaz — że przeznaczenie styka mnie z panem, drogi komisarzu, i z panami posterunkowymi jedynie wtedy, gdy popełniona zostanie w Wejherowie jakaś zbrodnia. Nie jest to zbyt pocieszające stwierdzenie. Pomyślałem tak, gdy zapraszał mnie ponownie do miasta pan Alsleben, nie dalej jak dzisiaj.

Bochentin wbrew opiniom, jakie krążyły na temat jego zdrowego rozsądku, przeżegnał się trwożliwie i splunął przez lewe ramię.

— A gdyby tak umówić się, że co rok kochany pan inspektor, ma się rozumieć z małżonką, wspaniała z niej kobieta, tak, imponująca, odwiedziliby nasze miasteczko? Nie mówię, że na długo, ale choć na dwa dni.

— Wszystko w rękach nadkomisarza von Marburga — Ignaz rozłożył ręce w nieco teatralnym geście. — I w umysłach przestępców całego cesarstwa, którzy pałają szczerą ochotą, abym wyławiał ich spośród mas ludzkich.

— Gdyby jednak? Tak, gdyby jednak — podsumował komisarz. I dodał: — Może jeszcze po małym kufelku?

Kilka lat wcześniej wyjazd Ignaza Brauna z Wejherowa wyglądał zgoła inaczej. Teraz odprowadzali go tylko trzej ludzie. W ostatniej chwili przybiegła jeszcze zadyszana pani Anastazja i zdążyła pożegnać się z odjeżdżającym.

„Tamten wyjazd był jedyny w swoim rodzaju” — pomyślał Ignaz bez żalu. „Dziś jest mimo wszystko zwyczajnie, tak jak powinno być w podobnych okolicznościach”.

Ta, która sprawiła, że pożegnanie przed laty było niezapomniane, czekała na niego kilkaset kilometrów od Wejherowa. Z pewnością za godzinę lub dwie zabierze się za przygotowywanie sufletu i osobiście upiecze jego ukochane zrazy z zieloną fasolką. A potem będzie godzinami wypytywać o wyniki śledztwa.

Ignaz wsiadł do przedziału. Obok niego usiadł starszy pan, z wyglądu urzędnik podatkowy średniej rangi. Siwy, z wąsikiem. „Przykładowy mąż i ojciec, luteranin, zawsze głosuje na prawicę i nigdy nie chodzi do kabaretu”. Tyle że obok urzędnika było pusto. Panienska o powabnych kształtach z tamtego przedziału teraz czekała na niego, na Ignaza, w Berlinie. Czy to ten sam urzędnik? „Ja jestem taki sam. I Wejherowo również. Maleńki punkt na mapie świata”.

Pociąg kolei żelaznej ruszył. Ignaz zamknął oczy i myślał przez dłuższy czas o tym, co wydarzyło się w Wejherowie. Kiedy już przywołał w pamięci wszystko, co było jej warte, oddał się w całości marzeniu o zrazach i suflecie. I o dłoniach, które przygotowują takie smakowitości.

KONIEC